

Moore Margaret

Zwycięską miłość

Anglia, okres średniowiecza

Okupione wielkim wysiłkiem zwycięstwo nie tylko oddaliło realne zagrożenie. Pomogło obojgu odciąć się od traumatycznych wspomnień i otworzyć na miłość, która nadała sens ich życiu.

Po śmierci ojca, pana na zamku Ecclesford, jego córki zostają same. Zarówno piękna i łagodna Giselle, jak i niezbyt ładna, pełna temperamentu Mathilde w pełni zdają sobie sprawę z tego, co im grozi. Niepisane prawo wyklucza z dziedziczenia kobiety i jedynych spadkobierców czyni z krewnych w linii męskiej. W przypadku sióstr w grę wchodzi ich kuzyn, Roald, człowiek okrutny, pazerny i niebezpieczny, z którym Mathilde ma osobiste porachunki. Gotowa na wszystko, aby zachować rodową posiadłość, wie, że potrzebuje sprzymierzeńca. Zwraca się więc do sir Henry'ego D'Altona, znającego swoje rzemiosło rycerza. Honor nie pozwala mu odmówić damom pomocy.

PROLOG

Londyn, święto Michała Archaniola, 1243 rok

Sir Roald de Sayres z obrzydzeniem zmarszczył nos, poślizgnąwszy się na odpadach w alejce Targu Sukienniczego między rzeźniami Smithfields a bryłą kościoła św. Bartłomieja. Pamiętając

o mieczu, przypasanym po lewej stronie ciała, zacisnął dłoń na rękojeści wciśniętego za pas sztyletu i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu człowieka, którego przyszedł tu spotkać.

- Sir Roald! - rozległ się w pobliżu chropawy szept z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Rosły, krzepki mężczyzna wyszedł z cienia przy drzwiach.

Spod płaszcza wystawały mu tunika

i nogawice, wszystko połatane i niezbyt czyste.

Roald zerknął na tę postać, starając się rozróżnić rysy twarzy w gasnącym świetle.

- Martin?

- Tak, panie - odrzekł mężczyzna i skinął kudłatą głową.

Roald nieco się odprężył, ale nie zdjął dłoni z rękojeści sztyletu.

- Nie wspomniałeś nikomu, że zamierzasz się tu ze mną spotkać?

- Nie, panie - zapewnił go były komendant straży w zamku jego stryja.

- I nie powiedziałaś nikomu w Ecclesford, że wybierasz się do Londynu?

- Czy to ja głupi jestem? - odparł Martin i parsknął gardłowym śmiechem.

Nie głupi, ale i nie za mądry, pomyślał Roald, przyglądając się temu zdrajcy.

- Czy wszystko jest, jak mówiłeś? Straż...?

- Będą jak jagnięta prowadzone na rzeź. Nie nauczyłem ich prawie niczego, a broń mają z czasów, kiedy jeszcze mojej matki nie było na świecie. Zapłaciłem za najgorszą, jaka była, a lordowi Gastonowi powiedziałem, że jest przednia. On i tak nie odróżniał miecza od włóczni. Nieuczciwy zarobek bez wątpienia schował do kieszeni, pomyślał Roald.

- Ci, którzy zostali, nie mają pojęcia, jak organizować się do obrony - chełpliwie stwierdził Martin. Widać było, że los towarzyszy broni nie obchodzi go nic a nic. - W razie ataku rozbiegną się jak spłoszone kurczęta.

- A lady Mathilde i Giselle? Umierają ze smutku, jak rozumiem?

Martin skinął głową, rechocząc pod nosem.

- Żałośnie łkały, kiedy odchodziłem. Im się wydaje, że ich ojciec był święty. - Martin uśmiechnął się paskudnie. - Powiedziałem im, że rozkazów od kobiet nie przyjmuję. Ani chybi nie przyjmuję, zwłaszcza od tej lady Mathilde.

Roalda mało interesowało, jaki pretekst przedstawił dowódca straży, odchodząc ze służby. Liczyło się tylko to, że nie wymienił jego imienia.

- I nikomu nie powiedziałaś o naszym dzisiaj spotkaniu?

- Nie, panie.

Zadowolony, że sojusz ze zdrajcą pozostaje sekretem, Roald sięgnął pod starannie utkaną wełnianą tunikę i wydobył stamtąd skózaną sakiewkę. Dzięki pożyczkom nie musiał tymczasem martwić się o pieniądze, dawał mu je chętnie każdy, kto dowiedział się, że ma przed sobą dziedzica lorda Gastona z Ecclesford, który wkrótce wejdzie w posiadanie jednego z najlepiej prosperujących majątków w Kencie.

Jednak nie tylko myśl o bogactwie i władzy była miła jego sercu. Bardzo chciał zobaczyć tę sekutnicę Mathilde, jak skamle o litość, zanim zostanie odesłana na resztę życia do klasztoru. Co do Giselle, odda jej rękę temu, kto zapłaci najwięcej. Ale nie od razu, o nie!

Martin odchrząknął, wyraźnie nie mogąc się doczekać, kiedy dostanie nagrodę. Roald wyciągnął rękę z sakiewką, jednocześnie w myślach oceniając jego sprawność. Bez wątpienia był szko-

lony do walki, ale każdy człowiek ma słabe punkty. Rośli mężczyźni są powolni, a głupków najłatwiej oszukać.

Żołnierz chciwie chwycił sakiewkę i wysypał jej zawartość na sękatą dłoń. Monety zabłyśły w świetle księżyca. Zaczął je skrupulatnie liczyć, z powrotem wkładając po jednej do woreczka.

- Podejrzewasz, że próbowałbym cię oszukać? Martin wrzucił do sakiewki resztę monet, nie zwracając uwagi na to, że połowa jest poniżej przepisanej wagi, a więc i wartości.

- Nie, panie.

Roald przebierał palcami po kamieniach, którymi inkrustowana była rękojeść jego sztyletu.

- Co teraz planujesz, skoro nagle stałeś się całkiem zamożny?

- Trochę podokazuję, a potem znajdę sobie żonę. Może kupię zajazd.

- Mnie wyćwiczony zbrojny zawsze się przyda - oznajmił Roald.

- Za przeproszeniem, ale z tym już skończyłem, panie. Nie młodnieję i szybkości też mi nie przybywa. Czas wziąć to, co dotąd zarobiłem, i gdzieś osiaść.

- Jak koń wypuszczony na pastwisko, co?

Martin zmarszczył w zamyśleniu czoło, porównanie wyraźnie mu się nie spodobało. Mimo to skinął głową.

- Ano, można i tak powiedzieć.

- Szkoda, ale skoro tak chcesz... - odparł życzliwym tonem Roald. -

Wobec tego dobrej nocy. Jeśli kiedyś będę mógł ci w czymś pomóc, nie wahaj się zwrócić do mnie z prośbą.

Martin skłonił się i wyminął francuskiego szlachcica, aby wrócić tam, skąd przyszedł. Nie było mu dane. Z szybkością atakującej zmił Roald zacisnął mu od tyłu ramię na szyi i wbił sztylet pod żebra. Martin wytrzeszczył oczy i zamachał rękami, próbując uwolnić się z uścisku. Miał jednak pecha, Roald bowiem, mimo że niewielkiego wzrostu, był bardzo silny, a do tego zdeterminowany. Wciąż zaciskając ofierze ramię na szyi, wyciągnął sztylet i wbił go ponownie. Gdy wreszcie Roald cofnął ramię, Martin z głuchym łoskotem osunął się na ziemię w cuchnące odpadki. Z boku płynęła mu krew.

Roald popatrzył na to z obrzydzeniem, wyciągnął sztylet z rany i wytarł go o niewątpliwie zapchlona tunikę Martina.

- Trzeba było przyjść w kolczudze, głupku - mruknął i zabrał sakiewkę. Dwadzieścia marek, nawet częściowo fałszywych, miało swoją wagę. Jego kochanka była chciwa i zdążyła już zażądać prezentu od nowego pana Ecclesford. Da jej pierścionek albo inne świecidełko i to powinno obudzić w niej stosowną wdzięczność. W każdym razie do majątku spieszyć się nie musi. Mathilde i Giselle będą w głębokiej żałobie po śmierci ojca i jeszcze przez wiele dni niczego nie przedsięwzją. Co do Martina, nie ulegało wątpliwości, że gdy jego ciało zostanie znalezione, ludzie uznają go za jeszcze jednego głupca, który przyjechał do Londynu i dał się zabić.

Rozdział pierwszy

Gospoda „Pod Lisem i Psem” w hrabstwie Kent stała dziesięć mil od zamku Ecclesford przy traktzie do Londynu. Była niewielka, lecz wygodna. Mieszały się tu wonie sitowia, piwa, taniego wina, dymu z dużego kominka i pieczeni wołowej. Drewniane okiennice wpuszczały do środka niewiele dziennego światła.

Pięć dni po londyńskim epizodzie, kiedy Roald de Sayres zabił byłego komendanta straży z zamku Ecclesford, dwie kobiety weszły po koślawych schodach prowadzących do pokoi na górze, gdzie można było znaleźć nocleg. Jedna z nich, urodziwa i jasnowłosa, z każdym krokiem przybliżającym ją do gościnnych pokoi drżała coraz mocniej. Druga wydawała się pewna siebie, dziarsko się wspinała, nie zważając na skrzypienie stopni i kłęby kurzu.

- To jest szaleństwo! - syknęła lady Giselle, zaciskając dłoń na jasnoszarej wełnianej pelerynie siostry i omal nie ściągnając jej przy okazji z głowy białej, lnianej chusty.

Przytrzymując nakrycie głowy, Mathilde zwróciła się ku swej przestraszonej towarzyszce. Prawdę mówiąc, zdawała sobie sprawę, że dopuszczają się czynu zuchwałego, ale nie zamierzała stracić nadarzającej się okazji. Syn karczmarza, który wiedział o ich kłopotach, przyszedł do nich poprzedniego dnia i dał znać, że „Pod Lisem i Psem” zatrzymał się samotnie podróżujący pogodny i przystojny młody rycerz z pustawą sakiewką.

Jego wygląd nie miał dla Mathilde znaczenia, w gruncie rzeczy czułaby się nawet pewniej, gdyby okazał się całkiem zwyczajny. Za to wieść o stanie sakiewki rycerza nappełniła ją nadzieją, że zechce on zarobić trochę pieniędzy. Ponieważ przybysz wspomniał o swoim bracie lordzie i równie wysoko postawionym przyjacielu, jej nadzieje jeszcze wzrosły.

- A cóż innego nam pozostało? - odparła siostrze szeptem. - Mamy siedzieć z założonymi rękami

i czekać, aż Roald odbierze nam Ecclesford? Jeśli ten człowiek naprawdę jest tym, za kogo się podaje, może być dla nas zesłańcem niebios.

- Może Roald nie zakwestionuje testamentu ojca - sprzeciwiła się Giselle, jak zawsze, gdy Mathilde snuła plany mające uniemożliwić Roaldowi próbę zabrania tego, co do niego nie należało. - Jeszcze nie przyjechał, a...

- Wiesz równie dobrze jak ja, jaki jest chciwy -wpadła jej w słowo Mathilde. - Czy naprawdę sądzisz, że pogodzi się z utratą Ecclesford? Bo ja nie. Przyjedzie pewnie jutro albo pojutrze i zażąda, abyśmy przekazały mu majątek. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby przygotować się na taką sytuację.

Giselle nadal stała na schodach.

- Ten rycerz może nie chcieć nam pomóc.

- Rafe mówi, że jest ubogi. Zaproponujemy mu zapłatę. Poza tym nie chcemy przecież, żeby ryzykował dla nas życie.

- Czy jednak musimy wchodzić do jego pokoju? - spytała żałośnie Giselle, wyłamując sobie palce. - Powinnyśmy usiąść w szynku. On z pewnością wkrótce się zbudzi i zejdzie na dół.

- I tak czekałyśmy za długo - odparła stanowczo Mathilde. - Nie możemy spędzić całego dnia w szynku, tym bardziej że mamy mnóstwo do zrobienia w domu. Poza tym widziałas chyba, jakie chmury zbierają się na południu, nad wzgórzami. Jeśli wkrótce nie wyruszymy z powrotem, może nas po drodze złapać burza.

- Wiemy o tym człowieku dokładnie tyle, ile powiedział Rafe, i ani słowa więcej. A Rafe powtarzał to, co usłyszał od Normana wczoraj wieczorem. Może on tylko się chełpił - nie ustępowała Giselle. - Popiwszy piwa, mężczyzna może o sobie niejedno wymyślić.

- Jeśli okaże się łgarzem i łotrem, zostawimy go tutaj i się wycofamy.

- Jak chcesz się przekonać, czy jest uczciwy?

- Zorientuję się.

- Ty?! - wykrzyknęła Giselle, natychmiast jednak spłonęła rumieńcem i odwróciła głowę.

Mathilde zawstydziała się, wiedziała bowiem, że siostra ma wszelkie podstawy, aby powątpiewać w jej rozsądek, gdy w grę wchodzi młodzi mężczyźni.

- Popęliłam raz wielki błąd, ale na błędach człowiek się uczy - zapewniła ją Mathilde, po czym uśmiechnęła się, żeby nie było widać, jak bardzo zabolęła ją reakcja Giselle. - Skoro jednak grozi mi wydanie nietrafnego sądu o tym człowieku, cieszę się, że jesteś ze mną.

Nie czekając na reakcję Giselle, aby w konfrontacji z jej wątpliwościami nie stracić stanowczości, Mathilde schyliła głowę i przeszła pod solidnym dębowym nadprożem, po czym zastukała do drzwi jednego z dwóch pokoi. W obu stały łóżka ze sznurową siatką na ramie i materacem wypełnionym słomą, a także szorstkim płóciennym prześcieradłem i kocem. Każde łóżko mogło swobodnie pomieścić przynajmniej dwóch dorosłych mężczyzn, a może nawet trzech. W gospodzie prywatności było niewiele, ale Rafe zapewnił je, że Norman jest w tej chwili jedynym gościem w pokoju.

- Może odjechał - szepnęła z nadzieją Giselle, gdy pukanie pozostało bez odpowiedzi.

- Karczmarz uprzedziłby nas o tym, a jeśli nie, to widziałybyśmy jego odjazd - zauważyła Mathilde i znów zapukała, tym razem nieco głośniej.

- Może jednak wyjechał nocą - podsunęła Giselle.
 - A może nie żyje - mruknęła pod nosem Mathilde.
 - Nie żyje! - wykrzyknęła jej siostra. Mathilde natychmiast pożałowała nieprzemyślanych słów.
 - Prawdę mówiąc, nie sędzę, by tak było - odparła, unosząc rygiel topornych, drewnianych drzwi. - Bardziej prawdopodobne, że upił się do nieprzytomności.
 - Mathilde, poczekaj - szepnęła Giselle, gdy siostra pchnęła drzwi i zaskrzypiały zawiasy.
- Było już jednak za późno. Mathilde zdążyła przekroczyć próg niewielkiego pokoju. Na stołku najbliższym drzwi leżało skłębione odzienie, a na stoliku w pobliżu woskowej płamy po świecy leżał przewrócony dzbanek po winie. Duże i nieporządnie posłane łóżko było zajęte. Mężczyzna leżał na kocu. Był kompletnie nagi.
- Mathilde wydała cichy okrzyk, odwróciła się i chciała uciec, spojrzała jednak w zatroskaną twarz siostry. Co powiedziałyby na jej rejteradę? Wzięła się w garść i spróbowała sobie wytłumaczyć, że rycerz po prostu leży na łóżku i smacznie śpi. Nie dostrzegła w pobliżu żadnej broni, a ponieważ sama na wszelki wypadek wzięła nóż i nie zawahałaby się go użyć, doszła do wniosku, że nie ma powodów do obaw.
- Na torsie śpiącego widać było kilka blizn, bez wątplenia stanowiących pamiątki po turniejach, a może bitwach, w których brał udział. Zwróciła również uwagę na to, że jego ciało nie ma ani uncji zbędnego tłuszczu.
- Czy on żyje? - szepnęła za jej plecami Giselle.
 - Oddycha - odparła Mathilde i ostrożnie podeszła bliżej. Wciągnęła w nozdrza intensywny zapach wina. - Po prostu się upił.

Stanąwszy bliżej, przekonała się, że twarz śpiącego ma przyjemne rysy. Potargane włosy opadały mu na ramiona. Zerknęła na odzienie rzucone na stołek. Norman był w tej chwili sam, ale bez wątpienia poprzedniego wieczoru samotność mu nie doskwierała. Zaciekaowało ją, gdzie podziała się ta kobieta, i czy rycerz w ogóle zauważył jej odejście. Pewnie nie. Jak większość przedstawicieli jego płci prawdopodobnie myślał jedynie o swoich żądach. Odwróciła się do siostry.

- To nie jest mężczyzna, jakiego potrzebujemy. Choć, Gi...

Przerwało jej niespodziewane szarpnięcie. Upadła na łóżko, ale natychmiast zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu, który miała za pasem, a drugą ręką mocno uderzyła napastnika.

- Spokojnie, dziewczko! - wykrzyknął, ale puścił ją i usiadł na łóżku, wciąż bezwstydnie nagi. - Nie musisz od razu alarmować wszystkich dookoła. Zerwała się na równe nogi, trzymając sztylet, a tymczasem on okrył prześcieradłem dolną połowę ciała.

- Powiedz mężowi, ojcu czy kim tam jest dla ciebie karczmarz, że zapłaciłem za nocny spoczy-

nek i wstanę wtedy, kiedy sam będę miał ochotę, nie wcześniej.

- Bardzo przepraszamy, panie rycerzu - powiedziała Giselle, stając w nogach łóżka, podczas gdy Mathilde głęboko oddychając, próbowała zapanować nad wzburzeniem. - Nie powinnyśmy były tak się narzucać. Rycerz zerknął na Giselle i zareagował podobnie jak wielu jego braci. Otworzył usta, a oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. Giselle tymczasem spuściła powieki i spłonęła intensywnym rumieńcem, przejawy zainteresowania mężczyzn niezmiennie budziły bowiem u niej skrępowanie.

Ignorując Mathilde, Norman wstał i obwiązał sobie prześcieradłem smukły tors. Powinien był w ten sposób wyglądać zabawnie, ale miał przy tym postawę księcia, który przyjmuje dworzanina.

- Czy mogę spytać, co cię sprowadza do mojej izby, pani? - spytał tak familiarnie, jakby znajdowali się u niego w domu. - Z twojego słodkiego, pięknie brzmiącego głosu wnoszę, że jesteś damą.

Giselle zerknęła na Mathilde z niemą prośbą o pomoc.

- Chcemy, aby rycerz nam usłużył - oznajmiła stanowczo Mathilde, wciąż dzierżąc sztylet - ale...

- Doprawdy? - przerwał jej Norman, a jego piwne oczy załśniły tak, jakby ofiarowano mu podarek. - To pięknie - podjął, zwracając się ponownie do Giselle - chociaż muszę przyznać, że wolę sam wybierać kobiety do łóża. Ciebie, pani, jestem jednak gotów potraktować wyjątkowo.

- Nie o to mi chodziło! - zaprotestowała Mathilde, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści.

- Osa cię ugryzła? - spytał rycerz, zwracając się do niej. - To ja powinienem czuć urazę. Wtargnęłyście do mojej izby w czasie, gdy spałem, całkiem bezbronny.

- Ale... nie po to!

- A gdyby nawet, to nie ma sensu udawać -odparł z beztroskim wzruszeniem szerokich ramion, zupełnie nie zwracając uwagi na obnażony sztylet Mathilde. - Nieraz już się zdarzyło, że kobieta szukała mojego towarzystwa w łóżu, chociaż dwie jednocześnie mi się jeszcze nie trafiły.

- Jesteście łajdakiem! - wykrzyknęła Mathilde, oburzona tą bezwstydną uwagą, i ruszyła ku drzwiom.

Norman szybko zaszedł jej drogę.

- Wypuście nas, panie! - zażądała, przybierając bojową pozę, podczas gdy Giselle znalazła schronienie w kącie.

- Z przyjemnością, gdy tylko usłyszę, jaki jest powód tego najścia.

Nie wydawał się już przyjacielski ani rozbawiony. Z całej siły chwycił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę, a gdy sztylet upadł na podłogę, kopnięciem odsunął go na bezpieczną odległość. Wciąż jednak groźnie przyglądał się Mathilde. Teraz łatwiej było uwierzyć, że pochodzi z wpływowej i znanej rodziny.

- Czy to jakiś podstęp? - spytał, krzyżując

muskularne ramiona. - Mam się spodziewać odwiedzin gniewnego ojca albo brata, który zażąda, abym poślubił tę damę? Jeśli tak, to srodze się zawiedzie. W łóżu powitałbym ją z przyjemnością, ale nie pozwolę, aby ktoś wymuszał na mnie ożenek.

- Mathilde, powiedz mu, po co przyszliśmy -poprosiła Giselle czerwona na twarzy jak kardynalska szata.

- Wypuście nas, panie, jeśli wytłumaczę? -spytała nieufnie Mathilde. Twierdząco skinął głową.

- Dobrze więc. - Zdecydowana zakończyć jak najszybciej ten niefortunny epizod, stanęła w rozkroku i odważnie spojrzała Normanowi prosto w oczy. - Potrzebujemy rycerza, a ponieważ słyszałyśmy, że nie macie pieniędzy, więc pomyślałyśmy...

- Czy ja wyglądam na najemnika? - przerwał jej, opuszczając ramiona wzdłuż ciała. Twarz mu wyraźnie pociemniała.

- W tej chwili wyglądamie, panie, na półnagiego mężczyznę - odparła Mathilde, udając spokój. -Może gdybyście wdziali coś na siebie, mogłabym wydać bardziej zasadny sąd.

Parsknął śmiechem.

- A więc ty jesteś tą trzeźwo myślącą - stwierdził, opierając się plecami o drzwi i znów krzyżując ramiona. - Mówisz, że potrzebujecie rycerza. Po cóż, jeśli nie dla przyjemności?

- Aby wsparł nas, gdyby do posiadłości zostawionej nam w spadku przez ojca przyjechał kuzyn i próbował ją odebrać.

- Chcecie, aby rycerz stanął do walki z kuzynem?

- Nie do walki - wtrąciła zaniepokojona Giselle. Mężczyzna przyjrzał jej się nieco zdezorientowany.

- Po co wam człowiek wyszkolony jako żołnierz, jeśli nie do walki?
- Musi tylko wyrzeć na nim odpowiednie wrażenie - powiedziała Mathilde. - Pokazać mu, że jesteśmy gotowe bronić naszych praw i dysponujemy niezbędnymi środkami.
- Mam być na pokaz?! - W głosie Normana zabrzmiała nuta oburzenia.
- Wtedy Roald dwa razy pomyśli, zanim zdecyduje się próbować skraść nasze dziedzictwo.

Na twarzy rycerza odmalowało się nagle zainteresowanie.

- Roald to nieczęste imię. Czy jest możliwe, że spotkałem go kiedyś na dworze?

Zapewne, uświadomiła sobie Mathilde. A skoro tak, to należało zachować ostrożność. Ten człowiek mógł być przyjacielem Roalda, przynajmniej na tyle, na ile można było się zaprzyjaźnić z tak samolubnym osobnikiem.

- Nasz kuzyn to sir Roald de Sayres.
- Tak myślałem - stwierdził Norman, pogardliwie wydymając wargi. - Jesteś spokrewniona z tym łajdakiem?
- Znacie go, panie?

- Nienawidzę tego oszusta.

Zamaszyście podciągając prześcieradło, podobnie jak kobieta unosi spódnicę sukni, rycerz podszedł do stołu, wziął z blatu bukłak i uniósł go do ust, wytrząsając z niego ostatnie krople. Mathilde zerknęła na Giselle. Jeśli ten człowiek nienawidzi Roalda...

- Dlaczego go nienawidzicie?

- W obecności damy wolałbym raczej tego nie mówić - odparł Norman i odrzucił pusty bukłak na stół.

Damy? Z pewnością chodziło o Giselle. Mathilde zaintrygowało, kim wydała się rycerzowi ona sama.

- Jestem lady Mathilde z Ecclesford - oznajmiła sztywno. - A to moja siostra, lady Giselle.

Rycerz zmierzył ją spojrzeniem pełnym niedowierzania.

- Dama? A ja cię wziąłem za służącą, pani.

- Całkiem niesłusznie.

- Proszę o wybaczenie - oświadczył, choć skruchy było w tym niewiele.

Jednocześnie sięgnął ręką do talii, wokół której miał owinięte prześcieradło.

- Co robicie, panie?! - wykrzyknęła Mathilde i szybko się odwróciła.

- Chcę usłyszeć więcej o waszym problemie, więc uznałem, że powinienem się odziać. Czyżbym się mylił, pani?

To mogło jedynie ułatwić rozmowę, więc Mathilde nie zaprotestowała. Ponieważ jednak nie musiała asystować rycerzowi podczas tej czynności, schowawszy sztylet, zaczęła wolno przesuwając się ku drzwiom. Niestety, Giselle, wciąż ukryta w kącie, najwyraźniej uległa fascynacji widokiem mężczyzny, a zanim Mathilde zdążyła pochwycić jej spojrzenie, on oznajmił:

- Już dobrze. Teraz można na mnie patrzeć.

I nawet było warto. Rycerz wdział zwykle wełniane nogawice i białą koszulę, luźno związaną pod szyją, a na to skórzaną tunikę bez rękawów, ściągniętą pasem, z którego zwisał wielki miecz ukryty w pochwie. Jego trzewiki, mimo że zadbane i lśniące, z pewnością nie były nowe.

Ponieważ nie zwracał już uwagi nagością, Mathilde skupiła wzrok na jego twarzy o regularnych rysach i bystrych, piwnych oczach.

- Jesteśmy spokrewnione z Roaldem - zagaiła ostrożnie - zapewniam was jednak, panie, że nie darzymy go cieplejszym uczuciem od was nie tylko dlatego, że obawiamy się jego knoń. Zdążył nam zaszkodzić w przeszłości, mamy więc podstawy obawiać się, że w przyszłości będzie podobnie. Ten człowiek nie ma ani honoru, ani litości. Brak mu też krzyny życzliwości dla ludzi.

- To chyba rzeczywiście ten sam Roald, którego znam - stwierdził Norman.

- Niedawno zmarł nasz ojciec - podjęła lekko łamiącym się głosem, bo jej żaloba wciąż była świeża. - W testamencie zapisał Ecclesford Giselle i mnie, a ziemię nakazał podzielić między nas po połowie. Dla Roalda przeznaczył jedynie nie-

wielką kwotę pieniędzy. Jednakże wielu ludzi uważa, że dziedziczenie powinno się odbywać jedynie w linii męskiej. W takiej sytuacji panem Ecclesford zostałby Roald, a ja jestem pewna, że spróbuje wysunąć ten argument, aby okraść nas ze spadku.

- Należy się też liczyć z tym, że postanowi wydać was obie za mąż, aby zawrzeć korzystne dla siebie sojusze - dodał Norman, czym dowiódł, że chciwość i ambicje Roalda są mu znane. - Potrzebujecie więc rycerza, aby go odstraszył i zniechęcił do występowania z roszczeniami, czy tak?

- Właśnie. Powiedziano nam, panie, że jesteście bratem lorda Dunkeathe w Szkocji i przyjacielem pana na Tregellas w Kornwalii. To prawda?

- Mam ten zaszczyt, owszem - odrzekł mężczyzna, wykonując dworny ukłon. - Tak się składa, pani, że w obecnej chwili nie ciąży na mnie żadne niecierpiące zwłoki zobowiązania, więc z przyjemnością zniweczę plany Roalda. Ponieważ zarazem jest moim rycerskim obowiązkiem wesprzeć damy w potrzebie, zatem chętnie ofiaruję pomoc. Naturalnie jako człowiek honoru zapłaty przyjąć nie mogę.

- Wobec tego, panie...

- Mathilde - przerwała jej Giselle. - Czy mogę zamienić z tobą kilka słów na osobności?

Mathilde nie spodobał się wyraz rozbawienia, który pojawił się po słowach Giselle w piwnych oczach rycerza, nie oznaczało to jednak, że mogłaby zlekceważyć prośbę siostry.

- Naturalnie - odparła i szybkim krokiem pokonała resztę drogi do drzwi. Gdy tylko znalazły się na schodach, Giselle przystanąła, jakby nie mogła dłużej czekać z tym, co ma do powiedzenia.

- Mathilde, co do tego rycerza z pewnością nie musimy podejmować decyzji w tej chwili ani nawet dzisiaj. Przemyślmy to jeszcze dobrze.

- Jutro może go tu nie być... Poza tym, o czym tu myśleć? - odparła Mathilde, ledwie powściągając zniecierpliwienie. - Ilu innych rycerzy z takimi koligacjami może przejeżdżać przez nasze hrabstwo w najbliższych dniach? Ilu innych będzie nienawidzić Roalda tak jak ten?

- Bardzo mało o nim wiemy. Nawet nie znamy jego imienia.

Wielki Boże. Giselle miała rację. Mimo wszystko samo imię nie było tak ważne jak koligacje.

- Jakkolwiek nazywa się ten Norman, powinniśmy przyjąć jego pomoc, jeśli ją oferuje.

Giselle, która jeszcze przed chwilą spoglądała na nią z bardzo sceptyczną miną, teraz wyraźnie czymś się zainteresowała.

- Jest bardzo przystojny.

- Nie bój się, Giselle - uspokoiła ją szybko Mathilde. - Będę się pilnować, ty bez wątpienia też, a jeśli Norman nie będzie zachowywał się przyzwoicie, zawsze możemy go poprosić o opuszczenie zamku.

Przyjmiesz jego pomoc?

- Skoro sama nie potrafię wymyślić nic lepszego... Dobrze, tymczasem się zgadzam, ale jeśli

uznam, że ten człowiek powinien odejść, nie będziesz ze mną dyskutować i mącić mi w głowie. Obiecujesz?

- Obiecuję.

Kiedy wróciły do izby, zastały rycerza siedzącego na łóżku z nogą założoną na nogę. Pogwizdywał wesołą melodię. Widząc je, wstał i przesłał im uśmiech.

- Jadę do Ecclesford czy nie?

- Tak, jeśli tylko chcecie, sir...? Roześmiał się i elegancko skłonił.

- Proszę mi wybaczyć uchybienie w manierach. Mogę się usprawiedliwiać jedynie niecodziennymi okolicznościami naszego spotkania. Jestem sir Henry D'Alton, brat Nicholasa Dun-keath, szwagier starszego klanu Taran, i wypróbowany towarzysz broni lorda Merricka z Tregellas.

- To wspaniałe referencje, sir Henry. Jeśli zbierzecie teraz swoje rzeczy, to eskorta oczekuje nas na podwórzu.

- Proszę powiedzieć karczmarzowi, żeby osiodłano Apolla - odrzekł, przepuszczając je dwornie w drzwiach - i niech przygotuje dla mnie pajdę chleba na drogę, jeśli zamierzacie panie wyruszyć natychmiast.

- Niezwłocznie - potwierdziła Mathilde. Należało liczyć się z tym, że Roald nadjechał podczas ich nieobecności.

Sir Henry uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie mogę się doczekać widoku miny Roalda, który zastanie mnie w zamku.

Mathilde nie odpowiedziała, tylko dziarskim krokiem wyszła na podest. Wymijając dziobiące kury, człapiące po błocie gesi i kałuże pozostałe po nocnym deszczu, licząc się z możliwością następnej ulewy, Mathilde i jej llostra zmierzały ku eskorcie. Niektórzy żołnierze itali oparli o ścianę stajni, której szkielet wypełniono gliną oblepiającą plecionkę z gałęzi, inni siedzieli na stogu. Kilku znalazło sobie kąt we względnie suchym miejscu pod okapem. Wszyscy zgodnie trzymali w rękach kubki piwa, które bez wątplenia doniósł im karczmarz. Cerdic dostrzegł je pierwszy. Wydał szczekliwy rozkaz i odstawił piwo na pobliską baryłkę. Ludzie dziarsko wstawali i zeskakiwali z siana, aby przygotować się do drogi. Wysoki, jasnowłosy Cerdic, chłop na schwał, w niczym nie ustępował Normanowi: ani szerokością barków, ani muskulaturą kończyn. Jak wielu (ego anglosaskich przodków osiągnął mistrzostwo w walce na topory, a choć nie był tak przystojny jak sir Henry, to przecież nikt nie nazwałby go pospolitym. Twarz o wyrazistych rysach otaczały gęste włosy spadające na ramiona. Miał luźną skórzaną tunikę i nogawice również ze skóry. Ciemną pelerynę spinała okrągła klamra z brązu, która niegdyś należała do jego ojca, a wcześniej do dziadka. Obute łydki ogrzewało dodatkowo wilcze futro, obwiązane cienkimi rzemieniami.

- Rafe miał rację - odezwała się Mathilde, gdy podeszła do Cerdica, komendanta zamkowej stra-

ży. - Normañski rycerz jest bratem wpływowego człowieka ze Szkocji, szwagrem innego, a do tego przyjacielem pana na Tregellas w Kornwalii. Najważniejsze zaś, że zgodził się nam pomóc.

Cerdic zmarszczył czoło, podobnie bowiem jak Giselle nie był entuzjastą planu Mathilde.

- A co zrobisz, pani, jeśli Roald na widok sir Henry'ego nie ucieknie jak przestraszony pies z podkulonym ogonem? - spytał.

- Nie kwestionuję twoich umiejętności wojownika, Cerdicu. Wolałabym jednak, abyś nie spieszył się z krytykowaniem moich zamierzeń, zwłaszcza że mam nadzieję oszczędzić w ten sposób życie wielu twoich podkomendnych. Wierz mi jednak, że jeśli ten plan się nie powiedzie i mimo wszystko dojdzie do walki, to wiem, że nasi ludzie nie zawiodą. Na te słowa Cerdic uśmiechnął się szeroko, uśmiech jednak mu przygasł, gdy zobaczył zmierzającego ku nim sprężystym krokiem sir Henry'ego w grubej czarnej pelerynie, z dużą skórzaną sakwą przerzuconą przez ramię. Spod wierzchniego odzienia dobywały się chrzęsty i pobrzękiwania kolczugi.

- Myślisz, pani, że ten człowieczek przestraszy Roalda? - spytał zaskoczony Cerdic.

Tylko on mógł uznać sir Henry'ego za „człowieczka”. Norman istotnie był smukły, ale Mathilde doskonale wiedziała, jak dobrze jest zbudowany, a choć Cerdicowi wzrostem nie dorównywał, to przewyższał większość ich żołnierzy, zwłaszcza ciemnowłosych Celtów.

- Jeśli nawet nie on sam - odrzekła, zerkając na komendanta straży - to z pewnością jego rodzina i przyjaciele.

Sir Henry musiał zauważyć niechętną minę Cerdica, a mimo to gdy podszedł, na wargach igrał mu nikły uśmiech, jakby sądził, że należy uczcić jego przybycie. Może zresztą rozbawiło go zachowanie jej ludzi? - zastanawiała się Mathilde. Czyżby wywyższał się i uważał, że Normanie są z natury lepszymi żołnierzami? Straż po dłuższym oczekiwaniu na podwórzu istotnie nie prezentowała się najlepiej, a Cerdic mógłby się trochę ostrzyć, ale i włosy sir Henry'ego były jak na Normana niezwykle długie, a strój wydawał się mało szlachecki.

Mathilde przypomniała sobie jego zachowanie w gospodzie i przyszło jej na myśl, że może to być również normalny wyraz twarzy rycerza przybieranego w obecności dam, zwłaszcza tak urodziwych jak Giselle.

- Sir Henry, to jest Cerdic, dowódca naszej eskorty i komendant straży w Ecclesford - dokonała prezentacji.

- Sądząc po włosach i toporze, wasi przodkowie musieli być Anglosasami

- powiedział przyjaźnie sir Henry.

- Z tej uroczej twarzy widać, że jesteście Normanem.

Sir Henry nadal się uśmiechał, choć Mathilde dostrzegła w jego spojrzeniu irytację. Cerdic zeszywniał i odniosła wrażenie, jakby obserwowała

dwa dorodne kozły jeleni, które zaraz zaczną się bóść. Nie chciała, żeby doszło do bijatyki. Cerdic był jej przyjacielem, a sir Henry'ego potrzebowali.

- Cerdicu - wtrąciła się, a ton jej głosu stał się ostrzegawczy. - Sir Henry zatrzyma się w Ecclesford jako gość.

Cerdic na szczęście cofnął się o krok. Sir Henry wybuchnął śmiechem, humor niewątpliwie mu dopisywał.

- Co powiesz, mój krzepki przyjacielu, na to, żebyśmy już ruszyli? O ile wzrok mnie nie myli, zbiera się na burzę. Nie chciałbym dojechać do zamku przemoczony.

Rozdział drugi

Sir Henry przyglądał się swoim towarzyszkom i rozmyślał o tym, co go spotkało. Nie każdego dnia człowiek budzi się mierzony baczynym spojrzeniem nieznajomych dam, aczkolwiek zdarzało mu się, że nieoczekiwanie odkrywał obecność niezaproszonej wcześniej kobiety w swojej sypialni. Cieszył się powodzeniem wśród płci pięknej, co oznaczało, że takie sytuacje przestały mu schlebiać i sprawiać przyjemność, a co więcej, zdecydowanie go nie bawiły.

Mimo to lady Giselle podziałała na jego wyobraźnię. Miała regularne rysy twarzy, mleczną cerę ze śladem rumieńców na policzkach i bujne blond włosy. Okrywał ją elegancki płaszcz z ciemnogranatowej wełny, spięty pod szyją srebrną broszą. Również suknia była najwyższej jakości, z intensywnie niebieskiego adamaszku, ściągnięta skórzanym pasem.

Nawet napomknienie, że mógłby być zdolny do takiej dwulicowości, trąciło obelgą.

- Obiecałem pomóc i zrobię to. Nawet gdyby było inaczej, Roald nie próbowałby szukać we mnie współnika, bo nasza nienawiść jest wzajemna.

- Zakładam więc, że doszło między wami do kłótni. O co poszło? O zakład? O kobietę?

- Z pewnością nie zawierałbym zakładów ani z Roaldem, ani z jego kompanami. Przede wszystkim należy się liczyć z tym, że oszukują. Przesłała mu taksujące spojrzenie, które jednak odebrał jako wyraz uznania.

- A więc chodzi o kobietę? - nie ustawała. To było już bliskie prawdy, choć ich nienawiść

wybuchła z innej przyczyny. Nie chciał jednak ciągnąć tego przesłuchania, postanowił więc zaspokoić jej ciekawość.

- Podczas naszej bytności na dworze zastałem go, kiedy próbował się narzucać służącej.

Z obrzydzeniem przypomniał sobie tę scenę, przed oczami znów stanęła mu przerażona twarz dziewczynki. Mała nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, ale przynajmniej ten szczegół postanowił ukryć przed wścibską Mathilde.

- Wyciągnąłem miecz i kazałem mu ją puścić, więc od tej pory Roald uważa mnie za wroga.

Wydało mu się, że przez twarz damy przemknął wyraz satysfakcji, szybko jednak znikł, ponownie ustępując miejsca powadze oraz

przenikliwemu spojrzeniu, nie mniej krępującemu od tego, którym zwykł mierzyć go brat.

- Kiedy to się stało?

- Przed dwoma laty.

- Nie oskarżono go o próbę gwałtu?

Henry wzdrygnął się, słysząc to słowo. Nie był przyzwyczajony do tak bezpośredniego nazywania czynów przez kobiety.

- Nie.

- Czyli złapaliście go, panie, w chwili, gdy chciał dopuścić się przestępstwa, a mimo to puściliście go wolno?

Henry spłonął rumieńcem, przejęty nagłym poczuciem winy, mimo że tamtej nocy i wiele razy później powtarzał sobie, że nie ma powodu do wyrzutów sumienia.

- Nie widziałaś, pani, tej dziewczynki, i nie słyszałaś jej szlochu ani błagań; aby nie wzywać straży. Była pewna, że jeśli będzie jej słowo przeciwko słowu Roalda, nikt jej nie uwierzy, Roald powie, że go sprowokowała, a wtedy nic nie uratuje jej opinii. Uznałem, że ma rację, więc go puściłem.

- Wielu szlachetnie urodzonych mężczyzn nie zwróciłoby na to uwagi, uważając, że zwykła służąca po prostu im się należy, czy jej się to podoba, czy nie.

- Ale nie ja - zastrzegł się. - Nie wziąłbym kobiety wbrew jej woli, bez względu na urodzenie. Nigdy też nie pozwoliłbym, aby kobieta z mojego powodu płakała ze strachu albo z bólu.

Lady Mathilde pożałowała swojej zapalczywo-ści. Powinna była pamiętać, że jest damą.

- Dziewczynka miała szczęście, że w porę jej pomogliście, panie - powiedziała.

Henry najwidoczniej poczuł się zobowiązany, aby odpłacić uprzejmością za uprzejmość, bo skinął głową ku Cerdicowi. Komendant straży miał przypasany do boku miecz, a na plecach wiózł groźnie wyglądający topór.

- To dość niezwykle widzieć Anglosasa, któremu powierzono tak wielką odpowiedzialność.

Prawdę mówiąc, nie sądził, aby którykolwiek ze znanych mu normañskich-panów był gotów obdarzyć Anglosasa takim zaufaniem czy nawet uważać za przyjaciela. Niby minęło już ponad dwieście lat od czasów panowania Wilhelma Zdobywcy, ale stare animozje niełatwo znikają.

- Cerdic pochodzi z rodu królów, którzy rządili tutaj przed przybyciem Normanów - wyjaśniła Mathilde.

Najwyraźniej podziwiała tego człowieka. Ni stąd, ni zowąd Henry zaczął się zastanawiać, jak daleko sięga zażyłość tych dwojga, chociaż nie miało to dla niego znaczenia. Nie interesowała go zuchwała i bezwstydna lady Mathilde.

- Pochodzisz, pani, z Prowansji, prawda? - spytał, wnioskując z jej akcentu.

- Tam się urodziłam i mieszkałam przez większą część dzieciństwa.

Podobnie jak królowa, którą Henry pogardzał, uważając, że popycha jego ziomków do buntu, kierując się wyłącznie interesem swojej rodziny.

- To tak jak królowa Eleonora - stwierdził ciekaw jej reakcji.

Lady Mathilde popatrzyła na niego tak, jakby odczuwała do królowej równie silną niechęć.

- Jeśli to, co mówił o jej rodzinie mój ojciec, jest prawdą, to źle się stało dla Anglii, że poślubiła króla Henryka.

Zaintrygowała go jeszcze bardziej.

- A co on takiego mówił?

- Że świat ma dzięki niej tylko piękne kobiety, a rodzina wykazuje bystrość jedynie w korzystnym planowaniu małżeństw.

Było to tak trafne spostrzeżenie, że Henry mimo woli parsknął śmiechem.

Ponieważ jednak ani na chwilę nie przestał być sobą, szybko dodał:

- Nie tylko dzięki rodzinie "królowej świat ma piękne kobiety.

Lady Mathilde zmarszczyła czoło.

Wyraźnie popełnił omyłkę. Ta dama pozostawała nieczuła na pochlebstwa, może zresztą uznała tę uwagę za przypomnienie, że jej siostra jest piękna, a ona nie.

- Mój ojciec nie lubił też Normanów - oświadczyła po chwili. - Uważał, że dążą do wywołania wojny i nie doceniają muzyki ani sztuki.

Jednak wzburzyła ją moja uwaga, pomyślał Henry, a ponieważ dobrze wiedział, co to znaczy być porównywanym do rodzeństwa jako ten gorszy, nie obraził się o ten przytyk. Co gorsza, spostrzeżenie to było prawdziwe w jego przypadku. Nie zwracał uwagi na dzieła sztuki ani na

muzykę, jeśli nie liczyć zabawnych i rubasznych przyśpiewek, ale do tej pory nie dano mu do zrozumienia, że jest to u człowieka znaczący brak.

- Ktoś musi bronić królestwa - stwierdził.

- To Wilhelm bronił Anglii, kiedy ją najechał? Widocznie mam na ten temat zupełnie mylne wyobrażenie.

- Hm, zdarza się, że nas ponosi... ale czasem tacy ludzie też są potrzebni, aby bronić czyichś włości.

- Bez urazy, panie rycerzu - powiedziała po chwili zakłopotana Mathilde.

- Zresztą, jeśli o mnie chodzi, nie do końca podzielam opinię mojego ojca o Normanach. A i on podziwiał niektóre osiągnięcia waszych ziomków.

Na przykład Wielką Kartę Swobód * i ograniczenia władzy króla, jakie z niej wynikły. Właśnie dlatego ojciec zrezygnował z praw do majątków we Francji na rzecz swojego brata, a ojca Roalda, w zamian przyjąwszy Ecclesford. Wkrótce jednak przekonał się, że dwór w Anglii niewiele różni się od tego we Francji. Przeżył nad wyraz bolesne rozczarowanie i zaszył się w zamku.

To wyjaśniałoby, dlaczego Henry nie spotkał na dworze tych dwóch dam ani nawet o nich nie słyszał.

•**Wielka Karta Swobód - *Magna Charta Libertatum, The Great Charter*, akt wydany w Anglii w 1215 roku przez króla Jana bez Ziemi, uznawana za jeden z brytyjskich aktów konstytucyjnych i gwarancję wolności obywatelskich (przyp. red.).**

- Dlatego nie mamy szlachetnie urodzonych przyjaciół, na których mogłybyśmy polegać. Inaczej nie musiałabym prosić o pomoc obcego człowieka.

Dalej jechali w milczeniu.

- Ecclesford jest za tym lasem - powiedziała lady Mathilde, gdy przejechali kolejną milę.

Chmury ciemniały z każdą chwilą i wzmógł się zimny wiatr. Henry raz po raz zerkał w niebo z nadzieją, że nie zacznie padać.

Jednak zanim dotarli do zamku Ecclesford, Henry był całkiem przemoczony. W strugach deszczu niewiele mógł zobaczyć, choć i tak zauważył, że twierdzę otacza sucha fosa, przzerwana wyłącznie w miejscu, gdzie droga dochodziła do masywnej drewnianej bramy połączonej z zaledwie jednym pierścieniem murów. Bez wątpienia nie był to najlepiej ufortyfikowany zamek, jaki widział Henry.

Wjechawszy na brukowany dziedziniec, wszyscy zeskoczyli z koni.

Chłopcy stajenni, przysłaniając głowy ramionami, wybiegli do pomocy.

Zwierzęta parskwały i przestępowały z nogi na nogę, a ich podkowy głucho stukały o kamienie. Żołnierze, klnąc na pogodę, bezceremonialnie rozbryzgiwali kałuże.

Pośród tego chaosu rozległ się nagle mocny i czysty głos lady Mathilde:

- Proszę za mną do wielkiej sali, sir Henry.

Z najwyższym trudem powstrzymał się przed

chwyceniem jej za ramię, aby w ten mało subtelny sposób zmusić ją do pośpiechu. Nie chodziło mu nawet o to, że odzienie przemokło, przede wszystkim nie mógł znieść bijącego w nozdrza zapachu wilgotnych kamieni, który przypominał mu długie godziny spędzone w zimnym, zapleśniałym lochu. Przypominał mu też, że człowiek, z którym związała go przysięga lojalności i braterstwa, mu nie ufał.

Gdy wreszcie znalazł się pod dachem, podał przemoczone okrycie służącemu, po czym otrząsnął się jak pies, jakby bronił się w ten sposób nie tylko przed wilgocią, ale i niechcianymi wspomnieniami. Tymczasem lady Mathilde energicznie krzątała się w pobliżu. Słyszał, jak mówi coś o komnacie i posiłku.

Wielka sala wbrew nazwie była ciasna, mieściła bowiem liczne ławy, stołki, krzesła i stoły. Ścianę za podwyższeniem, gdzie do posiłku zasiadali gospodarze i wyróżnieni goście, zdobiły tapiserie przedstawiające sceny myśliwskie i damy w ogrodzie. Nieco chroniło to biesiadników przed dotkliwymi przeciągami i chłodem bijącym od kamiennych ścian, na których tu i ówdzie umieszczono uchwyty do łuczyw. Największą atrakcją sali był ogień buzujący w wielkim kominku. Henry natychmiast tam podszedł i wyciągnął dłonie ku źródłu ciepła. Dorzucono jabłoniowych gałęzi, których zapach mieszał się z wonią zawilgoconej wełny i płótna oraz mokrego sitowia pod stopami.

Lady Mathilde dalej komenderowała niczym generał na polu bitwy, natomiast lady Giselle znikła na krętych schodach prowadzących zapewne do jej pokojów, gdzie czekało suche odzienie. Cerdic i reszta eskorty rozsiadli się przy kominku. Wszyscy zerkali w jego stronę, a jednocześnie starali się zająć miejsce jak najbliżej ognia.

Henry nie zwracał na nich uwagi. Był przyzwyczajony do taksujących spojrzeń. Dwa razy spostrzegł urodziwą służącą w sukni dodatkowo podkreślającej krągłości figury. Dziewczyna wcale nie ukrywała zainteresowania gościem; przechodząc, uśmiechnęła się do niego. Również do tego Henry przywykł, miał więc prawo przypuszczać, że dziewczyna bez oporów przyszłaby do jego komnaty. Nie był jednak tym zainteresowany. Po pierwsze, wbrew temu, co niekiedy sądzono na jego temat, nie miał zwyczaju ciągnąć do łóża każdej młódki, która wpadła mu w oko. Po drugie, od czasu, gdy odzyskał wolność, przekonał się, że namiętne pieszczoty nie wyzwalają w nim senności, lecz wręcz przeciwnie, odbierają mu sen i przywodzą niepożądane myśli. Poza tym wątpił z całego serca, czy urocza i skromna lady Giselle byłaby skłonna przyjąć go jako godnego adoratora, gdyby pod samym jej nosem korzystał z wdzięków służącej. Co zaś się tyczy zdrożnych fantazji związanych z lady Mathilde, bez wątpienia stanowiły skutek zmęczenia i niezwykłych wydarzeń tego dziwnego dnia. Owszem, dzielności i energii jej nie odmawiał,

ale nie była w jego typie. Zbyt zuchwała jak na jego upodobania.

U podnóża schodów ukazała się lady Giselle. Miała teraz na sobie suknię z jasnoniebieskiego aksamitu, która pięknie harmonizowała z kolorem jej oczu. Białą chustę zdobiły drobne hafty w tym samym odcieniu, a na głowie przytrzymał ją złoty diadem o zawiłym ornamente. Długie rękawy sukni były przesyte złotymi i szmaragdowymi nićmi, podobną zielenią lśniło też jedwabne podbicie. Świetności kreacji dopełniał złoty pas spinający ją w talii.

Tak wyglądało, zdaniem Henry'ego, piękno wcielone. Gdy przyglądał się lady Giselle, był pewien, że jeśli nie zacznie się do niej zalecać, okaże się głupcem.

- Może chcielibyście się przebrać, panie? - wyrwała go z zamyślenia lady Mathilde.

Ku jego zdziwieniu, stała tuż obok i przyglądała mu się badawczo.

Odczuł skrępowanie. Gdyby ktoś powiedział mu w tej chwili, że lady Mathilde potrafi czytać w myślach, byłby skłonny w to uwierzyć.

- Wasza komnata jest gotowa - dodała. Kątem oka zauważył jednak, że do kominka

zbliża się lady Giselle, uznał więc, że nie przemókł na tyle, aby nie mógł jeszcze poczekać.

- Dziękuję, ale jest mi tutaj całkiem dobrze.

Mina lady Mathilde wskazywała na to, że zorientowała się w niewinnym kłamstwie. Nagle jednak oczy radośnie jej się rozjarzyły.

- Ojciec Thomas! - zawołała i wyminawszy Henry'ego, podbiegła do duchownego w średnim wieku, który właśnie wszedł do sali.

Tymczasem ku strapieniu Henry'ego lady Giselle nie dotarła do kominka i przeszła na podwyższenie. Zastanawiał się nawet, czy nie porzucić dla niej przytulnego miejsca przy ogniu, ale tymczasem zbliżyła się lady Mathilde, prowadząc duchownego niczym kwoka jedyne kurczę. Ten patrzył przyjaźnie, na głowie zaś miał łysinkę otoczoną wianuszkiem rzadkich włosów.

- Sir Henry, to jest ojciec Thomas, kapelan Ecclesford, który jednak odmawia zamieszkania w zamku - przedstawiła przybyłego z nieukrywaną przyjemnością.

Nie zdziwiłoby go nawet gdyby lady Mathilde nagle zachichotała. Zaszła w niej niewiarygodna zmiana. Zupełnie jakby jeszcze nie tak dawno rozmawiała z nim całkiem inna kobieta. Ojciec Thomas uśmiechnął się do niego przepaszająco.

- Obawiam się, że lady Mathilde nigdy nie wybaczy mi mojej decyzji, by zamieszkać między wieśniakami - powiedział z akcentem, który zdradzał wykształconego człowieka, prawdopodobnie młodszego syna szlacheckiej rodziny z południa Francji. - Oni potrzebują mnie bardziej.

- Bardziej niż żołnierze? - spytał lekko Henry. Dla duchownych miał od dziecka niemal instynktowny podziw. - Sądziłbym, że to raczej oni więcej grzeszą.

W oczach duchownego zdawała się odbijać

wiedza o świecie dostępna niewielu świeckim śmiertelnikom.

- Wszyscy ludzie są wystawieni na pokusy, synu. Żołnierz przynajmniej ma pewność, że ktoś da mu wikt i opierunek. Mieszkańcy wsi nie są tak bezpieczni, chociaż panie na Ecclesford traktują ich z wyjątkową szczodrością. - Westchnął. - Jest jednak tak, jak mówi nam Pan. Biedni zawsze będą wśród nas, a ich życie jest ciężkie.

Henry naturalnie nie był całkiem nieświadom warunków życia wieśniaków, rzadko jednak miał z nimi styczność. Teraz, stojąc przed księdzem odczuł nagle zawstydzenie.

- Ojciec Thomas mówi, że na razie Roalda ani wido, ani słycho - poinformowała Mathilde. - Im więcej mija dni bez niego, tym żywsza nadzieja, że jednak pogodził się z wolą naszego ojca.. . Mniejsza o to, przyszedł czas, żeby coś zjeść - oznajmiła. - Sir Henry, proszę zająć krzesło. Giselle, usiądź po prawej stronie gościa, a ojciec Thomas po lewej.

Karnie niczym żołnierze domownicy ulokowali się na wskazanych miejscach. W trakcie posiłku Henry starał się nie zwracać uwagi na żywiołową lady Mathilde, siedzącą za ojcem Thomasem, postanowił bowiem wyrzeć wrażenie na lady Giselle. Podczas pierwszego dania złożonego ze świeżego chleba, masła i turbota zapieczonego w sosie z porów i szafranu opowiadał najlepsze znane mu krotchwile, w większości z życia znajomych dworzan. Jednak panna nie uśmiechnęła się ani razu. Kiedy następnie podano pyszną wołowinę w sosie własnym z dodatkiem cebuli, pietruszki i szałwii, opowiadał właśnie o turniejach, w których uczestniczył, i pokonanych przez siebie rycerzach. Przytoczył też kilka historii o swoich przyjaciółach: Merricku, panu na Tregellas, i sir

Ranulfie, obecnie tamtejszym komendancie straży. Lady Giselle wydawała kiedy należy okrzyki podziwu podczas opisów walk, ale zachowywała przy tym widoczny dystans, i jasne było, że reaguje jedynie z uprzejmości. Potem postawiono przed nimi pudding z jaj, śmietany, pokruszonego chleba i mielonego mięsa, przyprawiony pieprzem i czymś bardziej egzotycznym, czego Henry nie umiał nazwać. Spróbował z kolei zabawić lady Giselle opowieścią o swojej* siostrze i jej pełnej przygodzie ucieczce ze Szkotem. Tu wreszcie udało mu się wywołać u lady Giselle bardziej spontaniczną reakcję. Otworzyła szerzej oczy i spłonęła rumieńcem.

- Jak można narazić rodzinę na takie strapienie i do tego niesławę? -
zdziwiła się. - To musiało być dla was bardzo trudne, panie.

- Prawdę mówiąc, mnie akurat przy tym nie było - przyznał zadowolony,
że w końcu się odezwała.

Lady Giselle ponownie zamilkła. Henry nigdy nie spotkał się z taką obojętnością. Nie wróżyło to dobrze. Może jednak powinien sprawdzić, czy ta piersiasta służąca rzeczywiście jest mu tak przychylna, jak się zdaje, chociaż wiedział dobrze, że

taka przygoda nie gwarantuje mocnego snu. Z drugiej strony, może pozbyłby się w ten sposób niedorzecznych wyobrażeń na temat lady Mathilde, które pchały mu się przed oczy nawet wtedy, gdy rozmawiał z jej siostrą.

Gdy znikły ze stołu ostatnie pieczone owoce, lady Giselle odsunęła krzesło i wstała.

- Wybaczcie, proszę - powiedziała cicho, patrząc na siostrę i ojca Thomasa. - Chciałabym się dzisiaj wcześniej położyć.

- Miałyśmy ciężki dzień, to prawda - przyznała lady Mathilde, chociaż sama nie odczuwała zmęczenia.

- Dziękuję za wspaniały posiłek, pani - odezwał się ksiądz i również podniósł się z miejsca.

- Jeśli wolno, wezmę resztki, aby rozdać tym, którzy czekają przy bramie.

- Naturalnie, ojciec - powiedziała Mathilde.

- Jak zawsze chętnie wyrażam zgodę, a jeśli mogłabym zrobić coś więcej, wystarczy tylko poprosić.

- Dziękuję, pani, niech Bóg błogosławi cię i wszystkich domowników. Ojciec Thomas zwrócił się do Henry'ego, który również wstał.

- Dziękuję ci, synu, że przyszedłeś z pomocą tym damom w godzinie potrzeby. Bóg z pewnością odpłaci ci za twoją wielkoduszność.

Henry miał poczucie, że nie działa całkiem bezinteresownie, mimo woli uciekł więc wzrokiem przed ciepłym spojrzeniem duchownego.

- To dla mnie zaszczyt, ojciec.

Kiedy ojciec Thomas opuścił podwyższenie, Henry uznał, że i on może udać się na spoczynek.

- Ja też powinienem trochę pospać, pani - odezwał się, dodając w myślach: „jeśli tylko mi się uda”. - To był długi i dość niezwykły dzień. Urodziwa służąca ukazała się natychmiast z wąską świecą łożową, zaopatrzoną w knot z sitowia. Miało się wrażenie, że przez cały czas czekała na tę chwilę.

- Oświetlę gościowi drogę, milady. Lady Mathilde wzięła od służącej świecę.

- Powinnaś pomóc w kuchni, Faigo. Ja zaprowadzę naszego gościa do komnaty. Proszę za mną, sir Henry.

Dziarsko zaczęła zmierzać ku krętym schodom, Henry'emu zaś nie pozostało nic innego, jak potulnie pójść za nią. Władcza postawa damy bardziej go jednak rozbawiła, niż zirytowała. Może lady Mathilde uznała, że Faiga potrzebuje ochrony przed przystojnym młodym rycerzem, mimo że służąca bez wątpienia tak nie uważała. A może wydało jej się, że Faiga zachowuje się zbyt zuchwale...

Cokolwiek lady Mathilde sądziła na ten temat, służąca wyleciała Henry'emu z pamięci natychmiast, gdy znalazł się na schodach, musiał bowiem przyznać, że pani domu od tyłu wygląda bardzo atrakcyjnie. Jej smukłe biodra i krągłe pośladki kołysały się rytmicznie.

Kiedy doszli na piętro, lady Mathilde przystanęła przy pierwszych drzwiach.

- To będzie wasza komnata w Ecclesford, panie. Kiedyś należała do mojego ojca, więc jest największa. Mam nadzieję, że wam się spodoba. Z jej tonu wynikało, że w ogóle nie dopuszcza innej możliwości.

- Zważywszy na to, w jakich miejscach musiałem czasem składać głowę na spoczynek, jestem tego absolutnie pewien - odpowiedział szczerze Henry.

Bez słowa otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka. W migotliwym świetle ukazało się obszerne pomieszczenie, którego kąty spowijał cień. Głównym meblem było łóżko, którego ciemne, ciężkie zasłony uszyto prawdopodobnie z aksamitu. Przy drzwiach umieszczono stojak ze srebrnym dzbankiem, miską i czystym płóciennym ręcznikiem. Stół na krzyżakach i krzesło zajmowały miejsce pod oknem. Przed południem blat niewątpliwie rozświetlały promienie słońca. W powietrzu unosił się zapach lawendy, być może od pościeli, a może raczej od kawałka mydła leżącego przy misce. W każdym razie było to dla niego miłe przypomnienie lepszych czasów, zanim jeszcze oskarżono go o zdradę. Na zewnątrz deszcz zacinał o ściany, a wiatr gwizdał w prześwitach krenelażu. Henry nie zazdrościł żołnierzom, którym przypadła dzisiaj warta, naturalnie pod warunkiem, że ktokolwiek ją pełnił. Zważywszy na to, co zaobserwował wcześniej, nie zdziwiłby się wcale, gdyby okazało się, że w czasie złej pogody wartownicy opuszczają posterunki. Lady Mathilde zapaliła grubą świecę woskową. W kącie stał drugi świecznik, na kilka świec, za to cieńszych. Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzega drżenie jej rąk, szybko jednak ukryła je w obszernych

rękawach skromnej sukni, więc nie mógł być pewien, czy wzrok go nie omylił. Dlaczego zresztą miałyby jej drżeć ręce? Chyba się go nie bała?

- Wasz ekwipunek, panie - powiedziała, wskazując głową znajomą sakwę przy łożu.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się do niej przyjaźnie. - Komnata naprawdę jest bardzo wygodna.

Spodziewał się, że lady Mathilde odejdzie, ale nic takiego nie nastąpiło.

Dlaczego? Na co czekała, skoro wyraźnie krępowała ją jego obecność?

Poza tym przecież nie powinna zostawać z nim sam na sam w komnacie.

Chyba że nie on jeden miał zdrożne myśli.

- Czy jeszcze czegoś sobie życzysz, pani? - spytał, starając się zachować obojętny ton na wypadek, gdyby źle zrozumiał sytuację.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chciałabym was ostrzec, panie, że jeśli zamierzacie uwieść moją siostrę, powinniście dobrze się nad tym zastanowić.

Tak go zaskoczyła, że aż cofnął się o krok. Nie chodziło mu o uwiedzenie, myślał całkiem poważnie o małżeństwie, w razie gdyby okazało się, że on i dama do siebie pasują, a tymczasem w ustach lady Mathilde zabrzmiało to tak, jakby był pierwszym lepszym łajdakiem.

- Pani, takie gry mam zwyczaj prowadzić jedynie z kobietami, które chcą być uwiedzione - odparł. - Jeśli zaś któraś nie jest zainteresowana, nie narzucam się, nawet jeśli olśniewa urodą.

- Nie jestem ślepa, sir Henry - odparła, krzyżując ramiona. - Przyglądałam się tym próbom. Nie twierdzę zresztą, że myślicie, panie, wyłącznie o uwiedzeniu. Bądź co bądź, Giselle jest bogatą dziedziczką i mężczyzna, który ją poślubi, stanie się zamożny.

Duma nie pozwalała - mu się przyznać do tak niskiej pobudki, ponieważ jednak nie mógł również zaprzeczyć, więc wybrał unik.

- Czy zabraniasz mi, pani, z nią rozmawiać?

Lady Mathilde spojrzała na niego z politowaniem, jakby uważała, że jest niespełna rozumu, ale z uprzejmości nie chciała tego powiedzieć wprost.

- Skądże znowu. Zaofiarowaliście nam, panie, pomoc, i jesteście naszym gościem.

- A mimo to oskarżasz mnie, pani, że knuję uwiedzenie twojej młodszej siostry?

- „Knuję” nie jest właściwym słowem. Zapewne, panie, macie jednak nadzieję ją poślubić

i skorzystać z posagu, dlatego oszczędzę wam próżnych wysiłków.

Giselle jest piękna, ale nie głupia. Zapewniam, że nie da się omamić czułymi słówkami ani obietnicami bez znaczenia. Poza tym to ja jestem młodszą siostrą.

Ponieważ to lady Mathilde dowodziła całym domem, bez zastanowienia założył, że jest starsza.

Zresztą niewątpliwie właśnie w ten sposób się zachowywała. Tak czy inaczej, szybko opanował zaskoczenie.

- Gdybym chciał prosić twoją siostrę, pani, o rękę, to jedynie z miłości. Obiecałem sobie dawno, że gdy zdecyduję się na ślub, to wyłącznie z takiego powodu.

Lady Mathilde nie wydawała się przekonana.

- Możesz mi, pani, nie wierzyć - odezwał się ponownie - ale chcę znaleźć w małżeństwie to samo, co moje rodzeństwo. Zarówno brat, jak i siostra darzą swoich współmałżonków głębokim uczuciem. Są bardzo szczęśliwi. Dlaczego miałbym się zadowalać czymś mniej znaczącym?

- Wydajecie się, panie, bardzo niecodziennym szlachcicem.

- Tak jak i ty, pani, wydajesz się zgoła niecodzienną damą. - Nawet on sam nie potrafiłby zdecydować, czy uważa to za komplement, czy wręcz przeciwnie. Bez wątpienia jednak był szczery. - Jestem pod wrażeniem twojej troski o siostrę, pani - dodał.

Lady Mathilde cofnęła się, jakby się bała. Czyżby jego? To niedorzeczne, przecież nie dał jej żadnego powodu, aby sądziła, że może jej coś grozić z jego strony.

- Mąż Giselle zostanie lordem Ecclesford. Muszę chronić ją przed przystojnymi, czarującymi mężczyznami, którzy myślą jedynie o tym, by się wzbogacić.

Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Jeśli jest starsza, to czy przypadkiem nie umie sama się chronić?

Stojąca przed nim dama spłonęła rumieńcem, ale nie odwróciła wzroku. Usta miała rozchylone, piersi sugestywnie jej falowały. Wykonała nawet drobny ruch w jego stronę, co ostatecznie przekonało Henry'ego co do jej zamiarów. Położył jej ręce na ramionach i spróbował przyciągać ją do siebie. Owionął go aromat lawendy.

Lady Mathilde głośno syknęła i wyrwała się z objęć. Oczy miała przepełnione strachem.

- Nie dotykaj mnie!

Zaskoczony tak gwałtowną reakcją, szeroko rozłożył ramiona.

- Nie chciałem cię przestraszyć, pani.

- Chcieliście mnie, panie, pocałować! - krzyknęła oskarżycielsko, jakby ten czyn mógł ją zabić.

Nie każda kobieta, którą spotykał na swojej drodze, ulegała jego urokowi, nie był zresztą na tyle próżny, aby uważać, że wszystkie powinny. Z drugiej strony, nigdy nie spotkał takiej, która dałaby mu odczuć, że jest odpychający, więc musiał przyznać, że jego miłość własna ucierpiała.

Przecież naprawdę kusiło ją, by go pocałować, i postanowił tego dowieść.

- Myślałem, że pragniesz, pani, pocałunku - powiedział zmysłowym tonem, który niejedną damę skłonił do gorących wyznań.

Ależ na niego spojrzała! To cud, że nie zabiła go wzrokiem.

- Wcale nie pragnę, ty prymitywny, brudny, chutliwy łajdaku!

Nagle stało się coś, czego nie przeżył od lat. Oblał się rumieńcem.

Zakłopotany wyprostował się, jakby kij połknął.

- Jeśli wolisz, pani, abym opuścił Ecclesford, wystarczy jedno twoje słowo.

Przez chwilę zdawało mu się, że istotnie to usłyszy, jednak lady Mathilde pokręciła głową. Policzki miała teraz w odcieniu jego intensywnie czerwonej koleczugi.

- Proszę o wybaczenie, sir - powiedziała, skubiąc smukłymi palcami rękaw sukni. - Czasami bywam porywcza.

Nagle Henry uprzytomnił sobie, z czym kojarzy mu się jej reakcja. Koń, którego ciągle bito, boczy się, gdy ktokolwiek chce do niego podejść. Bez wątplenia jakiś drań poczynał sobie z nią zbyt śmiało. Może samolubny młodzieniec albo nadgorliwy adorator? Z pewnością zresztą nie uzyskał niczego ponad pocałunek, bo taka kobieta jak lady Mathilde nie wahałaby się bronić przed niechcianymi zalotami.

- Nie, pani - sprzeciwił się zawstydzony. - To mnie wypada przeprosić, że wyobraziłem sobie zbyt wiele. - Dworsko się przed nią skłonił.

- Zapewniam, że to się nie powtórzy.

- To dobrze.

Skierowała się ku drzwiom z taką miną, jakby sama myśl o zetknięciu ich ciał napawała ją obrzydzeniem.

- Dobranoc, sir Henry.

- Dobranoc, milady - odpowiedział, ale ona zdążyła już zamknąć za sobą drzwi.

Postawił grubą świecę obok stolika przy łożu. Nie był pewien, czy nie postąpił bardzo nieroztropnie, przyjeżdżając tutaj, mimo że te damy istotnie mogły potrzebować pomocy. Nicholas prawdopodobnie byłby właśnie tego zdania, nawet gdyby wziął pod uwagę obecność uroczej lady Giselle.

Trudno, nie pierwszy ęaz jego brat zarzuciłby mu brak rozsądku. Z tą myślą zaczął się rozbierać. A swoją drogą lady Giselle nie była przecież całkiem poza jego zasięgiem.

Jeszcze nie.

Po wyjściu z sypialni Mathilde zatrzymała się na schodach. Dłońmi przyciśniętymi do piersi wyczuwała gorączkowy rytm serca. Z jej oddechem też działo się coś dziwnego. Dlaczego tak ociągała się z opuszczeniem komnaty? Czemu nie wyszła natychmiast po udzieleniu mu ostrzeżenia? Pewnie dlatego, że jest przystojny i pełen uroku. Musiała szczerze przyznać, że choć bała się pocałunku, to przecież go pragnęła. Przynajmniej jedno było całkiem oczywiste. Nigdy więcej nie wolno jej zostać z przystojnym sir Henrym sam na sam.

Rozdział trzeci

Następnego ranka po kolejnej niespokojnej nocy pełnej snów o uwięzieniu w lochu, biciu i bólu zadany przez przyjaciela Henry stał nad miską i obmywał twarz zimną wodą. Czy już nigdy nie będzie mu dane wyspać się w spokoju? Od tych strasznych dni minęło przecież wiele tygodni. Rany mu się zabiłiły. Wspomnienia pozostały jednak żywe, jakby znów przykuwano go do ściany, a Merrick, człowiek, któremu przysiągł lojalność na śmierć i życie, bez wahania uwierzył w jego zdradę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Odpowiedział z niejaką nadzieją, że za chwilę próg jego komnaty przekroczy lady Mathilde. Okazało się jednak, że to widziana przezeń wcześniej służąca. Niosła tacę, a na twarzy igrał jej nieśmiały uśmiech.

- Dzień dobry, panie — przywitała się. - Lady Mathilde powiedziała, że wprawdzie nie macie zwyczaju wcześniej wstawać, ale jest już dawno po

porannej mszy, więc powinniście jednak wyjść z łoża, a mnie poleciła zbudzić was i przynieść wam coś do jedzenia.

Poprzedniego wieczoru lady Mathilde zdawała się widzieć w nim wcielenie wszelkich żądz, więc jej wybór służącej raczej go zdziwił. Chyba że była to próba. A może nie próba, lecz pułapka mająca odkryć jego prawdziwą naturę przed lady Giselle i w ten sposób odebrać mu nadzieję na małżeństwo? Sprytny pomysł, ale skazany na niepowodzenie.

- Która godzina? - spytał, ocierając twarz ręcznikiem.

- Prawie południe, panie. - Służąca postawiła tacę na stoliku przy łożu i zmierzyła go pożądliwym spojrzeniem.

- Dziękuję.

- Mam na imię Faiga, panie.

Skłonił się przed nią niczym przed damą.

- Dziękuję, Faigo. Dziewczyna zdjęła serwetkę z tacy.

- Tu jest świeży chleb, miód i piwo. Prawdziwe piwo, nie takie, jak czasem podają. Mamy dobrą karczmarkę.

- Doskonale. Możesz już iść.

Wyraźnie zawiedziona służąca wyszła z komnaty, natomiast Henry zajął się śniadaniem. Najadłszy się do syta, zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Nie miał w Ecclesford żadnych obowiązków poza oczekiwaniem na tego nicponia Roalda. Spojrzenie w okno przekonało go, że po burzy nie zostało ani śladu. Niebo było czyste, a słońce świeciło tak, jakby wciąż trwało lato. Postanowił więc zwiedzić zamek.

Przechodząc przez wielką salę, stwierdził, że nie ma w niej żadnej z dam. Lady Mathilde prawdopodobnie doglądała pracy służby i wydawała rozkazy. Co do lady Giselle, pomyślał, że może przymierza suknie,

szczotkuje włosy albo zajmuje się czymś innym, co zwykle robią piękne kobiety, których siostry prowadzą dom.

Przystanął na stopniach prowadzących na dziedziniec i potoczył wzrokiem dookoła. Kwadratowy, przysadzisty donżon*, stary i nędznie wyglądający, wznosił się w południowym krańcu dziedzińca, a wewnątrz murów znajdowało się wiele innych budowli. Stajnie ulokowano po prawej stronie, a jeśli sądzić po strojach suszących się w oknach, to powyżej znajdowały się koszary. Zauważył przynajmniej jedną przeszywnicę, pikowany kubrak noszony przez żołnierzy pod zbroją.

Mały budynek w przeciwległym rogu niż stajnie prawdopodobnie był kaplicą. Poczciwy ojciec Thomas z pewnością odprawiał tam raz dziennie mszę, a poza tym mógł chyba robić, co mu się żywnie podoba. Henry'emu wydał się porządnym człowiekiem, liczył więc, że pogłębią znajomość. Kuchnia mieściła się najpewniej w sąsiedztwie budynku mieszkalnego, połączona z nim krytym przejściem. Stała jednak oddzielnie, aby w razie

•Donżon - obronna wieża lub baszta zbudowana wewnątrz zamku; skarbiec i ostatni punkt oporu (przyp. red.).

pożaru ogień nie przenosił się dalej. Pociągnąwszy nosem, Henry poczuł apetyczne zapachy. Kiedy wypuszczono go z lochu, poprosił najpierw o wino, ale tym, co sprawiło mu największą przyjemność, był właśnie pierwszy kęs świeżo upieczonego chleba. Miał dla niego smak wolności. Niedaleko kuchni zauważył studnię. Oznaczało to, że w razie oblężenia nie będzie problemu z brakiem wody, chyba że napastnikom udałoby się wrzucić do niej przypadkiem przez mur jakąś padlinę. Przy studni stało kilka kobiet, a oczekiwanie urozmaicały sobie bez wątpienia plotkami. Henry'ego zaintrygowało, czy i co mówią o jego obecności. Popatrzył na mury obronne, wypatrując na nich patroli. Bez wątpienia było ich za mało, zresztą niektórzy strażnicy stali zbici w grupki i wydawali się bardziej zainteresowani tym, co dzieje się na dziedzińcu, niż obserwacją wsi i dojazdu do zamku. Sir Leonard de Brissy wsadziłby ich wszystkich w dyby, a Henry chętnie postąpiłby podobnie. Nie był to jednak jego zamek i nie on dowodził strażą. Miał tu jedynie status gościa, postanowił więc zachować opinie dla siebie. Wyobrażał sobie zresztą, jak odniosłaby się lady Mathilde do jakichkolwiek jego sugestii. Gdy ruszył przez dziedziniec, gwar na chwilę ucichł. Kobiety przyglądały mu się z uznaniem, ale na mężczyznach zajętych reperacją podstawy muru wywarł znacznie mniej korzystne wrażenie. Ignorując gapiów, skupił wzrok na strażnikach przy bramie. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy w ogóle zasługują na takie miano. Opierając się na włóczniach, gawędzili z ożywieniem, zupełnie jakby spędzali czas w karczmie. Henry przeszedł przez otwartą bramę, właściwie nie zwracając ich uwagi. Gdyby on tu dowodził, wszyscy wartownicy spod bramy przez tydzień żyliby o chlebie i wodzie. Nic dziwnego, że Roald jeszcze się nie

pojawił. Prawdopodobnie uważał, że w każdej chwili może bez trudu wejść przez szeroko otwartą bramę, aby zażądać wydania zamku, i nikt go nie powstrzyma. Jak lady Mathilde mogła sądzić, że taka straż jest w stanie pokonać Roalda?

Raptownie przystanął. Na otwartym polu między fosą a wsią Cerdic i inny człowiek, obaj obnażeni do pasa, toczyli walkę na maczugi. Reszta ludzi tworzyła wokół nich półkole i zagrzewała do boju. Obaj przeciwnicy bez reszty byli pochłonięci pojedynkiem i każdy z nich chciał zwyciężyć. Mimo to nie było między nimi wrogości, a jedynie wola walki. Jeśli nie walczyli, aby wyrównać jakieś zadawnione rachunki, to po co? Czyżby ćwiczyli? Tylko dlaczego maczugami? Jeden ze stojących w półkolu mężczyzn zauważył Henry'ego i powiedział coś do sąsiada. Po chwili wszyscy obserwujący walkę gapie wpatrywali się w Henry'ego. W końcu również Cerdic i jego przeciwnik przerwali zmagania.

- Czego szukasz, Normanie? - spytał Cerdic.

- Właśnie się zastanawiałem, co robicie tymi maczugami.

Cerdic i jego towarzysz wymienili aroganckie uśmiechy.

- Do ćwiczeń używamy maczug zamiast toporów, żeby nie poobcinać sobie palców. Miecze zostawiamy mniejszym mężczyznom.

- Może wobec tego pozwolicie mi popatrzeć? Chętnie nauczyłbym się czegoś nowego.

- Po co? Przecież ty i twoi rodacy nie używacie toporów.

- Uczono mnie, że należy posługiwać się każdą bronią. Sir Leonard powtarzał chętnie, że lancę można złamać, miecz odbić, maczugę wytrącić, więc roztropny rycerz uczy się walczyć tym, co ma pod ręką.

W szarych jak burzowa chmura oczach Cerdica pojawił się wyzywający błysk.

- Chciałbym zobaczyć Normana walczącego toporem.

- Z przyjemnością spróbuję swoich sił - odparł Henry. - Może od razu?

Przez grupkę przetoczył się pomruk. Cerdic uśmiechnął się do kamratów z satysfakcją.

- Weźmiemy te zabawki czy prawdziwe topory?

- Wolałbym raczej nie stracić ręki, więc wybieram maczugi.

Henry zamierzał zwyciężyć, ale głupcem nie był. Wypadki zdarzały się i podczas ćwiczeń, a nie ulegało wątpliwości, że Cerdic nie darzy go sympatią.

- Doskonale, Normanie. Niech będą zabawki. Dotychczasowy przeciwnik Cerdica podał Henry'emu broń. Ważąc ją w dłoni, Henry stwierdził, że można nią bez trudu połamać kości. Wykonał kilka zamachów i młynków nad głową, bacznie obserwując Cerdica kątem oka. Przeciwnik nie wydawał mu się łatwy do pokonania. Jego pewność siebie brała się z

przekonania o własnych umiejętnościach, a ludzi z taką muskulaturą widywało się rzadko.

- Do pierwszego wołania o litość? - zaproponował.

Cerdic skinął głową.

- Chcesz się założyć, kto wygra?

- Stawiam dziesięć srebrnych pensów.

- Zgoda. - Henry rozejrzał się po gapiach. - Ciekawe, na kogo oni postawią.

- Na mnie, oczywiście - powiedział Cerdic.

Potem zaś, wymachując maczugą, z przerażającym krzykiem rzucił się prosto na Henry'ego. Gdyby ten stał bez ruchu, niechybnie spadłaby ona prosto na jego głowę. Wielogodzinne ćwiczenia zrobiły jednak swoje, mięśnie zareagowały odruchowo i Henry zręcznie wykonał unik. Jednocześnie pchnął Cerdica, który zatoczył się w bok. Klnąc pod nosem, Cerdic ponownie przybrał pozycję do walki. Henry tymczasem już miał maczugę w górze i wykonywał zamach. Uderzając, opuścił ją nisko, celując w łydki przeciwnika.

- Ty psie! - syknął Cerdic, odskakując. - Mogłeś mi połamać nogi!

- A ty byłeś gotów roztrzaskać mi czaszkę. Gdyby to był topór, ja tylko obciąłbym ci nogę.

Cerdic zrobił wściekłą minę i znów poderwał; oręż. Miętko uginając kolana, powoli zbliżał się do Henry'ego. Ten zawahał się przez chwilę, nie był bowiem zdecydowany, czy powtórzyć atak na nogi, czy raczej spróbować wybić przeciwnikowi broń z ręki. Moment wahania mógł go drogo kosztować, bo Cerdic wykonał frontalny atak. Henry rzucił się w lewo, niemal przypadając do ziemi, i zdążył jeszcze sparować uderzenie swoją maczugą. Cerdic natychmiast powtórzył szarżę. I tym razem Henry'emu udało się odbić cios. Odkoczył dwa kroki do tyłu, przy okazji przekonał się jednak, że pierścień gapiów otacza ich ciasniej, niż mu się zdawało, i nie ma wiele miejsca na manewry. Tak czy owak nie zamierzał się poddać. Nie na darmo pobierał nauki u sir Leonarda. Tymczasem Cerdic znów się zbliżał. Krzyknął do swoich ludzi, aby się odsunęli. Cofnęli się o krok, sarkając pod nosem.

- Tyle miejsca mi wystarczy, by cię pokonać -oznajmił Henry'emu, nie spuszczając z niego oka. Bez wątpienia usiłował wyszukać słaby punkt przeciwnika. - Nie umiesz walczyć z bliska, Normanie, prawda?

- Mylisz się - odparł Henry, płynnie przesuwając się na ugiętych nogach po obwodzie koła. -Umiem nawet z bardzo bliska.

Mimo że był praworęczny, niespodziewanie wykonał zamach w lewo. Oczekiwania go nie zawiodły, Cerdic nie był przygotowany na natarcie z tej strony. Maczuga wyleciała mu z ręki i uderzyła pechowego gapia z pierwszego rzędu. To go nauczy, że nie należy stać zbyt blisko, pomyślał Henry, i sprężystym ruchem skrzył ciało, po czym lewym ramieniem z całej siły pchnął Cerdica. Ten, pozbawiony broni, bezwładnie upadł na plecy.

- Chyba mam przewagę, przyjacielu - powiedział Henry, wciąż mocno trzymając maczugę na wypadek, gdyby Cerdic się uwolnił, albo próbował go przewrócić, chwytając za nogę. Taki pomysł nie przyszedł mu jednak do głowy.

- Poddaję się - burknął Cerdic, przesyłając Henry'emu nienawistne spojrzenie.

Henry wyciągnął rękę, aby pomóc Cerdicowi wstać. Ten jednak przetoczył się na bok i wstał samodzielnie.

- Nie powiedziałaś, że używasz obu rąk.

- Nie urodziłem się z taką Umiejętnością - odparł Henry, który jako zwycięzca postanowił zachować się wielkodusznie. - To wynik długiej pracy. Niełatwo było się tego nauczyć, ale wszystko zależy od wytrwałości w ćwiczeniach.

Cerdic mruknął coś pod nosem, podszedł do miejsca, gdzie na ziemi leżało jego odzienie, i wydobyl niewielką sakiewkę.

- Masz. - Podał Henry'emu dziesięć srebrnych pensów.

- Dziękuję. - Henry ucieszył się z wygranej. Mathilde miała dobre informacje, jego sakiewka istotnie świeciła pustką. Naturalnie nie zamierzał brać pieniędzy za pomoc, jakiej spodziewały się od niego damy, ale wygrany zakład to oczywiście coś zupełnie innego, tym bardziej że nie

przyszło mu to bez wysiłku. - Pożegnaj cię teraz, chcę obejrzeć wieś. Z uśmiezków na twarzach mężczyzn wywnioskował, że wszyscy mają jedno i to samo wyobrażenie co do sposobu wydania przez niego wygranych pieniędzy. Grubo się jednak mylili. Owszem, lubił wino i kobiety, ale ani czas, ani miejsce nie wydawały mu się odpowiednie. Zadowolony z siebie i odrobinę bogatszy niż godzinę wcześniej Henry ruszył przez wieś. Sprawiała wrażenie zamożnej. Główna droga zakolem otaczała błonia, przy niej zaś stało kilka budynków, w których na dole były stajnie, a na górze pomieszczenia mieszkalne. Kobiety na rynku sprzedawały i kupowały różne dobra, od chleba począwszy, przez kurczęta w niedużych drewnianych klatkach, na belach materiału skończywszy. Dostrzegł też szyld karczmy „Pod Kogutem i Bykiem”. Z niedaleka dolatywały go odgłosy młota uderzającego o kowadło, bez wątplenia pochodzące z kuźni. Przed wejściem zgromadziła się grupka mężczyzn, część stała, starsi siedzieli na ławie. W sąsiedztwie kuźni rósł olbrzymi, rozłożysty dąb, dający wciąż jeszcze dużo chłodzącego cienia, mimo że jesień zaczęła malować mu liście na żółto. Przeszedłszy na drugi koniec wsi, przystanął koło młyna, aby chwilę odpocząć. Uświadomił sobie, że cuchnie potem. Powinien się porządnie umyć. Zerknął na staw. Wydawał się głęboki, tyle że gdyby postanowił się wykąpać w tym miejscu, widziałaby go połowa wsi. W poszukiwaniu bardziej odosobnionego zakątka dotarł za zakręt drogi i tam znalazł rzekę, której brzeg gęsto porastały wierzby. Ich gałęzie zwieszały się nisko, niektóre sięgały wody.

Wszedł w zarośla i szybko się rozebrał. Nagi ostrożnie wszedł do rzeki, krzywiąc się, bo stopy raz po raz natrafiały na ostre kamienie. Gdy woda sięgała mu do pasa, zanurkował. Chłód wody podziałał orzeźwiająco. Nie wynurzył się od razu, lecz wykonał kilka ruchów kończynami. Sir Leonard dopilnował, aby jego podopieczni nauczyli się pływać. Henry czuł się w wodzie jak ryba. Merrick, który na łódzie zawsze we wszystkim się wyróżniał, tu nie mógł mu dorównać i wydawał się zaskakująco niezdarny. Natomiast Ranulf najczęściej pływał łodzią sir Leonarda. Uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jak kiedyś, korzystając z chwilowej nieobecności sir Leonarda, przewrócili łódź i Ranulf wpadł do wody. Było tam płytko, ale kompan i tak nie posiadał się z wściekłości. Orzeźwiony i odświeżony wyszedł z rzeki. Otrząsnął się, po czym wciągnął nogawice i włożył koszulę. Wzuwszy buty, przerzucił przez ramię tunikę, wziął do ręki pas z mieczem i zawrócił w stronę zamku.

- Sir Henry?

Przystanął i się odwrócił. Ujrzał zbliżającą się lady Mathilde. W ręce trzymała koszyk, szła bez nakrycia głowy. Kasztanowe włosy, splecione w pojedynczy warkocz, opadały jej prawie do talii.

W prostej brązowej sukni i z gołą głową wyglądała jak wiejska dziewczyna.

- Pani. - Skłonił się na powitanie, czekając, aż do niego podejdzie.

- Byliście w wodzie, panie? - spytała z zainteresowaniem, mierząc go badawczym spojrzeniem.

- Gorąco dzisiaj - odrzekł. - Pomyślałem, że oszczędzę służbie pracy. Cerdic chciał, żebym pokazał, ile jestem wart, więc spełniłem jego życzenie, ale potem potrzebowałem kąpieli.

- Mam nadzieję, że Cerdic nie wyrządził wam krzywdy.

- Nie - odparł, uśmiechając się mimo woli. - To on skończył rozpląszczony na ziemi.

- Pokonaliście, panie, Cerdica?!

- Przecież mówiłem, że umiem posługiwać się orężem, i to nie tylko mieczem.

Lady Mathilde skierowała się ku zamkowi. Jej ruchy zdradzały wzburzenie.

Henry uznał przezornie, że o zakładzie lepiej nie wspominać.

- Wolałabyś pani, żebym pozwolił się zranić?

- Nie pojmuję, dlaczego w ogóle wdaliście się w to, panie - odparła z chmurną miną.

- Nie miałem nic lepszego do roboty. Nie zastałem cię, pani, w wielkiej sali. Zresztą twojej siostry również, więc nie miał kto mi zaproponować, co mógłbym robić jako gość w Ecclesford.

Nie powiedział tego wprost, ale przecież była w tych słowach przygana, że pani domu zaniedbała swoje obowiązki.

- Sądziłam, że Giselle będzie na miejscu, kiedy wreszcie zdecydujecie się, panie, zwlec z łoża - wyjaśniła lady Mathilde. - Zwykle kiedy jej umiejętności nie są potrzebne, siedzi w wielkiej sali i szyje.

- Jakie umiejętności? - zainteresował się całkiem szczerze.

- Giselle opiekuje się chorymi w zamku i we wsi. To wielka zaleta u kandydatki na żonę rycerza, pomyślał. Sam z pewnością odzyskałby zdrowie szybciej i przyjemniej, gdyby miał taką opiekę.

- A ty, pani? - spytał. - Czy masz podobne talenty?

- Mnie robi się niedobrze od zapachów łoża boleści, nie znoszę też widoku ran.

Jak zwykle okazała się konkretna i bardzo bezpośrednia. I to był jeszcze jeden powód, dla którego ta dama na żonę się nie nadawała.

- Rozumiem więc, pani, że nie odwiedzasz chorych we wsi - powiedział, wskazując ruchem głowy jej koszyk.

- Nie. - Nagle na jej wargach pojawił się uśmiech. - Składałam wizytę jednemu z dzierżawców, którego żona właśnie powiła dziecko.

- Nie powinnaś wychodzić z zamku całkiem sama, pani.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się. - Przecież jestem u siebie.

Jako doświadczony żołnierz miał inne spojrzenie na tę kwestię. Pamiętał przecież o Roaldzie.

- Oboje wiemy, pani, że twój kuzyn jest czło-

wiekem pozbawionym honoru i skrupułów. Wyobrażam sobie, że mógłby cię porwać, aby osiągnąć swój cel.

Lady Mathilde spojrzała na niego z surowością, jakiej nie powstydzilby się mężczyzna.

- Nawet gdyby Roald dopuścił się czegoś równie nieroztropnego, nic by w ten sposób nie osiągnął.

- Tak sądzisz, pani? A czy twoja siostra nie spełniłaby każdego życzenia, gdyby zależało od tego twoje życie?

Przez chwilę wydawała się zmieszana, zaraz jednak odzyskała pewność siebie.

- Nie - oznajmiła wyzywająco.

- Mnie się zdaje, że spełniłaby. I wcale nie dlatego, że jest kobietą. Widziałem, jak w obliczu miłości bezbronni stają się nawet najsilniejsi mężczyźni - powiedział Henry. Merrick omal nie pobił go na śmierć, przekonany, że przyjaciel próbował uwieść mu żonę.

- Nie zamierzam chować się za murami zamku jak wystraszone dziecko - oznajmiła stanowczo lady Mathilde. - Nie będę żyć w strachu przed Roaldem.

- Nie chciałem zasugerować, że jesteś tchórzliwa, pani. - Trudno mu było zresztą wyobrazić sobie, że ta kobieta mogłaby kogokolwiek się bać. -

Nie domagam się też, abyś nie wychodziła poza zamkowe mury.

Powinnaś jednak brać ze sobą kogoś ze straży. To chyba nie jest wielki kłopot, prawda?

- Nie - odrzekła znużonym tonem.

- Doceniam twoją odwagę, pani - dodał. - Nie chcesz pokazać innym, że się boisz, i słusznie. Mój nauczyciel, sir Leonard, powiadał, że należy odróżnić odwagę od brawury, która często prowadzi do śmierci.

Wolałbym, abyś była bezpieczna, pani. Skłoniła głowę.

- Wybaczcie mi, panie. Znowu pozwoliłam, aby uczucia wzięły nade mną górę. Nie powinnam była tak się zaperzyć, bo przecież chcieliście tylko z dobrego serca udzielić mi rady.

- Nie przepraszaj, pani. To ja proszę o wybaczenie. Nie powinienem był tak się unieść. Widocznie zmęczył mnie upał albo pojedynek z Cer-dikiem zamącił mi w głowie.

Uśmiechnęła się. Ten widok szczerze go ucieszył, mimo że nie był to najradośniejszy uśmiech, jaki widział.

- Kiedy wrócimy do zamku, pani - obiecał, podając jej ramię - opowiem ci, jak zadałem klęskę twojemu krzepkiemu przyjacielowi. To bardzo emocjonujące, zapewniam.

- Zapytam przy okazji Cerdica, jak wygląda jego wersja wydarzeń - odparła lady Mathilde, przesyłając mu spojrzenie, z którego można było wyczytać, że przyjaźń między nimi nie jest wykluczona. - Podejrzewam, że prawda będzie leżeć gdzieś pośrodku.

Roześmiał się wielce zadowolony z zawartego rozejmu.

- Ranisz mnie, pani... ale pewnie masz rację.

Rozdział czwarty

Podśpiewując fragmenty rubasznej przyśpiewki, sir Roald de Sayres chwiejnym krokiem posuwał się naprzód po marnie oświetlonej pochodniami ulicy. Na szczęście dzięki pełni księżyca noc była stosunkowo jasna, poza tym szedł przecież przez Westminster, a nie przez dzielnicę nędzy. Człowiek taki jak on, elegancko ubrany, uzbrojony po zęby i demonstrujący wszem wobec szlachetne urodzenie, nie musi się obawiać, że zostanie zaczepiony i obrabowany.

- Powiedz, co ci się podoba, mnie podoba się to, co mówisz - zaśpiewał fałszywie.

Mało go zresztą obchodziło, jak to brzmi. Bardzo zadowolony wspominał dom rozpusty, z którego przed chwilą wyszedł. Szkoda, że nie mógł zostać tam dłużej. Powinien był wziąć więcej pieniędzy. To wspaniałe stworzenie z wielkimi piersiami i długimi nogami było gotowe zaspokoić każdego, kto dostatecznie dużo zapłacił, podobnie jak ta urocza czarnulka. Ech, gdyby był bogatszy, spędzałby tam każdy wieczór.

Po chwili westchnął z zadowoleniem, przypomniało mu się bowiem, że będzie bogaty. Wystarczyło zgłosić roszczenia do Ecclesford. Należało tam jak najszybciej pojechać. Ile czasu minęło, odkąd zabił Martina? Pięć dni? Sześć? Może jednak ma w sakiewce dość pieniędzy, aby pozwolić sobie na jeszcze jeden taki wieczór, zanim...

Nagle z mroku wyłonił się mężczyzna okutany w ciemną pelerynę, w kapturze nasuniętym na głowę. Zastąpił mu drogę. W ciemności wydawał się olbrzymi, niczym ogr albo inny fantastyczny stwór.

- Sir Roald de Sayres? - spytał cichym, ochrypłym głosem.

Sięgając po miecz, Roald powtarzał sobie w myślach, że to nie ogr ani diabeł, tylko zwyczajny człowiek. Bardzo rostry, ale mimo wszystko śmiertelnik, a śmiertelnika zawsze można zabić albo oddać w ręce strażników, aby zaprowadzili go do więzienia.

Obcy roześmiał się złowieszczo.

- Nie próbuj wołać straży. Nie pomogą ci. Zniknę, zanim nadejdą.

W trakcie gdy to mówił, wydobył spod peleryny miecz i przycisnął jego czubek do piersi Roalda.

- Sakiewkę mam pustą!

- Tym gorzej dla ciebie.

Popychając Roalda końcem miecza, nieznajomy

zmusił go do oparcia się plecami o najbliższą ścianę, po czym zdarł kaptur. Twarz miał dość przerażającą, toporną, poraną bliznami. Jego nos nosił ślady przynajmniej dwukrotnego złamania, brakowało mu też większej części jednego ucha.

- Jesteś winien dużo pieniędzy kilku członkom cechu złotników.

- Chodzi o dług?

Koniec miecza przesunął się ku sercu Roalda.

- O duży dług, tak mi przynajmniej powiedziano. Dostatecznie duży, żeby wierzyciele byli gotowi mi zapłacić za jego ściągnięcie.

- Zwrócę im - oznajmił wyniośle Roald, uzyskawszy pewność, że obwieść go nie zabije. - Mają na to moje słowo.

Miecz pozostał jednak na swoim poprzednim miejscu.

- Uznali, że twoje słowo niewiele znaczy. Właśnie dlatego przysłali mnie.

- Czyżby nie słyszeli, że umarł mój stryj? - Roald był nieco zdesperowany, choć nie tak znowu bardzo. - Mam teraz posiadłość w Kencie, więc naturalnie będę mógł spłacić dług.

Koniec miecza podjechał mu pod brodę.

- Ta wiadomość już doszła do ich uszu, ale skoro posiadłość jest twoja, to dlaczego jeszcze tam nie pojechałeś?

- Ponieważ nie widziałem potrzeby - odparł Roald, starając się zachować resztki godności.

Nagle mężczyzna chwycił go za gardło i przycisnął do ściany.

- Masz dwa tygodnie na zdobycie pieniędzy, a jeśli tego nie zrobisz, to odbiorę ci palec, a potem całą rękę. - Przesunął miecz w dół, opierając jego koniec między nogami Roalda. - A potem jeszcze coś, i tak będzie, dopóki nie spłacisz całego długu. Rozumiesz, panie?

- Tak! - syknął Roald.

- To dobrze.

Mężczyzna go puścił. Roald, dysząc, osunął się na ziemię. Chłodne kamienie bruku poraniły mu palce i kolana. Popatrzył na górującą nad nim postać.

- Kim ty jesteś, do diabła?

- Nie potrafisz się domyślić? - Obcy parsknął pogardliwym śmiechem. - Jestem sir Charles de Mallemaison.

Roald poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Charles de Mallemaison był najsłynniejszym najemnikiem w Anglii, a może nawet w Europie.

Otaczała go taka sława, że człowieka przechodziły ciarki. Służył panu lennemu w Shropshire i podobno wywodził swój ród z Andegawenii.

Jego szlachetne urodzenie ośmielił się zakwestionować tylko jeden człowiek, którego znaleziono potem przy drodze posiekanego na drobne kawałki. Nikt więcej nie próbował zgłaszać wątpliwości.

- Dwa tygodnie - powtórzył groźnie de Mallemaison. - Wszystko co do pensa. Inaczej będziesz tracił członki - podkreślił i z zamaszystym ruchem peleryny znikł w mroku.

Podczas gdy Roald na miękkich nogach wracał

na kwatere, całkiem już trzeźwy, ale wciąż ledwie żywy ze strachu, Giselle spała spokojnie w wielkim łóżu, które dzieliła z siostrą. Mathilde jednak jeszcze nie leżała w pościeli, tylko nerwowo przechadzała się tam i z powrotem po komnacie. Siostra pogrążona była we śnie jak nowo narodzone dziecko. Mathilde z pewną zazdrością pomyślała, że nie dręczą jej żadne złe sny, nie przeszkadzają wyrzuty sumienia, nie ściga wstyd. Nie budziły jej też pożądlive marzenia. Giselle była dobra i uczciwa, nie grzeszyła, natomiast ona...

Uczucie, jakie ogarniało ją na widok sir Henry'ego, mogła określić jedynie jako żądzę. Wciąż wracał do niej obraz, który zobaczyła nad rzeką, kiedy stał w luźnej, rozwiązanej koszuli, z mokrymi włosami. Lubiła sobie wyobrazać miękkie ruchy sir Henry'ego, który pływa niczym wydra. Kiedy opisywał swój pojedynek z Cerdikiem, nie chełpił się, zachowywał dystans do siebie. Był jednak pewien swoich umiejętności i wykazywał wolę zwyciężania. To była kombinacja o wielkiej mocy. Zaczęła sobie tłumaczyć, że ten rycerz wkrótce od nich odjedzie, chyba że uda mu się zdobyć serce Giselle. W każdym razie postanowiła trzymać się od niego z dala, wynajdywała mu więc różne zajęcia, aby ich drogi krzyżowały się jak najrzadziej. Kiedy jednak wybierał się na polowanie lub na przejażdżkę po okolicy, prosiła go, by na siebie uważał, bo przecież i on nie mógł czuć się całkiem bezpieczny. Nie obrażał się wtedy, tylko wybuchał swoim charakterystycznym śmiechem. Troszczyła się całkiem szczerze, nawet za bardzo. Kiedy go

widziała, wzroku od niego nie mogła oderwać, taki był przystojny i pięknie zbudowany. Pod wpływem tego zauroczenia pierwszego wieczoruomal go nie pocałowała. Zrobiłaby to bez wątpienia, gdyby nagle nie ogarnęła jej panika.

Z westchnieniem podeszła do okna i wyjrzała na uśpiony dziedziniec.

Pochodnie warty płonęły na murach, poza tym jednak panował mrok. po zamku mógł zbliżyć się Roald. Czy poczyniła dostateczne

przygotowania? - zadała sobie w duchu pytanie Mathilde. Żołnierzy

miały tyłu, na ilu tylko było je stać. Cerdic z pewnością lepiej nadawał się na dowódcę straży niż Martin, którego w końcu niechybnie by oddaliła, gdyby niespodziewanie nie oświadczył, że nie będzie przyjmował

rozkazów od kobiety. Gdyby ojciec żył... Gdyby ona była silniejsza...

Gdyby Roald nie przyjechał tu w ubiegłym roku...

Dość tych ponurych rozmyślań, skarciła się w duchu. Podeszła do stojaka

z miską i chciała nalać trochę wody, aby obmyć twarz. Dzbanek jednak

okazał się pusty. Postanowiła przynieść wodę z kuchni. Uchyliła drzwi i

zerknęła na korytarz. Spowijał go półmrok, tylko jedno łuczywo paliło się

na ścianie. O dziwo, dostrzegła też światło sączące się spod drzwi

komnaty ojca, należącej tymczasowo do sir Henry'ego. Czyżby nie spał?

A może zasnął przy zapalanej świecy?

Kiedyś zdarzyło się już, że jeden z odwiedzających Ecclesford gości zostawił w nocy zapaloną świecę tuż przy zasłonie łoża.

Mimo wszystko nie zamierzała wchodzić do komnaty zajmowanej przez sir Henry'ego. Mijając drzwi, usłyszała jęki. Czyżby sir Henry zaprosił kobietę? Czy był równie pożądlivy jak Roald? Nic to. Dopóki sir Henry był gotów im pomóc, tak jak obiecał, nie miało większego znaczenia, że figluje w łożu ze służącą. Faiga była chętna, lady Mathilde dostrzegła spojrzenia, jakimi wodziła za gościem. Nie było mowy o przymusie. Już chciała iść dalej, ale z komnaty dobiegł ją kolejny jęk. Zabrzmiało to tak, jakby sir Henry cierpiał. A jeśli zaniemógł?

Podniosła rygiel i otworzyła drzwi. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku. Świeca stała daleko od przedmiotów, które mogłyby się zająć ogniem. Sir Henry był sam, okryty do połowy pogniecionym prześcieradłem, na czole i torsie lśniły mu jednak krople potu. Znowu jęknął i przetoczył się na bok, zasłaniając ramieniem oczy. Może zapadł na gorączkę, pomyślała Mathilde. Czyżby przywłókł jakieś paskudztwo z południa Europy? A może po prostu naszły go złe sny? Któż lepiej niż ona mógł wiedzieć, jak bardzo potrafią udreczyć człowieka? W każdym razie dla dobra całego domu musi sprawdzić, czy nie jest to jednak gorączka. Ostrożnie podeszła do łoża. Delikatnie odsunęła ramię śpiącego i położyła mu dłoń na czole. Nie było gorące. Nagle sir Henry otworzył oczy. Chwycił ją z całej siły za nadgarstek i usiadł.

- Constance! - zawołał, patrząc prosto na nią. - Czy Constance jest bezpieczna?

Mathilde zorientowała się, że sir Henry się nie ocknął. Wciąż znajdował się we władzy złego snu.

- Tak, bezpieczna - szepnęła, zastanawiając się jednocześnie, o kim mowa. Spróbowała uwolnić rękę. - Odpoczywajcie teraz, panie.

Sir Henry zamrugał powiekami, jego oczy spojrzwały przytomniej i Mathilde uświadomiła sobie, że wraca mu świadomość. Z całej siły szarpnęła ręką, a odzyskawszy wolność, szybko odwróciła się ku drzwiom. Nie chciała zostać przydybana w tym miejscu.

- Stój! - wykrzyknął sir Henry i chwycił ją od tyłu za koszulę.

Pociągnięcie było tak silne, że Mathilde upadła na łożo. Próbowała się zerwać, ale zacisnął dłoń na jej nadgarstkach i przygniół ją nogą do prześcieradeł, leżeli więc teraz twarzą w twarz na boku, a ona nie mogła się ruszyć.

- Nic ci nie zrobię, pani - powiedział cicho, ale stanowczo. - Nie mam złych zamiarów.

Te słowa wreszcie do niej dotarły.

- Zapewniam, że niczego nie knuję.

- To mnie puśćcie, panie!

- Z przyjemnością. - Rozwarł dłoń i cofnął nogę. Mathilde zerwała się z łoża. Zamierzała wybiec

z komnaty, ale znowu chwycił ją za koszulę.

- Jeszcze nie skończyliśmy, pani - powiedział

stanowczo. Zsunął się z łoża i stanął przed nią. Z ulgą stwierdziła, że ma na sobie bieliznę.

Podążył wzrokiem za jej mimowolnym spojrzeniem i na twarzy wykwitł mu diaboliczny uśmiech.

- Tym razem się zabezpieczyłem.

Dla niej nie było w tym niczego zabawnego.

- Sir Henry, proszę mnie wypuścić - zażądała. Pokręcił głową.

- Najpierw wyjaśnisz mi, pani, dlaczego weszłaś do mojej komnaty - odezwał się surowo. - Nie sądzę, żebyś miała złe zamiary, bo wtedy zapewne nie byłoby mnie już wśród żywych. Może wkradanie się do cudzych komnat wydaje ci się, pani, zabawne?

Z nadzieją, że odzyska choć trochę utraconej godności, Mathilde wyprostowała się i dłonią przyglądała potargane włosy.

- Usłyszałam jęki i pomyślałam, że zaniemogliście, panie. Chciałam sprawdzić, czy nic wam nie jest.

- Rozumiem. - Pochylił się do stolika przy łożu i wziął z niego kielich. - Wina, pani?

- Nie, dziękuję - odparła, mimo że w gardle jej zaschło. Wolą nie wyciągać ręki, obawiała się bowiem, że zauważyłby jej drżenie.

- Proszę więc wybaczyć, że ja się napiję. - Przełknął duży łyk.

Powoli zaczęła odsuwać się ku drzwiom.

- Skoro wiecie już, panie, dlaczego weszłam, a nie jesteście chorzy...

- Przepraszam, że cię przestraszyłem, pani - przerwał. - I ty napędziłaś mi stracha.

- Ja? - spytała zdumiona, że się do tego przyznał.
- Gdy nie śpię, trudno obudzić we mnie lęk, ale kiedy śnię... - Wzruszył ramionami. - Wolałbym nigdy nie zasypiać.
- Tak jak ja.

Te słowa wyrwały się Mathilde mimo woli. Jednak gdy ujrzała jego minę, uznała, że musi zachowywać więcej ostrożności.

- Czy właśnie zły sen zbudził cię dzisiaj, pani? - spytał, sięgając po koszulę przewieszoną przez oparcie krzesła.
- Nie. Jeszcze nie udałam się na spoczynek.
- Zapewne trapisz się Roaldem - odparł. - Czy mogę wystąpić z radą w sprawie zamkowej straży?

Sir Henry był wyćwiczonym rycerzem, znał się więc na technikach i strategii walki. Byłaby nieroztropna, gdyby nie chciała wysłuchać jego uwag.

- Proszę bardzo.
 - Twoim ludziom, pani, brakuje dyscypliny. Takiego rozpasania jeszcze nie widziałem. Obawiam się, że atak Roalda mógłby skończyć się chaosem i klęską.
- Sugestia, że jej żołnierze zostaliby pobici, szczerze ją oburzyła.
- Cerdic jest jednym z najdzielniejszych ludzi w Anglii.

- Nie wątpię w jego odwagę, pani. - Sir Henry przysiadł na stoliku i skrzyżował ramiona. — Co więcej, lepiej byłoby pewnie, gdyby miał jej nieco mniej. Wydaje mi się typem człowieka, który rzuca się z orężem w sam środek bitwy, ignorując strategię. Brakuje mu oglądu sytuacji z boku, więc nie dowodzi ludźmi tak skutecznie, jak mógłby.

Lady Mathilde już, już miała na końcu języka ostrą ripostę, powstrzymał ją jednak niepokój, że sir Henry może się nie mylić.

- Ludzie go lubią - stwierdziła wymijająco.

- To dobrze, jeśli chce, aby byli jego przyjaciółmi, ale już nie tak dobrze, jeśli ma nimi dowodzić.

- Darzą go również szacunkiem - dodała pewna, że Cerdic jej nie zawiedzie. - Słuchają jego rozkazów.

- Czy wykonują je natychmiast, bez sarkania i myśli o sprzeciwie, ponieważ boją się go bardziej niż przeciwnika?

Mathilde zmarszczyła czoło. Widać było jej niezadowolenie.

- Mój ojciec nie rządził, budząc strach.

- Nie mówię o rządzeniu, pani, tylko o dowodzeniu ludźmi podczas bitwy. Żołnierze muszą reagować na rozkazy bez zastanowienia i bez protestu. Przecież chwila wahania może oznaczać klęskę.

Niby miał rację, a jednak...

- Czy żołnierze naprawdę muszą bać się swojego dowódcy tak samo jak wroga?

- Sir Leonard uczył nas, że wojownicy powinni wkładać w walkę

wszystkie swoje siły nie dlatego, że obawiają się porażki i śmierci, lecz dlatego, że nie chcą zasłużyć na niezadowolenie dowódcy.

- Roald nie prowadził żołnierzy do bitwy i nie oblegał zamków.

- Może jednak najać ludzi, którzy potrafią to robić. Tymczasem wszystkie twoje warty drzemią, jakby dzień w dzień było święto. Patrząc na strażników, można odnieść wrażenie, że nie mają innych obowiązków oprócz jedzenia, picia i rozmawiania.

Mathilde zwróciła uwagę na ich brak dyscypliny, sądziła jednak, że w razie potrzeby się zmobilizują.

Sir Henry popatrzył na nią z jeszcze większą surowością.

- Dyscypliny nie da się nakazać, kiedy jest potrzebna, a potem z niej zrezygnować do następnego razu - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Co będzie, jeśli Roald przyjedzie tutaj z wojskiem, a twoi ludzie, pani, będą na to nieprzygotowani?

- Warty na murach nie są takie ważne - odparła, na tym gruncie bowiem czuła się pewniej. - Strażnicy są rozstawieni i obserwują wszystkie drogi w promieniu dwudziestu mil. Gdy tylko ktoś zauważy Roalda, ostrzeżenie natychmiast tu dotrze. Będziemy gotowi.

- Mam nadzieję, że to prawda. Dla twojego dobra, pani, i dla dobra Ecclesford. - Podszedł do niej o krok. Tak poważnej miny jeszcze u niego nie

widziała. - Bez względu na to, co sądzisz o przygotowaniu swoich ludzi, pozwól, że obejmę dowództwo nad strażą na czas mojego pobytu w zamku.

- Chcielibyście tego, panie? - spytała zaskoczona propozycją.

- Jeśli tylko mi na to pozwolisz. Mam przecież mnóstwo czasu. Ile można polować? Czemu nie mógłbym się podzielić swoją wiedzą i umiejętnościami?

Może rzeczywiście czegoś by jej ludzi nauczył. Twardsza ręka na pewno by im się przydała. Poza tym takie zajęcie oznaczałoby, że sir Henry nie będzie spędzał Całego czasu na zalecaniu się do Giselle. Wprawdzie u siostry nie dostrzegła żadnych oznak zainteresowania gościem, ale lepiej było dmuchać na zimne.

- Zgoda. Dziękuję. Skłonił się.

- To ja dziękuję, milady. Postaram się nie zawieść oczekiwań. Mam też nadzieję - tu szelmowsko do niej mrugnął okiem - że nie pożałujesz swojego wyboru.

Nie dość, że był przystojny, to jeszcze miał mnóstwo osobistego uroku i dawał poczucie bezpieczeństwa, nawet kiedy mówił o zagrożeniach. Podobnie było z jej ojcem. Niestety, nie żył, a jej próżność i nieroztropność na pewno skróciła mu życie. Tym razem Mathilde doszła do drzwi.

- Dobranoc, panie - powiedziała z ręką na ryglu. - Mam nadzieję, że zaśniecie bez kłopotów.

- Ja też życzę ci, pani, spokojnej nocy.

Zanim zdążyła się ruszyć, stanął za nią i przykrył jej dłonie swoimi. Czuła bliskość jego ciała, jego ciepło i zapach.

- Przyjemnych snów, pani.

Wiedziała już, że sen dziś do niej nie przyjdzie, ale mimo to wyszła z komnaty i zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział piąty

- Postawiłabyś nade mną tego Normana, pani? - spytał osłupiały Cerdic. Mathilde nie oczekiwała, że jej decyzja wywoła zadowolenie, ale sytuacja nie wydała jej się przez to ani trochę łatwiejsza. Cerdic spoglądał na nią tak, jakby wbiła mu nóż w plecy, natomiast Giselle, która przyszła do pokoju na wieży razem z nim i usiadła z boku, przybrała wyraz twarzy świadczący o wyraźnej dezaprobachie.

Sir Henry stał w swobodnej pozie oparty o ścianę, ramiona skrzyżował na piersi i obserwował tę konfrontację, zdawać by się mogło, tylko w nieznanym stopniu zainteresowany jej przebiegiem.

- To rozwiązanie jest tymczasowe - zapewniła Mathilde, usiłując nie zwracać uwagi na sir Henry'ego, który mimo to bardzo ją rozpraszał. - Po jego wyjeździe przejmiesz dowództwo.

- Chyba nie mówisz poważnie! - zaprotestowała Giselle, zrywając się z krzesła, aby stanąć u boku Cerdica. - Jak to przejmie? Nie rozumiem, dlaczego miałby je teraz stracić.

- Roald może nadjechać z wojskiem - wyjaśniła Mathilde. - Musimy zrobić wszystko, żeby dobrze się przygotować na taką okoliczność. Sir Henry zaofiarował się, że przeciwiczy żołnierzy, aby lepiej wiedzieli, jak skutecznie bronić zamku. Uważam, że powinniśmy przyjąć tę propozycję.

Cerdic zmierzył sir Henry'ego wrogim spojrzeniem, potem skierował wzrok z powrotem na Mathilde.

- Powiedział ci, pani, że mnie pokonał, prawda? Po prostu dopisało mu szczęście. Dopadłbym go...

- Może szczęście, a może umiejętności - przerwała mu Mathilde. - Sir Henry'ego uczył jeden z największych rycerzy w Anglii. Dlaczego nie skorzystać i z tego?

Giselle spiorunowała Henry'ego wzrokiem, po chwili zaś zwróciła się do siostry:

- Ile pieniędzy chce za tę dodatkową pomoc? - spytała, a w jej zwykle łagodnych niebieskich oczach odbiły się nieufność i wrogość.

- Nie żądam zapłaty - odparł Henry, zdaniem Mathilde, podejrzenie spokojnie, bo przecież pamiętała, jak potrafi się unieść. Albo więc podczas ich rozmowy w gospodzie był wyjątkowo rozdrażniony, albo teraz postanowił za wszelką cenę zapanować nad gniewem. W jego twarzy dostrzegła coś, co wskazywało, że prawdziwy jest raczej

drugi z tych domysłów. Tak czy inaczej, odczuła ulgę, że sir Henry nie zamierza włączać się do sporu.

- Nie ufam mu ani trochę - wyzywająco oświadczył Cerdic.

- Ja też nie - poparła go Giselle, jakby chciała skłonić siostrę do otwartego sprzeciwu.

Mathilde przeżyła rozczarowanie, ale nie była zaskoczona ich zachowaniem. Bądź co bądź, w pierwszej chwili zareagowała podobnie i nawet teraz była niezadowolona, że musi obdarzyć sir Henry'ego pełnym zaufaniem.

Giselle złożyła ręce jak do modlitwy i błagalnie spojrzała siostrze prosto w oczy.

- Jak możesz być tak łatwowierna po tym wszystkim, co przeszłaś?

Przez jedną straszną chwilę Mathilde obawiała się, że Giselle obwieści jej hańbę wprost przed sir Henrym.

- Nie jestem chciwy, więc kiedy mówię, że nie oczekuję zapłaty, słowa dotrzymuję - wtrącił sir Henry. - Muszę powiedzieć, pani, że nieco się dziwię. Obarczasz siostrę prowadzeniem domu i na jej ramiona złożyłaś przygotowanie zamku do obrony, a jednocześnie bez skrupułów kwestionujesz jej osąd sytuacji i słuszność decyzji.

Tym razem to Mathilde się zdumiała. W duchu była jednak rada, że sir Henry przyszedł jej z odsieczą.

Giselle spłonęła rumieńcem, nie zamierzała jednak ustąpić.

- Siostra zarządza domem nie dlatego, że jestem leniwa, sir Henry. Po tym, co zaszło tutaj podczas poprzedniego pobytu sir Roalda, uznałam, że jeśli znajdzie sobie zajęcie, nie będzie miała wiele czasu, żeby rozmyślać

o... nie będzie wciąż sobie przypominała, jaki z niego łajdak.

Mathilde poczuła wyrzuty sumienia. Od wyjazdu Roalda Giselle istotnie powierzała jej coraz więcej domowych obowiązków, a ona nawet się nie zastanowiła, czy siostra jest z tego zadowolona. Sama jedynie szyła i zajmowała się chorymi, a jej zostawiła prowadzenie domu, ale jednocześnie dobrowolnie zrzekła się szacunku, jaki wiązał się z tą pozycją.

- Giselle, nie chciałam...

- Nieważne. W tej chwili chodzi o to, abyś zrozumiała, że sir Henry jednak nie powinien dowodzić strażą. Poza wszystkim jest to afront wobec Cerdica.

- Wolisz, pani, aby zamek padł łupem sir Roalda tylko dlatego, że nie chciałaś obrazić Cerdica? - spytał chłodno Henry. - Przykro mi, że muszę zakwestionować twoją bystrość, ale czy przyglądałaś się ostatnio straży? Każdy z osobna może dobrze włada bronią, ale wszyscy razem są niezdyscyplinowani, a stan ich zbroi i oręża pozostawia wiele do życzenia. Wątpię, czy w razie bitwy słuchaliby rozkazów. Każdy będzie walczył, jak mu się podoba, i zostaną wybici. Skoro tego sobie życzysz, pani, możesz naturalnie odrzucić moją pomoc, ale rozsądniej byłoby przyznać siost-

rze rację i uznać, że to ja powinienem dowodzić strażą do czasu przyjazdu Roalda.

- A jeśli Roald nie nadjedzie, to jak długo ten Norman będzie tutaj siedział, zjadając nasze zapasy i wypijając wino? - spytała Giselle, jakby zapomniała, że Henry stoi prawie na wyciągnięcie ręki.

- Zostanie tutaj dopóty, dopóki nie nabierzemy pewności, co knuje Roald, albo do chwili, gdy sam postanowi odjechać - odparła Mathilde, mimo że wcześniej o tym z sir Henrym nie rozmawiała.

Nie zgłosił sprzeciwu.

- Ludzie nie zechcą go słuchać - orzekł Cerdic. Mimo tej nieprzyjaznej uwagi złość najwyraźniej

mu minęła. To dawało nadzieję, że Cerdic pogodzi się z losem.

- Zechcą, jeśli i ty zechcesz - powiedziała Mathilde. - Bądź takim dzielnym człowiekiem, za którego cię mam, i sam o tym z nimi porozmawiaj.

Giselle wciąż wydawała się nieprzejednana.

- Skąd pewność, że on nie spróbuje zagarnąć Ecclesford dla siebie?

- A jak mógłby tego dokonać? - zripostowała Mathilde. Sugestia siostry wprawiła ją w niemałe zakłopotanie. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby w tej chwili sir Henry obrócił się na pięcie i odjechał. - Nawet gdyby był człowiekiem pozbawionym honoru, nie ma tytułu prawnego do zamku ani też nikogo do pomocy. Dla niego jedynym sposobem wejścia w posiadanie zamku jest poślubienie ciebie, siostrze.

Giselle sprawiała takie wrażenie, jakby jeszcze nigdy w życiu nie słyszała niczego równie odstręczającego.

- Nie zamierzam poślubić sir Henry'ego.
- Wobec tego nie musisz się obawiać, że sir Henry ukradnie nam Ecclesford.

Giselle jednak łatwo nie rezygnowała.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że mężczyzna bez skrupułów zawsze znajdzie sposób, aby dopiąć swego.
- Nie jestem mężczyzną bez skrupułów -przerwał jej zniecierpliwiony i poirytowany sir Henry, a jego surowy głos i chmurna mina przypomniały im jeszcze raz, że mają przed sobą szlachetnego wojownika, dla którego walka jest żywiołem i sposobem¹ na życie, a nie złotoustego dworaka szukającego jedynie przyjemności.

Cerdic podszedł do Giselle i położył jej rękę na ramieniu.

- Może rzeczywiście ten Norman mógłby nas czegoś nauczyć. Musimy postawić na pierwszym miejscu bezpieczeństwo twoje, pani, twojej siostry i Ecclesford.
- Więc dobrze! - powiedziała Giselle, kręcąc głową. - Niech Norman zostanie komendantem straży. Widzę, że oboje wiecie lepiej niż ja, jak należy postąpić. - Z dumnie uniesioną głową opuściła komnatę.
- Spróbuję ją ułagodzić - powiedział Cerdic i szybko wyszedł za Giselle.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem - stwierdził sir Henry ze swego miejsca przy oknie.

- Lepiej? - Mathilde nie wierzyła własnym uszom. - To było okropne! Giselle nie wpada w złość i się ze mną nie kłóci.

- Czyżby? Ja z bratem kłóczę się bez przerwy. Jestem pewien, że jej przejdzie, pani - dodał. - To my mamy rację, a ona jest w błędzie, nawet jeśli kieruje się lojalnością wobec Cerdica. Przynajmniej on się zgodził.

- Tak—przyznała. To istotnie było pocieszające.

- Poza tym, jeśli nie wprowadzę żadnych zmian na lepsze, możesz mnie w każdej chwili stąd wyrzucić, pani. Przykro mi, że musiałaś, pani, przez to przejść.

Mathilde uznała, że sir Henry jest zdumiewająco łagodny i wyrozumiały, zwłaszcza jak na rycerza. Wydał jej się wręcz wielkoduszny...

Przypomniała sobie, że powinna trzymać go na dystans, obeszła więc stół i stanęła za masywnym krzesłem.

- Mimo wszystko jestem wam, panie, winna przeprosiny.

- Przyjęte z wdzięcznością - odparł. Położyła ręce na oparciu krzesła.

Kusiło ją, aby

nakazać mu wyjść. Niewykluczone, że tak by postąpiła, gdyby nie scena z Giselle i Cerdikiem, która niedawno się rozegrała. Mogła też sama opuścić komnatę, wtedy jednak popełniłaby poważną niezręczność. Sir Henry mógłby się domyślić jej zakłopotania, a ona nie chciała, aby ktokolwiek miał podstawy nazwać ją słabą i strachliwą.

- Co zrobicie najpierw jako komendant straży? - spytała.

Rozważając odpowiedź, sir Henry pochylił się nad stołem i oparł na nim dłoń. Miał długie palce, ale widać było siłę tej ręki wojownika, opalonej i naznaczonej odciskami. Przyszło jej do głowy, że to ręka kochanka... Z pewnością tak przystojny mężczyzna jak Henry poznał wiele kobiet.

- Najpierw musimy zwołać ludzi na zbiórkę i ogłosić im, że przejmuję dowództwo.

- Naturalnie - odrzekła, pilnując, aby zabrzmiało to bardzo rzeczowo. Jej zdradliwe myśli musiały odpłynąć w dal.

- Sprawdzę stan ich zbroi i oręza, a także stan oręza w zbrojowni. Jest tu zbrojownia?

- Owszem, w donżonie.

- Potem zobaczę, co umięją, a czego muszą się nauczyć. A jeszcze potem... - Na wargach wykwitł mu diabelski uśmiezek, który znów obudził w Mathilde zdrożne myśli. - Będą biegać. Dużo biegać.

- Biegać? - powtórzyła, zła na siebie, że głupio to zabrzmiało.

- O, tak. Jeszcze to znienawidzą. I mnie też. Powiedział wcześniej, że komendanta straży

żołnierze powinni się bać, ale trudno jej było uwierzyć, żeby tak przyjacielski i pełen ciepła człowiek życzył sobie, żeby go nie lubiano.

- Naprawdę tego chcecie, panie? - spytała i aby widzieć jego twarz, wyszła ze swej kryjówki za krzesłem.

Pytanie najwidoczniej go rozbawiło.

- O tak - potwierdził,niżając głos do dramatycznego szeptu. Pochylił się ku niej, a jego piwne oczy rozpała radość, jakby był małym chłopcem dzielącym się sekretem z najlepszym przyjacielem. - Im bardziej żołnierze nienawidzą człowieka, który ich ćwiczy, tym lepiej odnoszą się do siebie wzajemnie. Jednoczą się przeciwko wspólnemu wrogowi.

- Nie wiedziałam...

Był blisko. Serce zabiło jej mocniej, w głowie lekko się zakrećilo.

- Co się stało? - spytał, w jednej chwili poważniejac. - Źle się czujesz, pani?

Przyłożyła rękę do czoła, starając się odsunąć od siebie niechciane wspomnienia, a wraz z nimi panikę i strach. To był sir Henry, a nie Roald.

- Nic mi nie jest.

- Nie wierzę - odparł. - Usiądź, pani. Zaraz sprowadzę twoją siostrę.

- Nie! - zaprotestowała, więc zatrzymał się w drodze do drzwi. - To naprawdę nic takiego. Trochę się zmęczyłam. Nie spałam dzisiaj dobrze.

- Pamiętam - powiedział ze współczuciem. -Zbierzmy więc jak najszybciej ludzi, a ze zbrojownią poczekamy do czasu, aż nie będziesz, pani, zmęczona i strapiona kłótnią z siostrą.

Mathilde chciała zaprotestować, ale rozsadek jej na to nie pozwolił.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było znaleźć się sam na sam z sir Henrym w ciemnej zbrojowni.

Uprzejmie podał jej ramię.

- Wyjdziemy na dwór, pani?

- Dziękuję - powiedziała i skorzystała z zaproszenia, próbując nie myśleć o ciepłym ramieniu, które wyczuwała dłonią.

Ze swojego miejsca na schodach prowadzących do wielkiej sali sir Henry, stojąc obok lady Mathilde, rozejrzał się po ludziach zgromadzonych na dziedzińcu. Większość wydawała się bardzo niezadowolona z obwieszczenia, które właśnie usłyszeli. Kilku wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Dwaj nawet nie próbowali ukryć wrogości, tych więc należało obserwować szczególnie bacznie. Jeśli nie pogodzą się z decyzją, będą musieli odejść. Brak karność w szeregach był jak zaraza, rozprzestrzeniał się błyskawicznie i mógł zakazić nawet cały garnizon. Sir Henry zastanawiał się też, co naprawdę myśli stojąca obok niego dama. Bez wątplenia była zadowolona z jego propozycji. W to, że wzburzyła ją kłótnia z siostrą i Cerdikiem, również nie wątpił. Poza tym pozostawała dla niego zagadką, większą niż jakakolwiek inna kobieta.

- Będziecie przyjmować rozkazy sir Henry'ego tak, jakbyście słyszeli je od lady Giselle lub ode mnie - kończyła tymczasem lady Mathilde. - Kto się nie chce podporządkować, ten musi natychmiast opuścić Ecclesford po odebraniu żołdu do jutra włącznie.

Tego sir Henry nie spodziewał się usłyszeć. Z zaciekawieniem czekał, ilu ludzi się zgłosi.

- A co z Cerdikiem, pani? - zawołał jeden z żołnierzy. - Czy on się na to zgadza?

- Będzie zastępcą sir Henry'ego.

Cerdic wystąpił przed swoich ludzi z cienia, w którym stał do tej pory.

- Zgadzam się - oznajmił donośnym głosem, słyszalnym na całym dziedzińcu. - Przyjmuję ten rozkaz, ponieważ wydała go moja pani, a ja lojalnie jej służę - ciągnął. - Będę walczył do ostatniego tchu za damy z Ecclesford, tak jak przysiągłem. Jeśli ktokolwiek z was nie zamierza słuchać tego Normana tak jak mnie, powinien natychmiast odejść. Jeśli nie chcecie się uczyć nowych sposobów walki, brama jest tam. Ja zostaję. Pokażemy Normanowi i sir Roaldowi, jak tu wróci, że potrafimy stawić czoło każdemu.

- Dobrze mówisz! - krzyknął jeden z ludzi, wyrzucając pięść w górę. - Hura!

Henry musiał uważać, żeby się nie uśmiechnąć. Cerdic przeszedł samego siebie. Takiej przemowy trudno było się spodziewać. Cerdic stanął obok. Ludzie nadal wiwatowali, a on klepnął sir Henry'ego wielką ręką po ramieniu, jakby od teraz byli przyjaciółmi na śmierć i życie. Przez zęby wycedził jednak:

- Nigdy nie zaufam Normanowi.

Henry nie okazał rozczarowania. Uśmiechnął się kącikami ust i odpowiedział, ledwie poruszając wargami:

- To nie ufaj. Wystarczy, żebyś się uczył i słuchał. W oddali odezwał się dzwon na kościelnej wieży. Uderzył trzy razy, przerwał i dodał jeszcze trzy uderzenia. Gdy wybrzmiał, zapadła cisza jak makiem zasiał. Henry nie wiedział, co oznacza ten sygnał, ale z jak najgorszymi przeczuciami zwrócił się do lady Mathilde. Poblądła, jakby dzwony zwiastowały jej potępienie.

- Co się stało? - spytał.

- Najeżdża Roald.

Rozdział szósty

Wjeżdżając do wsi Ecclesford w eskorcie dziesięciu zbrojnych i ze skrzypiącym wózkiem z załadowanymi strojami i przedmiotami niezbędnymi dla własnej wygody, Roald zmarszczył czoło. Miejsce wydawało się kompletnie opustoszałe, jeśli nie liczyć kilku grzebiących w błocie kur i dobiegających psich poszczekiwań. Zupełnie jakby przez wieś przetoczyła się zaraza i zabiła wszystkich mieszkańców. Rozejrzał się zaniepokojony, po chwili doszedł jednak do wniosku, że gdyby tak było, również gruby karczmarz z wcale nie chudszą żoną i synem osiłkiem spakowaliby manatki. To zaś znaczyło, że wieśniacy musieli się pochować. Głupie kmiotki. Co oni sobie ubzdurali? Że ich wymorduje? Kto by pracował na jego ziemi, gdyby tak postąpił? Ludzie jadący za nim zaczęli szeptać między sobą. Roald odwrócił się raptownie.

- Nie dostajecie żołdu za mielenie ozorami. Jego irytacja nieco zelżała, gdy ujrzał zamek,

który zamierzał objąć. Wprawdzie jak na budowlę tego rodzaju był stosunkowo niewielki, ale całkiem wygodny. Poza tym wartość Ecclesford nie opierała się na umocnieniach, lecz na okolicznych żyznych gruntach i dobrej lokalizacji w pół drogi z Londynu na wybrzeże.

Niewątpliwie stryj zgromadził też sporo pieniędzy.

Zewnętrzna brama okazała się zamknięta. Dziwne. Niedawno zmarły pan Ecclesford zawsze zostawiał ją otwartą. Może jednak Mathilde i jej piękna siostra chciały w spokoju opłakiwać stratę ojca. O kobiecej słabości pomyślał z obrzydzeniem. Mathilde będzie mogła oddawać się żalobie do woli, ale w klasztorze. Tam nie wejdzie mu w drogę. A co do Giselle... Z nią wiązał inne plany. Kiedy jego świta również stanęła u bramy, z murów rozległ się znany mu głos:

- Przyjaciel czy wróg?

- Otworzyć bramy, natychmiast! - zagrzmiął.

- Ach, to wy, sir Roaldzie - odezwał się ponownie Cerdic. - Nie poznałem was w tych nowych piórkach.

Roald nawet nie spojrzał na swój wełniany płaszcz, za który jeszcze nie zapłacił.

- Otwórz bramę, głupcze!

- Z przyjemnością, panie, ale tylko dla was. Zbrojni nie mogą wjechać.

Roald uniósł się w siodle.

- Żądam, abyś natychmiast nas wpuścił!

- Takie otrzymałem rozkazy - odparł spokojnie Cerdic. - Nie zalecacie mi chyba, abym okazał nieposłuszeństwo moim paniom?

- Jestem dziedzicem Ecclesford!

- Nie w myśl testamentu zmarłego pana. Ten bydlak widocznie rozumiał jedynie mowę pieniędzy albo silnego ciosu.

- Wezwij więc panie tego zamku. Jasnowłósy wojownik skrzyżował muskularne ramiona.

- Nie ma powodu, panie. Ich rozkazy były jasne. Mam was wpuścić, ale gościnność nie rozciąga się na waszych ludzi, bo ci przysporzyli poprzednio wielu kłopotów.

Tego argumentu nie sposób było podważyć. Zresztą Roald nie zamierzał dłużej stać jak żebrak pod bramą własnego zamku.

Przyzwał gestem dowódcę eskorty, wysokiego, chudego żołnierza.

- Rozpuść ludzi - powiedział. - Mogą zabawić się we wsi.

- Dobrze, panie.

Zwolniona z obowiązków eskorta ruszyła w stronę zabudowań.

- Teraz otwieraj bramę! - zakomenderował. Masywne drewniane wrota wreszcie stanęły

przed nim otworem, ale zanim Roald zdążył wjechać, ze środka wybiegła straż w sile dziesięciu ludzi i otoczyła jego konia. Pierwszy raz przemknęło mu przez myśl, że damy niekoniecznie potulnie spełnią jego życzenia. Cerdic pojawił się po drugiej stronie bramy w pełnym rynsztunku, z toporem i tarczą. Na twarzy miał pewny siebie uśmiech.

- Powiedziałem już, że panie nie życzą sobie problemów.

Roald postanowił sobie, że któregoś dnia zetrze temu bydlęciu z twarzy jego głupkowaty uśmiech. Tymczasem jednak klusem wjechał na

dziedziniec. Nie był więźniem, lecz pełnoprawnym panem tego miejsca. To był jego zamek, a pieniądze złożone w kufrach stryja też należały do niego. Z pewnością to sprawka Mathilde. Już on dopilnuje, żeby za to zapłaciła!

Dziedziniec okazał się wymarły tak jak wcześniej wieś. Roald zsiadł z konia, zarzucił wodze na pobliski wóz i ruszył w strony wielkiej sali. Kuzynki pożąłują tego niegościnnego powitania, a przede wszystkim Mathilde! Znajdzie dla niej najbardziej spartański klasztor w całej Anglii z najsurowszą matką przełożoną, jaką można sobie wyobrazić. Natomiast Giselle może go błagać o przebaczenie. Przyjemnie będzie tego posłuchać, zanim... Nikt nie otworzył przed nim drzwi wielkiej sali.

Wszedł i natychmiast po przekroczeniu progu ujrzał Mathilde, mierzącą go wzrokiem z podwyższenia. Stała w iście królewskiej pozie. Ostatnim razem, kiedy ją widział, nie zachowywała się tak dumnie. To wspomnienie nieco złagodziło jego wściekłość. Piękna Giselle stała obok siostry, wystrojona w burgundową suknię opinającą jej

kształtne ciało. Piękny haft na rąbku i mankietach niewątpliwie był dziełem samej właścicielki, która albo siadywała z robótką, albo pielęgnowała chorych. Spostrzegł, że na podwyższeniu znajduje się jeszcze ktoś trzeci. Zmełł przekleństwo pod nosem. Skąd się tu wziął D'Alton? Bez wątpienia szukał pięknej damy dysponującej okazałym spadkiem. Chyba jednak oszalał, jeśli sądził, że on, Roald de Sayres, zgodzi się na sojusz między rodzinami.

Dotarł do podwyższenia i zdawkowo skłonił głowę.

- Dzień dobry, Giselle, Mathilde. Przyjmijcie, proszę, kondolencje po śmierci ojca. Współczuję.

- Doprawdy? - spytała Mathilde, nieznacznie unosząc brew.

Na Boga, za kogo ona się ma? Czyżby już zapomniała o jego ostatniej wizycie? O tym, co mówiła, a przede wszystkim, co robiła?

- Przykro mi z powodu jego śmierci, chociaż był stary i chory, a umrzeć muszą wszyscy.

- Tak - przyznała. - Niektórzy nawet zasługują na to, aby umrzeć przed innymi.

Nie zamierzał toczyć z nią pojedynku na słowa.

- Mathilde...

- Ufam, kuzynie, że znasz naszego gościa -przerwała mu, wskazując skinieniem głowy stojącego obok Normana.

- Nie wydaje mi się, aby twój krewny, pani, ucieszył się z mojego widoku

- odezwał się ten z wyraźną kpina w głosie.

- Zaiste - przyznał Roald, wspinając się na wyższy poziom. - Co on tu robi? - zwrócił się do Giselle.

Nie odpowiedziała, tylko spłonęła rumieńcem i skryła się za siostrą i Normanem.

- Sir Henry składa wizytę w Ecclesford na nasze zaproszenie - wyjaśniła Mathilde.

- Nie wiem, co ten łajdak mógł wam powiedzieć, że zapragnęłyście go ugościć.

- To ja go zaprosiłam, a zamek nie jest twój. Złość Roalda jeszcze się nasiliła.

- Nie udawaj naiwnej, Mathilde. Ecclesford należy do mnie. Jestem jedynym męskim potomkiem w rodzinie. To czyni mnie prawowitym dziedzicem. Nakazuję więc temu normańskiemu szubrawcowi opuścić zamek, i to natychmiast!

- Nic z tego! - zaoponowała Mathilde. Roald zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Jestem tutaj panem i...

- Nie jesteś. - Sir Henry stanął między nimi. Groźny pomruk dobiegł uszu Roalda. Lekko

obrócił głowę. Skąd, u licha, wzięli się w sali żołnierze? Ponownie zmierzył surowym spojrzeniem kuzynkę.

- Ośmielisz się mnie uwięzić, zwabiwszy mnie tutaj bez moich ludzi? - spytał niemal pewien, że pozwolił się wciągnąć w jakąś pułapkę.

- Ci ludzie są tutaj, Roaldzie, aby nie przyszło ci do głowy dobyć miecza - oznajmił sir Henry. - Nie przystoi stosować przemocy wobec dam.

Roald zmierzył D'Altona pogardliwym spojrzeniem.

- Moje kuzynki najwidoczniej nie zdają sobie sprawy z opinii, jaką masz na dworze.

- Zawsze zachowywałem się jak dżentelmen wobec dam, bez względu na ich urodzenie. Nie znajdziesz nikogo, kto twierdziłby inaczej.

- Kilku zdradzonych mężów bez wątpienia mogłoby coś o tym powiedzieć. - Roald uśmiechnął się pogardliwie, dostrzegając zakłopotanie kuzynki. - Co się stało, Mathilde? Nie opowiedział ci jeszcze, ile żon uwiódł?

- Doskonale wiem, że sir Henry nie jest święty - odparła Mathilde. - Dał mi to jasno do zrozumienia przy okazji naszego pierwszego spotkania. Nic mnie jednak nie obchodzą jego romanse.

- Jego przeszłość powinna cię bardzo zainteresować - odparł Roald. - Zapewne nie opowiedział ci, że oskarżono go o zdradę i spiskowanie przeciwko królowi?

W oczach Mathilde odbiło się zaskoczenie.

- Ponieważ stoję tutaj, oskarżenia najwyraźniej okazały się bezpodstawne - chłodno odparł D'Alton, po czym zmierzył Roalda takim spojrzeniem, jakby patrzył na robaka, którego zamierza rozdeptać.

- Mimo wszystko nawet twój najlepszy przyjaciel uznał cię za zdolnego do takiego czynu - zwrócił mu uwagę Roald. - A ty, Mathilde, podobno jesteś rozsądną kobietą. Co się z tobą stało? Nie widzisz, że to niegodny, pozbawiony honoru łajdak, który szuka okazji do ożenku dla zysku? Po co inaczej stanąłby u was w gościnie?

- Pytasz, co się ze mną stało, Roaldzie? Zawiodłam się na tobie. Nauczyłeś mnie wszystkiego, co tylko można, o hańbie i oszustwie. Jeśli jest tu obecny człowiek pozbawiony honoru, to właśnie na niego patrzę.
- Surowe słowa, moja droga. Łamiesz mi serce.
- Nie masz serca... i prawa do Ecclesford też nie! Testament mojego ojca postanawia w tej sprawie jasno. Poza tym, jak sam widzisz, mamy wpływowych przyjaciół.
- Roald gwałtownie poczerwieniał na twarzy. Nie zamierzał pokazać przed tą bezczelną sekutnicą, że się kogokolwiek obawia.
- On wpływowy? Tak ci powiedział? Ten człowiek nie ma więcej wpływów niż koniuszy króla.
- Jego rodzina...
- Jego brat może mieć coś do powiedzenia na dworze, ale w Szkocji, a siostra poślubiła jakieś szkockie nic.
- Jej mąż jest głową klanu - powiedziała Mathilde.
- To znaczy, że cieszy się pewną pozycją... wśród dzikusów.
- D'Alton parsknął śmiechem.
- Zdumiewa mnie twoja kompletna ignorancja, Roaldzie, mimo że nigdy nie miałem cię za krynicę mądrości.

- A mnie zdumiewa twoja zuchwałość - odparł Roald. - Śmiesz stać tu przede mną i udawać niezłomnego rycerza.

Mathilde czuła, że jej cierpliwość się kończy. Miała dość zarozumiałości i pogardy Roalda, jego kłamstw, a przede wszystkim obecności. Na jego widok robiło jej się niedobrze, całkiem dosłownie, bo pachnidło, którego używał, nie przypadło jej do gustu. Najchętniej uciekłaby z wielkiej sali, nie oglądając się za siebie.

- Nawet jeśli jesteś, kuzynie, jedynym męskim przedstawicielem rodu, to ojciec zapisał Ecclesford w testamencie Giselle i mnie.

- Oboje wiemy, że kiedy twój ojciec zmienił zdanie, był już zbyt chory, aby testament był ważny - odparł Roald. - Nie myślał jasno, dlatego obowiązuje wcześniejsza wersja, według której to ja jestem dziedzicem. Mathilde podeszła do niego z taką miną, jakby samym spojrzeniem chciała go zabić.

- Świetnie wiesz, że ojciec nie bez racji zmienił testament i że w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

- Gdyby twój ojciec rzeczywiście był przy zdrowych zmysłach, odesłałby cię do klasztoru jako rozpustnicę.

Ze sposobu, w jaki nabrała powietrza, Roald wywnioskował, że trafił w czuły punkt, a nie był to ostatni powód do zadowolenia. Norman bowiem zmierzył Mathilde takim spojrzeniem, jakby dopiero teraz naprawdę się dowiedział, z kim ma do czynienia. Na twarzy Roalda pojawił się triumfalny uśmiech.

- Nie wspomniała ci o naszej małej schadzce, prawda? Nie powiedziała też na pewno, dlaczego chce się na mnie zemścić. Chodzi zaś o to, że mimo wszelkich jej starań, nie chciałem się z nią ożenić.

Mathilde rozumiała, do czego zmierza Roald. Próbowwała krzyknąć, aby zamilkł, ale coś ścisnęło ją za gardło, tak że nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- A starała się, starała, mam rację, Mathilde? - ciągnął Roald. - Nie ożeniłbym się z nią jednak nawet po tym, jak przyszła do mojej sypialni i mi się oddała.

Mathilde wciąż stała bez słowa. Ściskanie w gardle było coraz mocniejsze.

- Płakała i skamlała, abym wziął ją za żonę, próbowała mnie zmusić, ja jednak nie zamierzam wiązać się z kobietą pozbawioną zasad moralnych. Nie minie nawet miesiąc, a taka żona przyprawi mężowi rogi.

- Kłamca! Kłamliwy, podły kundel!

- Oto widzimy Mathilde w całej okazałości - stwierdził prowokująco Roald. - Oto prawdziwa sekutnica, a nie czuła kochanka. Zwróć uwagę, Henry, że nie zaprzeczyła temu, co powiedziałem o przychodzeniu do mojego łóżka. Po prostu nie mogłaby. Czy i do ciebie zakradła się nocą, wyglądając tak słodko i bezbrinnie jak nigdy za dnia?

Mathilde przygniatały wstyd i upokorzenie. Co sir Henry o niej pomyśli? Że jest zwykłą dziewczką? Że ściągnęła go tutaj pod fałszywym pretekstem, a wszystko, co mówi Roald, jest prawdą? Gdyby chociaż Roald kłamał w żywe oczy... Niestety, z wielu nieroztropnych postępów, jakie zdarzyły jej się w życiu, pójście do sypialni Roalda, do której zwabiły ją jego czułe słowa, było najgorszym. Jak mogło jej się zdawać, że jest zakochana? W każdym razie wycierpiała za ten brak rozsądku ponad miarę. Owszem, udała się - do jego sypialni, ale w swej naiwności sądziła, że Roald darzy ją miłością. Spodziewała się pocałunku, może również oświadczyń, ale niczego więcej.

- To, co stało się tamtej nocy, zaszło wbrew mojej woli - oświadczyła, wściekła na siebie za swoją głupotę.

- Jak inaczej miałbym tłumaczyć to, że przyszedłeś w nocy do mojej komnaty? To oczywiste, że chciałeś, abym cię wziął - wycedził Roald i zwrócił się do przysłuchującego się z beznamiętną miną sir Henry'ego: - Potem, kiedy odmówiłem jej ożenku, pobiegła z płaczem do ojca, twierdząc, że to był gwałt.

- Bo był! - krzyknęła Mathilde, omiatając spojrzeniem wszystkich zgromadzonych.

Giselle pobladła, ale spoglądała współczująco na siostrę, znała bowiem prawdę. To ona przecież opatrywała jej rany i zmywała krew z jej ciała. To ona słuchała jej rozdzierającego szlochu i pierwsza poznała prawdę opowiedzianą szeptem przez łzy.

Cerdic stał nieco z boku nieruchomo, wstrząśnięty tym, co usłyszał.

Żołnierze wymieniali półgłosem uwagi, ale omijali spojrzeniem swoją panią, jakby przestała dla nich istnieć.

- Nie odgrywaj ofiary, Mathilde - powiedział Roald. - Wszyscy wiemy, że kobietę, która sama idzie do komnaty mężczyzny, trudno nazwać cnotliwą. Nie mam racji, Henry?

- To zależy od powodu, dla którego kobieta tam idzie - odparł posępnie Norman.

Chociaż nie potępił jej wprost, Mathilde pomyślała, że musiała wiele stracić w jego oczach. Miała szczerą nadzieję, że przynajmniej nie uzna jej za ladacznicę.

- A jaki mogłaby mieć powód, jeśli nie chciała, abym ją posiadał? - spytał Roald. - Z pewnością właśnie o to jej chodziło. Nie protestowała, kiedy ją całowałem i nie próbowała wyjść.

- Bo byłem głupia... po tysiącokroć głupia! - krzyknęła Mathilde, zdecydowana za wszelką cenę przekonać sir Henry'ego i innych obecnych w sali, że choć popełniła olbrzymi błąd, pozwoliła się omamić, to dziewictwo straciła wbrew swojej woli. - Uwierzyłam ci, kiedy mówiłeś o miłości i małżeństwie. Myślałam, że mnie pocałujesz, a potem poprosisz, abym została twoją żoną.

- Z jakiego niby powodu? Kilku pospolitych komplementów? Sam widzisz, Henry, jaka ona jest - stwierdził Roald, zwracając się do Normana, jakby Mathilde przy tym nie było. - Powinieneś dziękować swojej szczęśliwej gwiazdce, że przy-

byłem w porę, aby wyjawić ci prawdę. Przyznaję, że lady Giselle jest bardzo powabna i kusząca. - Na ustach pojawił mu się grymas. - Może sam się z nią ożenię?

Giselle przycisnęła dłoń do piersi. Niechybnie upadłaby, gdyby Henry nie zdążył jej podtrzymać. Nieprzytomną damę ostrożnie ułożył na podwyższeniu.

- Ty bydlaku! Ty odrażający potworze! - krzyknęła Mathilde i podbiegła do siostry. - Ona nigdy cię nie poślubi!

Była zdecydowana bronić siostry za wszelką cenę, nawet gdyby miało ją to kosztować życie. Za nic nie mogła pozwolić, aby Roald ją poślubił.

Faiga podeszła, niosąc wodę dla ocucenia lady Giselle, tymczasem sir Henry zmierzył Roalda pogardliwym wzrokiem.

- Muszę powiedzieć, że sprawa nie przedstawia się dobrze - powiedział. - Wygląda na to, że sama myśl o tobie w roli męża przyprawia damę o omdlenie. Wcale jej zresztą z tego powodu nie winię.

Cerdic wystąpił spomiędzy żołnierzy z morderczą miną. Przez chwilę Mathilde obawiała się, że zaatakuje Roalda, on jednak tylko mocno go odepchnął i przykląkł obok Giselle.

- Zaniosę ją do komnaty - oznajmił i bez najmniejszego wysiłku unióś Giselle z podłogi.

Wstrząsana na poły wściekłością, na poły rozpaczą Mathilde zwróciła się do kuzyna.

- Wynoś się stąd, Roaldzie, bo jeśli nie, to każę moim ludziom wywlec cię stąd jak psa, którym jesteś.

Henry położył dłoń na rękojeści miecza.

- Słyszałeś, czego życzy sobie dama.
- Nie wtrącaj się do tego, Henry. To nie twoja sprawa.
- Jako rycerz przysiągłem chronić kobiety, a moim zdaniem, obu obecnym tu damom grozi poważne niebezpieczeństwo. - Zbliżył się o krok do Roalda. - Odjedziesz czy mam cię przebić na wylot?
- Roald cofnął się wyprostowany, jakby kij połknął.
- Myślisz, że nie odkryłem twoich zamiarów? Chcesz mieć Giselle dla siebie.
- Chcę, żebyś odjechał i nigdy więcej nie sprawiał tym damom kłopotu. Nasilił się gniewny pomruk żołnierzy. Ostatkiem sił powstrzymując łzy, Mathilde pojęła, że nawet jeśli całkiem skompromitowała się w oczach swojej straży, to żołnierze wciąż są gotowi chronić ją i Giselle.
- Pożalujesz tego, Mathilde - ostrzegł Roald, schodząc z podwyższenia. - Wszyscy pożalujecie: ty, twoja siostra, ten tępy osiłek i ten nor-mański przybłęda też. - Wskazał palcem Hen-ry'ego. - Na twoim miejscu nie narażałbym się na gniew króla nawet dla zdobycia pięknej Giselle. Jesteś tylko rycerzem bez ziemi, a chociaż w Szkocji twoja rodzina ma pewne wpływy, to nie wystarczą one, abyś po powrocie zachował

głowę. Chcesz ryzykować życie dla tych kobiet? Może jeszcze zamierzasz wmieszać w to swoje rodzeństwo?

- A wiesz, na co ty się narażasz? - odparł Henry. - Grożąc mi, grozisz panu Dunkeathe, wypróbowanemu przyjacielowi królów Szkocji. Przyjaźnię się również z lordem Tregellassem, najlepszym przyjacielem królewskiego brata. Naprawdę sądzisz, że król zechce ich do siebie zrazić z twojego powodu?

Ośmielona obecnością Henry'ego stawiającego czoło Roaldowi, jak również lojalnością swoich ludzi, Mathilde zbliżyła się nieco do kuzyna.

- Jesteśmy paniami na Ecclesford na mocy prawa i zatrzymamy majątek. Jeśli spróbujesz wystąpić przeciwko nam, to popełnisz gruby błąd.

- Śmiałe słowa, pani - zakpił Roald, choć krok po kroku zbliżał się do wyjścia. - Wiem przecież, że można ci wierzyć. Pamiętam, jak zapewniałaś mnie o swojej miłości aż do śmierci.

- Będę cię nienawidzić aż do śmierci! Roald zaśmiał się zimno.

- Jak zawsze namiętna, co? Och, Mathilde, szkoda, że jesteś taka szpetna, bo może jednak dałbym się namówić na ślub. Naturalnie musiałybyś wnieść odpowiedni posag.

Mathilde zdarła z głowy srebrny diadem, przytrzymujący jej chustę, i cisnęła nim w Roalda. Tymczasem Henry zeskoczył z podwyższenia, rozeźlony ponad wszelką miarę.

- Pożałujesz tych gróźb - oświadczył Roald, ale w jego głosie słychać było strach. Dobył miecza i teraz wycofywał się w stronę drzwi bardziej zdecydowanie. - Pójdę do króla, a on poprze moje żądania i dopilnuje, abym dostał to, co mi się należy.

- Nie, Roaldzie - powiedział cicho Henry przypominający w tej chwili drapieżnika, który zwietrzył zdobycz. - To ja postaram się, abyś dostał, co ci się należy.

- Nie! - stanowczo zaprotestowała Mathilde. Nienawidziła Roalda i chętnie dowiedziałyby się o jego śmierci, ale wiedziała, że kuzyn orężem włada znakomicie, a nie była to przecież sprawa Henry'ego. To do niej i Giselle należało rozwiązanie problemu. Nie powinna była w ogóle zapraszać sir Henry'ego. Żałowała teraz, że spotkała go na swojej drodze. Wciąż miała przed oczami jego twarz w chwili, gdy Roald z satysfakcją obwieścił jej hańbę.

- Puśćcie go, panie.

Henry zawahał się i z tej chwili skorzystał Roald. W okamgnieniu dopadł drzwi.

- Tchórz! - krzyknął Henry i rzucił się w pościg. Zanim jednak dopadł do drzwi, z dziedzińca dobiegł tętent konia na bruku.

Przygnębiona świadomością, że jej życie nieodwołalnie się zmieniło, Mathilde stała nieruchomo jak posąg. Tymczasem Henry odwrócił się do niej i zaczął się zbliżać, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Sądzę, milady, że powinniśmy porozmawiać o tym i owym. Najlepiej na osobności.

Rozdział siódmy

Jeśli sir Henry zamierzał nazwać ją dwulicową, pozbawioną honoru osobą, która zwabiła go do zamku pod fałszywym pretekstem, to Mathilde zdecydowanie wolała, aby stało się to podczas rozmowy w cztery oczy.

- Chodźmy do komnaty na wieży - powiedziała stanowczo.

Skinął głową i ruszył za nią. Przez cały czas czuła jego obecność za plecami i nie mogła pozbyć się skrepowania.

Po tym, jak Roald pozbawił ją dziewictwa, jej plany zawarcia szczęśliwego małżeństwa legły w gruzach. Potwierdzenie swojego przeświadczenia uzyskała zresztą w widoku zatroskanej twarzy ojca i w cichych westchnieniach Giselle. A jednak zachowała iskierkę nadziei, że nie wszystko stracone. Teraz i ta iskierka zgasła.

Tak bardzo chciała wierzyć, że młody, przystojny mężczyzna może ją pokochać. Powinna była wykazać więcej siły. Należało zacząć stawiać opór natychmiast, gdy wyraz twarzy Roalda raptownie się zmienił i odmalowało się na niej pożądanie. Tymczasem jego brutalność tak ją zaskoczyła, że poddała się praktycznie bez walki. Być może nic by się nie stało, gdyby nie była taka łasa na pochlebstwa. I może żyłby jeszcze jej ojciec.

Dotarłszy na szczyt wieży, weszła do ładnie urządzonej komnaty i stanęła za stołem. Niczym skazaniec czekała na słowa potępienia. Zanim jednak sir Henry zdążył cokolwiek powiedzieć, na progu pojawił się Cerdic. Na chwilę Mathilde zapomniała o swoim nieszczęściu.

- Jak się czuje Giselle? - spytała.

- Lepiej - odrzekł. - Bardzo przejęła się słowami tego łajdaka, ale trochę odpocznie i wszystko będzie dobrze.

Mathilde przyjrzała się twarzy Cerdica, chcąc z niej wyczytać, co wojownik myśli o niej, wiedząc o postępkach Roalda. Do tej pory sprawę znała tylko Giselle, a wcześniej ich ojciec.

- Cieszę się z tego - powiedziała.

Skinał głową. W jego zachowaniu dostrzegła dystans, którego wcześniej nie było, i to powiększyło jej zmartwienie.

- Roald jest wielkim kłamcą, pani - orzekł sir Henry, przerywając kłopotliwe milczenie. Rozpoczął tę rozmowę takim tonem, jakby chciał wymienić kilka zdań o pogodzie. - Nie uwierzyłbym jego

słowom, gdybyś nie dała swoim zachowaniem do zrozumienia, że to może być prawdą.

Zdziwiła się, że nie spotkała się natychmiast z grzmiącym potępieniem, ale to nie uciszyło jej obaw.

- Poszłam do jego sypialni - przyznała szczerze Mathilde. - Zdawało mi się, że go kocham, w dodatku z wzajemnością. Sądziłam, że powie mi kilka czułych słów, pocałuje, potem zaproponuje małżeństwo i na tym się skończy.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to przerażająco głupio i naiwnie. Jednak wtedy była całkiem niewinna, ojciec bowiem trzymał je z dala od dworu i towarzystwa rzekomo szlchetnych rycerzy. Trudno jej było o tym mówić, postanowiła jednak wytłumaczyć się przed Cerdikiem i sir Henrym.

- Nie chciał mnie wypuścić. Ścisnął mnie, a kiedy powiedziałam, że to boli, tylko się uśmiechnął. Ogarnął mnie strach, a on wtedy pchnął mnie na łożo. To było tak niespodziewane, że...

- Wystarczy, pani - przerwał jej sir Henry. - Wiem, że nie wymyśliłaś tego z chęci zemsty. - Spojrzał na Cerdica, który stał ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Ty również nie wiedziałeś o tym, co zaszło, prawda?

Wojownik poderwał głowę.

- Gdybym wiedział, nie wypuściłbym go stąd żywego - odparł.

- Tak też sądziłem. - Spojrzał chłodno na Mathilde. - Czyli jego postępek zachowano w tajemnicy, czy tak?

- Ojciec chciał uchronić moje dobre imię, więc postąpiłam zgodnie z jego wolą. Obawiałam się, że ludzie uwierzą Roaldowi, a nie mnie. Przecież z własnej woli poszłam do jego komnaty.

- Twój ojciec, pani, miał rację - ocenił sir Henry. - Jeśli zaś chodzi o twoją wizytę w sypialni Roalda... On potrafi być bardzo przekonujący.

- To prawda. A ja postąpiłam bardzo głupio.

- Każdy z nas czasem zachowuje się nierozsądnie, pani. Pozostaje pytanie, co teraz należy uczynić - zastanawiał się głośno Henry.

- Ty, Normanie, odjedziesz, a my będziemy walczyć - oznajmił z determinacją Cerdic.

- Odjadę? - zdziwił się sir Henry. - Nie zamierzam.

Mathilde bardzo chciała, żeby sir Henry został. Była przekonana, że bardzo by im pomógł, tyle że...

- Roald groził, panie, tobie, twojej rodzinie i przyjaciołom - przypomniawszy.

Na twarzy Henry'ego pojawił się wyraz uporu.

- Moja rodzina i przyjaciele umieją się obronić przed Roaldem, obawiam się jednak, że twoja straż, pani, znajdzie się w bardzo trudnym położeniu, jeśli nie pokieruje nią doświadczony rycerz. Potrzebujecie mnie.

- A co z tym oskarżeniem o zdradę? - spytał Cerdic.

Chociaż również Mathilde uważała Roalda za kłamcę i nie wierzyła jego słowom, to nad tą kwestią się zastanawiała.

Sir Henry machnął ręką, jakby chciał odpędzić niemądre pytania niczym natrętną muchę.

- Mój przyjaciel pochopnie wyciągnął wnioski. Już powiedziałem, że inaczej nie stałbym teraz w tym miejscu, tylko siedział w lochu albo zostałbym stracony.

- Możemy bez twojej pomocy pobić Roalda i ludzi, których wyśle przeciwko nam - oświadczył Cerdic.

- Czyżby? - spytał sir Henry, zanim Mathilde zdążyła zareagować. - Czy coś się zmieniło od czasu, gdy pani tego zamku przyjęła moją propozycję pomocy? Jesteś bardziej pewny umiejętności tych niezdyscyplinowanych ludzi, którzy stoją w sali na dole? Potrafisz odgadnąć, jak, kiedy i gdzie zaatakuje Roald? Znasz się lepiej ode mnie na technikach potrzebnych do odparcia oblężenia?

Cerdic spłonął rumieńcem.

- Przyjęliśmy pomoc sir Henry'ego i jeśli o mnie chodzi, jestem mu ogromnie wdzięczna - oświadczyła Mathilde, pewna już, że bez Normana stoją na straconej pozycji.

Cerdic wciąż spoglądał krzywo, jakby sama obecność sir Henry'ego była dla niego afrontem.

- Po mojemu nie potrzebujemy tego Normana, który nic tylko węszy wokół twojej siostry, pani - rzekł. Podszedł do sir Henry'ego i mocno go pchnął. - Trzymaj się z dala od lady Giselle.

Norman chwycił Cerdica za rękę i zdecydowanym ruchem ją odsunął.

- Nawet jeśli chciałbym ją zdobyć - odparł spokojnie - to co jest ważniejsze: to, że będę się do niej zalecał i może ją poślubię, czy to, że mogę wam pomóc pokonać Roalda?

Cerdic zaczerwienił się, ale nie zamierzał ustąpić i odparł ostrym tonem:

- Ona cię nie poślubi!

- Czyżbyś był jej ojcem lub bratem, skoro chcesz decydować o jej wyborach?

- Przestańcie! - wykrzyknęła Mathilde, zanim spór rozgorzał na dobre. - Dość mamy kłopotów bez kłótni o Giselle.

Henry natychmiast się opamiętał.

- Proszę mi wybaczyć, pani. - Wykonał dworski ukłon. - Masz całkowitą rację.

- Przepraszam, lady Mathilde - wybąkał Cerdic, chociaż na Normana wciąż patrzył wilkiem.

- Cerdicu, powiedziałaś, że przyjmujesz komendę sir Henry'ego.

Oczekuję od ciebie, że dotrzymasz danego słowa.

Znowu spurpurowiał, ale odparł:

- Tak będzie.

Może brakowało w tej odpowiedzi entuzjazmu, wystarczyła ona jednak, aby zadowolić Mathilde.

- To dobrze. Przekaż ludziom, że sir Henry odwiedzi koszary i dokona przeglądu uzbrojenia.

Henry potwierdził skinieniem głowy, a Cerdic opuścił komnatę.

Mathilde usiadła na krześle. Mając za sobą rozprawę z Roaldem i rozmowę z Cerdikiem, poczuła się bardzo wyczerpana.

- Czego jak czego, ale dumy mu nie brakuje

stwierdził sir Henry. - Żałuję, że nie umiałem wzbudzić w Roaldzie lęku. Może gdybym był bardziej postawny i miał paskudną bliznę na twarzy... - zażartował.

Ta próba poprawienia nastroju była skazana na niepowodzenie, lecz mimo to Mathilde poczuła wdzięczność.

- Myliłam się, sądząc, że można łatwo zniechęcić Roalda, liczyłam jednak...

- Liczyłaś, pani, na jego rozsądek.

- Właśnie - potwierdziła i pochwyciła spojrzenie Henry'ego.

- O co chodziło z testamentem, pani? Czy twój ojciec sporządził ich więcej?

Mathilde skinęła głową.

- Kiedyś ojciec zamierzał pozostawić Ecclesford Roaldowi, a mnie i Giselle zapisać jedynie posagi. Miałyśmy znaleźć się pod opieką prawną Roalda, jako że ojciec mu ufał, zresztą nie on jeden. Jednak kiedy Roald mnie zgwałcił, ojciec spisał nowy testament, zdecydował bowiem, że nie może zostawić ziemi ani zamku w rękach tak podłego człowieka. Wtedy już chorował, a zgrzyzota po tym, co zaszło, przyspieszyła postęp choroby, zapewniam cię jednak, panie, że był w pełni władz umysłowych wbrew temu, co twierdzi Roald. Nowy testament jest zatem całkowicie zgodny z prawem.

Mathilde podeszła do szafki stojącej pod przeciwległą ścianą. Otworzyła drewniane drzwiczki i wydobyła z niej hebanową szkatułkę inkrustowaną srebrem. Otworzyła ją małym kluczem, jednym z wielu, który nosiła na kółku przy pasku, i wyjęła zwój pergaminu.

- To właśnie jest testament ojca z jego pieczęcią. Możecie sami go przeczytać, panie, i przekonać się, że życzenia są wyrażone jasno i sensownie. Świadkiem sporządzenia tego dokumentu był ojciec Thomas. Podała testament Henry'emu, ale wtedy zawahała się, czy dobrze robi, że wypuszcza z rąk tak cenny dokument.

- Umiecie, panie, czytać?

- Tak. Sir Leonard dopilnował również tego. Przy przekazywaniu pergaminu ich dłonie na chwilę się zetknęły. Był to tylko ulotny moment, ale wystarczył, aby Mathilde p^voczwała się tak, jakby włożyła rękę w ogień. Nie odważyła się spojrzeć na sir Henry'ego, aby sprawdzić, czy zauważył jej reakcję. Tymczasem Henry rozwiązał wstążkę i rozwinął pergamin. Zdawało jej się, że mijają wieki, wreszcie jednak skończył czytać testament i oddał go w jej ręce.

- Spisano go w sierpniu - zauważył.

- Tak.

- Kiedy umarł twój ojciec, pani?

- Piątego września.

- Jak długo był chory?

- Od zeszłego roku, ale choroba nie zaszkodziła jego umysłowi.

- Wierzę ci, pani. Z pewnością Roald będzie twierdził co innego.

Mathilde odłożyła dokument do szkatułki i zaczęła wyjmować z szafki materiały piśmienne: pióro, kałamarz i zwój pergaminu. Położyła to wszystko na stole.

- Co robisz, pani? - spytał sir Henry.

- Zamierzam napisać list do biskupa. Z pewnością potwierdzi on, że nowy testament jest ważny.

Henry zmarszczył czoło, nieco zdziwiony.

- Kościół nie ma władzy nad dziedziczeniem ziemi. Taka decyzja zapada na królewskim dworze — przypomniał.

- W pełni zdaję sobie z tego sprawę. - Mathilde zasiadła do pisania. -

Mimo to Kościół dysponuje pewną władzą nad testamentami. Jeśli pozyskam opinię biskupa, że nowy testament ojca jest w świetle prawa ważniejszy od poprzedniego, to Roald będzie miał słabsze argumenty do przedstawienia na dworze. - Spojrzała na Henry'ego pytająco. - Roald wydaje się przekonany, że król poprze jego roszczenia, co bez wątpienia znaczy dla niego również to, że wygra przed sądem. Znacie, panie, królewską parę. Sądzicie, że Roald słusznie czyni, zamierzając szukać ich wsparcia?

- Uważam, że król udziela poparcia temu, kto wydaje mu się bardziej użyteczny. Roald jest spokrewniony z królową, a więc i ty, pani, również.

- W odróżnieniu od Roalda ojciec nigdy nie szukał bliskości z rodziną.

Ku jej rozczarowaniu, wyraz twarzy sir Henry'ego nie zmienił się ani na jotę.

- Niestety, obawiam się, że Roalda nie usatysfakcjonuje oczekiwanie na rozsądzenie sprawy. Przypuszczam, że zbierze zaprawionych w boju najemników i spróbuje wziąć Ecclesford siłą.

Mathilde usiłowała pokonać ogarniający ją lęk.

- Słyszałyśmy, że Roald popadł w długi. Jak mógłby opłacić żołnierzy?

- Jestem pewien, że potrafi znaleźć lichwiarzy gotowych zaryzykować i postawić na jego zwycięstwo. Może nawet królowa poprze jego roszczenie, a on po objęciu zamku spłaci długi.

Mathilde wstała z krzesła, słowa sir Henry'ego zabrzmiały bowiem bardzo przekonująco.

- On nie może zająć Ecclesford. Gdyby próbował, musimy stawić mu czoło. Będziemy walczyć i zwyciężymy!

Sir Henry mimo woli uśmiechnął się z zadowoleniem. Zapal lady Mathilde zagrażał jego panowaniu nad sobą dalece bardziej niż groźby Roalda.

- Już wcześniej sądziłem, że jesteś, pani, dzielną i zdecydowaną kobietą - powiedział. - Teraz wiem to na pewno.

- Jestem też kobietą upadłą, która nigdy nie wyjdzie za mąż. Cieszę się, panie, że zostajecie i chcecie dowodzić strażą - podkreśliła. - Nie mam pojęcia, co poczęlibyśmy bez tej pomocy.

- Och, Cerdic i twoi ludzie prawdopodobnie daliby sobie radę - zapewnił Henry, przyglądając się kamiennej płycie pod swoimi stopami. - Mogłabyś jednak, pani, stracić więcej żołnierzy, niż powinnaś.

- Miałam nadzieję uniknąć jakichkolwiek strat.
- Ufam, że żołnierze doceniają twoją troskę. Zrobię wszystko, aby byli dobrze przygotowani na atak Roalda. Nawet jeśli jeszcze dziś odjedzie do Londynu, nie ma dostatecznych wpływów, aby w ciągu jednego dnia uzyskać audiencję u króla i królowej jednocześnie. Poza tym zebranie żołnierzy, jeśli ma taki plan, również pochłonie mu sporo czasu. Mimo wszystko nie mamy chwili do stracenia. Zostawię cię teraz, pani, z twoim listem, i pójde sprawdzic, w jakim stanie są zbroje i oręż straży.

Skinęła głową i pochyliła się nad pergaminem, a on wyszedł.

Zmierzając przez dziedziniec ku koszarom, Henry wzbudził w sobie tak mocne postanowienie, jak jeszcze chyba nigdy w życiu. Roald de Sayres musi zapłacić za krzywdę, jaką wyrządził lady Mathilde, tej małej służącej i innym kobietom. Ten człowiek jest gorszy od zarazy. Dlatego należy go zniszczyć.

Przestał się dziwić strachowi okazywanemu przez lady Mathilde, gdy zostawali sam na sam. Dla niej przebywanie w jednej komnacie z mężczyzną musiało być równie nieprzyjemne jak dla niego wspomnienie lochu. Mimo wszystko w jego obecności umiała przezwyciężyć strach. Widział też, jak dzielnie stawiała czoło Roaldowi, który brutalnie ją potraktował. Nagle przystanął tknięty przykrą myślą. Gdyby po zdarzeniu ze służącą przyzwał straż i ściągnął na Roalda oskarżenie o gwałt,

Mathilde nie stałoby się nic złego. To jeszcze utwierdziło go w nowo podjętym postanowieniu.

Dotarł do budynku stajni i wbiegł po schodach do obszernego pomieszczenia na piętrze. Gdy otworzył drzwi, a ludzie zaczęli gramolić się ze swoich hamaków, wsparł się pod boki i krzyknął:

- Dalej, ospałe kundle! Koniec lenistwa! Teraz ja dowodzę, a wy jeszcze tego pożałujecie!

Rozdział ósmy

- Ile wozów jeszcze będzie? - spytała Mathilde tydzień później, zwracając się do syna karczmarki, który wyładowywał beczki piwa i przenosił je do spiżarni.

Wokół nich krzątali się wieśniacy i służba. Na wypadek oblężenia przetransportowywali tobołki i kosze z zapasami żywności, drewniane skrzynie z ubraniami i sprzęty domowe. Raz po raz wybuchała zażarta dyskusja, a nad ich głowami patrole straży pilnie obserwowały okolicę z murów. Broń żołnierzy była świeżo skuta i ostra, zbroje wyczyszczone i naprawione, a ich czujność znacznie się wzmożła.

- Dwa, pani - odrzekł Balwyn. - Mama mówi, że to prawie wszystko. Ojciec chce zatrzymać niewielki zapas w szynku na wypadek, gdyby sir Roald jednak nie przyjechał. Dla niego brak piwa byłby tragedią. Mathilde skinęła głową.

- Zgoda, pod warunkiem, że nie będzie żałował, jeśli je straci w razie przyjazdu Roalda.

- Naturalnie, pani. - Balwyn zerknął na nią kątem oka z wyraźnym zaciekawieniem.

Takie spojrzenia ściagały ją bardzo często w ciągu ostatnich dwóch tygodni, odkąd Roald publicznie wyjawiał jej hańbę. Jak zwykle zignorowała ten wyraz zaciekawienia.

- Kiedy usłyszycie kościelny dzwon bijący na alarm, musicie jak najszybciej ukryć się na zamku - powiedziała.

- Tak będzie, pani.

- To dobrze. - Zerknęła przez ramię na młynarza, który stał pośrodku dziedzińca, krzycząc coś

o wysypanej mące.

Mathilde spędziła wiele godzin w zamkowych piwnicach, usiłując znaleźć jak najwięcej miejsca na zapasy żywności, piwa, wina i karmy dla zwierząt. Służbie nakazała wysprzątać wszystkie kąty, w których można zakwaterować ludzi, ze stajniami włącznie. Mężczyźni zbierali głązy i składowali je na zamkowych murach, aby mieć czym odstraszać wrogów, gdyby próbowali się wspinać na obwałowania. Kowal wykonał wielkie żelazne gary i trójnogi, również ustawione teraz na murach. Dzięki temu można było zagotować wodę lub rozgrzać smołę do wylewania na napastników. Kowal ze wsi i zamkowy zbrojmistrz naprawiali i ostrzyli broń i wykuwali nowe miecze.

Wiedziała, że nie zapomni twarzy sir Henry'ego,

któremu towarzyszyła w pierwszych oględzinach zbrojowni. Na zgromadzony tam oręż popatrzył z głęboką odrazą. Kiedy jednak wspomniała, że broń jest w złym stanie, tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Ważniejsze, żeby ludzie byli lojalni. Ostatnio odzywał się do niej właśnie w ten sposób: szorstko i zwięźle. Rzadko się też uśmiechał. Czego się jednak miała spodziewać?

- Pani!

Ze smutnych rozmyślań wyrwał ją głos ojca Thomasa. Duchowny spieszył ku niej z zatroskaną miną.

- Biskup Christophus nadjeżdża. Jest już we wsi, razem ze swymi akolitami.

- Czy to możliwe, żeby biskup podjął decyzję?

- Nie sądzę. Może przyjeżdża wypytać cię, pani, o ojca i testament?

Położyła rękę na ramieniu duchownego.

- Mam nadzieję, że właśnie taka jest przyczyna. Biskup usłyszy wtedy, że wszystko odbyło się w zgodzie z prawem.

- Nie znasz jeszcze naszego biskupa, pani, prawda? - spytał ojciec Thomas, a ton jego głosu wzbudził w niej lęk.

Nie mogła jednak publicznie okazać strachu. Zbyt wielu ludzi ją tutaj widziało.

- Przejdź, ojcze, do wielkiej sali. Ja znajdę Giselle i przygotujemy się na powitanie gościa.

Ruszyła na poszukiwanie siostry. Zamierzała też zmienić suknię na bardziej stosowną do przyjmowania tak godnej osoby. Wolałaby, aby był na miejscu sir Henry, on jednak wraz z Cerdikiem zabrali ludzi na ćwiczenia w lesie. Szkoda, bo ich obecność podczas rozmowy z człowiekiem, który mógł zdecydować o ich losie, była niezwykle ważna. W tej sytuacji jednak to ona i Giselle musiały powitać biskupa, bo przecież nie mogły pozwolić, aby dostojny gość czekał.

Niestety, ani w wielkiej sali, ani w kuchni, ani we wspólnej sypialni nie udało jej się znaleźć Giselle. Pytała o nią wszystkich służących, ale nikt niczego nie wiedział. Zanim zdołała wpaść na właściwy trop, wielkie zamieszanie na dziedzińcu dało jej znać, że biskup przyjechał.

Mathilde zmeła przekleństwo pod nosem i popatrzyła na swoją pospolitą granatową suknię. Gdzie podziała się Giselle? To zawsze ona witała przybywających do nich rycerzy i duchownych. To ona była pięknie ubrana, a przy tym skromna i gościnna. Nie było czasu, aby się przebrać, więc Mathilde schowała pod płócienną chustę zabłąkany kosmyk, otrzepała spódnicę i pospieszyła na dwór. Po drodze poleciała Faidze przynieść do wielkiej sali wino dla gości, a potem zająć się przygotowaniem komnat.

Dwór biskupa okazał się nadspodziewanie liczny i dobrze uzbrojony.

Wysoki, pełen godności duchowny nosił świadczący o jego randze purpurowy płaszcz i purpurową piuskę na siwej głowie. Spod płaszcza widać było czarną, purpurowo przepasaną szatę, okrywającą okazały

brzuch. Klejnoty, którymi inkrustowany był pektorał, połyskiwały w słońcu.

Biskupowi towarzyszyło kilku skromniej odzianych księży, a także żołnierze w dobranych kolorystycznie tunikach, uzbrojeni w miecze i lance. Za nimi jechał tabor. Wyglądało na to, że na wozach znajduje się zapas żywności i wina, który wystarczyłby dla niewielkiej armii. Biskup bez wątpienia lubił żyć wygodnie i nie zamierzał ryzykować, gdyby natrafił na pana o zbyt skromnych, jak na jego potrzeby, zasobach.

Ojciec Mathilde nie utrzymywał kontaktów ani z wyższym duchowieństwem, ani z wielkimi panami. Przyglądając się kosztownemu strojowi gościa i klejnotom w pektórale, Mathilde pomyślała, że ojciec słusznie postępował. Czyż sam Chrystus nie powiedział, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wstąpić do królestwa niebieskiego? Czy prawda ta nie rozciągała się na boże sługi na ziemi? Bez względu na to, jak oceniała biskupa Christophusa, musiała się zachować uprzejmie i tak, jak przystoi kobiecie. Godnym krokiem ruszyła więc na powitanie gościa, dawszy znak ojcu Thomasowi, aby jej towarzyszył.

- Ekscelencjo - odezwała się, nisko skłaniając głowę - witamy w Ecclesford. Jestem lady Mathilde, a to ojciec Thomas.

Biskup zdjął rękawiczki i wysunął dłoń z pierścieniem, na którym Mathilde skrupulatnie złożyła pocałunek. Czuła na sobie taksujące spojrzenie, starała się więc nie zdradzać żadnych uczuć, ani wstydu, ani złości, ani lęku.

- Bóg z tobą, pani - zaintonował dźwięcznym, miękkim jak gronostajowe futro głosem biskup i nieco się cofnął.

- Przygotowałam w wielkiej sali posiłek - powiedziała. - Proszę za mną.

- Z przyjemnością.

Mathilde ruszyła pierwsza. Niewątpliwie biskup zauważył już, że dzieje się coś niezwykłego, świadczyło bowiem o tym zamieszanie na dziedzińcu i zapasy, które gromadzono także w wielkiej sali. Omiótłszy wzrokiem dziedziniec, zabudowania, mury i krzątającą się służbę, biskup podążył nieco wolniej za Mathilde, a jego śladem udali się towarzyszący mu księża.

Na podwyższeniu biskup bez wahania zajął miejsce jej ojca, niewątpliwie przyzwyczajony do wyrazów szacunku i uniżoności. Reszcie księży służba szybko podsuwała stołki. Ojciec Thomas stał w pewnym oddaleniu po lewej stronie podwyższenia, natomiast Mathilde na życzenie biskupa zajęła drugie krzesło, naprzeciwko niego. Kątem oka dostrzegła uśmiech, którym ojciec Thomas dodawał jej otuchy i który wnet został zgaszony surowym spojrzeniem ekscelencji.

Faiga, wyjątkowo powściągliwa, przyniosła na tacy srebrny puchar dla biskupa, drugi dla swej pani i kilka innych naczyń dla księży i ojca Thomasa.

Biskup uniósł puchar z uśmiechem władcy.

- Dziękuję, moje dziecko - zwrócił się do Faigi i pogłaskał ją po głowie w sposób, który bardziej przypominał pieszczotę niż błogosławieństwo. Dziewczyna musiała odnieść podobne wrażenie, bo na jej twarzy odmalowało się głębokie zdumienie, zaraz jednak spuściła wzrok i uciekła z podwyższenia.

Wypiwszy kilka łyków wina, biskup Christo-phus odstawił puchar na stół, splótł pulchne palce i znad ich czubków spojrzął na Mathilde.

- Z żalem, moje dziecko, z głębokim żałera dowiadujemy się, że doszło do sporu o ten majątek między tobą a twoim kuzynem.

- Jeśli jest spór, ekscelencjo - odparła uprzejmie, lecz stanowczo - to jedynie za sprawą Roalda. Mój ojciec jasno wyraził w testamencie swoją wolę co do dalszych losów majątku, o czym ekscelencja z pewnością wie, mógł bowiem zapoznać się z przesłaną mu kopią dokumentu.

Biskup przytknął palec wskazujący do warg. W blasku świec załśnił złoty pierścień ozdobiony olbrzymim rubinem.

- Twój kuzyn nie podważa autentyczności tego dokumentu. Jednakże nie ulega dla niego wątpliwości, że twój ojciec, dziecko, był zbyt chory wtedy, kiedy go sporządzał, aby testament można było uznać za zgodny z prawem.

Skąd biskup mógł znać opinię Roalda?

- Czy ekscelencja dostał od mojego kuzyna list na temat naszego sporu?

- Kuzyn osobiście przyjechał do opactwa i przedstawił mi swoje stanowisko.

Mathilde przeklęła w duchu swój brak umiejętności przewidywania. Powinna była napisać do biskupa wcześniej. Roald był złym człowiekiem, ale nie głupim.

- On może tak uważać, eksceleńco, ale obecny tu ojciec Thomas zaświadczy, że gdy ojciec zmieniał testament, jego umysł był jasny jak zawsze.

Biskup przeniósł wzrok na duchownego.

- Sir Roald powiedział nam również, że ojciec Thomas jest bardzo oddany twojej rodzinie.

Temu nie sposób było zaprzeczyć, Mathilde nie miała zresztą takiego zamiaru.

- Zawsze okazywał nam wiele życzliwości i był dla nas prawdziwym przyjacielem, eksceleńco, jest jednak człowiekiem honoru i sługą bożym, więc nie ma zwyczaju kłamać.

- Naturalnie - przyznał bez wahania biskup. - Ojciec Thomas jest nadzwyczajnym pasterzem swoich owiec, a dobrocią serca niemal grzeszy.

- Ojciec Thomas nie popiera nas z dobroci serca - odparła Mathilde, zapominając na chwilę, że mówi do biskupa, a ojciec Thomas stoi obok. - Robi to, ponieważ służy prawdzie.

Biskup zmarszczył siwe brwi.

- Proszę mi wybaczyć - szybko zreflektowała się Mathilde. - Nie chciałabym jednak, aby eksceleńca sądził, że ojciec Thomas, pomagając przyjaciołom, szanuje prawdę mniej niż zwykle.

- Jeśli nawet tak jest, bez wątpienia został

sprowadzony z właściwej drogi przez uczucie lojalności - odparł biskup, ponownie przybierając pogodny wyraz twarzy.

Mathilde zrozumiała, że popełniła niewybaczalny błąd. Dostojnik Kościoła oczekiwał hołdów i pokory. Biskup spochmurniał, a jego głos stracił dotychczasową słodycz.

- Twój kuzyn, pani, mówił też o innych sprawach, które wstrząsnęły mną do głębi. Zgrozą przejmuję mnie myśl, że szlachetnie urodzona dama mogła tak postąpić.

Mathilde zacisnęła dłonie na spódnicy, starając się zachować opanowanie. Powinna była przewidzieć, że to, co zaszło między nimi, Roald przypisze jej rozwiązłej naturze. Czy biskup musiał o tym mówić publicznie, w obecności akolitów?

- On też nie jest bez winy. Zapewniał mnie czule o swojej miłości, a ja mu zaufałam. Poszłam do niego, wierząc, że zaproponuje mi małżeństwo, a kiedy błagałam go, aby przestał, odmówił i nie puścił mnie, póki nie zaspokoił swojej żądzy.

Biskup Christophus popatrzył na nią z nieukrywaną pogardą.

- Może oszukasz w ten sposób, pani, takiego człowieka jak ojciec Thomas, ale ja pamiętam, że jesteś kobietą, istotą cielesną, tak samo jak Ewa. Grzesznicą jak Magdalena i mimo braku urody - kusicielką jak Salome. Roald pokornie wyznał swój występki, błagając o rozgrzeszenie. Natomiast ty, dumna, rozpustna kobieta, masz czelność obciążać swoim grzechem kogo innego.

Mathilde poczuła wzbierający gniew. Usiłując go stłumić, poruszyła się gwałtownie i przewróciła puchar. Faiga podbiegła natychmiast, aby go podnieść, a wino wsączało się między łądyżki sitowia, którymi była zasłana podłoga. Dzięki temu Mathilde zyskała nieco na czasie i po chwili odezwała się już spokojniej:

- Wiem, że nie jestem bez winy. Przyznaję się do błędu, jaki popełniłam, idąc do Roalda. Wyznałam wszystkie grzechy ojcu Thomasowi i odbyłam pokutę.

Biskup przybrał zboląłą minę.

- Nie wydajesz się skruszona.

Czy właśnie to było dla niego najważniejsze? A co z przestępstwem popełnionym przez Roalda? Najwyraźniej nie mogła liczyć na współczucie i zrozumienie tego człowieka, przestała więc tłumaczyć, co wtedy zaszło.

- Błagałam i nadal błagam Boga o wybaczenie i łaskę. Teraz błagam również ekscelencję, aby ten grzech, którego jestem winna, nie przesłonił oczu ekscelencji, jeśli bowiem zapadnie wyrok przeciwko nam, nie tylko ja ucierpię z rąk Roalda. On nie będzie tutaj dobrym i wielkodusznym panem.

- Chcesz powiedzieć, pani, że jesteś również splamiona przekleństwem nienaturalnej umiejętności czytania czasu przyszłego?

Coraz gorzej! Jeszcze chwila i biskup oskarży ją o czary!

- Z pewnością nie, ekscelencjo. To są jedynie moje obawy.

- Roald jest wśród twoich krewnych jedynym mężczyzną. W bożym planie było, aby kobiety okazywały posłuszeństwo mężczyznom. Czy to również kwestionujesz?

Mathilde powiedziała sobie, że musi być rozważna i zachować ostrożność.

- Czy nie jest też obowiązkiem dziecka posłuszeństwo wobec rodziców? Czy wobec tego powinnam zaniechać walki o to, czego życzył sobie mój ojciec, i poddać się żądaniom innego człowieka? Mam ustąpić kuzynowi i przez to sprzeniewierzyć się woli ojca?

Biskup Christophus splótł dłonie i przyglądał jej się w milczeniu.

Cierpliwie czekała, aż się odezwie, i po chwili rzeczywiście to zrobił:

- Twój kuzyn utrzymuje, że został okradziony z należnego mu spadku.

Twierdzi też, że postępujesz tak, pani, powodowana złością i chęcią zemsty, a on jest ofiarą pamiętliwości rozpustnej kobiety. Oskarżyłaś go, pani, o wyjątkowo ohydny czyn, mimo że jak przyznajesz, sama poszłaś do jego komnaty i nie wniosłaś przeciwko niemu oskarżenia przed sądem królewskim. Rzekłbym zresztą, że tu akurat wykazałaś się rozwagą, wątpię bowiem, czy jest w tym kraju sąd, który potępiłby twojego kuzyna, skoro bezwstydnie przyznajesz, że dobrowolnie poszłaś do jego sypialni.

Bezwstydnie? Czyżby temu człowiekowi się wydawało, że jest pozbawiona wstydu?

- Zapewniam, ekscelencjo, że wstydzę się tego, co zrobiłam. Nie ma dnia, żebym tego nie żałowała, nie ma takiej godziny ani nawet minuty. Będę

tego żałować i wstydzić się do końca życia. Jednak chociaż sama poszłam do jego komnaty, zaprzeczam, że oddałam mu się z własnej woli. Nie oskarżyliśmy go publicznie, ponieważ mój ojciec miał nadzieję zachować moją hańbę w tajemnicy.

- Grzechy ciała zawsze w końcu wychodzą na jaw - oznajmił zasadniczym tonem biskup. - Między innymi w ten sposób Bóg karze grzeszników i dostarcza nam przykładów upadku.

Przemawiał tak, jakby sam był doskonały. Sądząc jednak po pasie i po nieskazitelnej sutannie, grzeszył przynajmniej obżarstwem i próżnością. Również co do jego pychy Mathilde nie miała wątpliwości.

- To jeszcze nie wszystko, co powiedział mi twój kuzyn, pani - ciągnął biskup. - O ile wiem, jest tutaj rycerz, którego reputacja może zaszkodzić opinii twojej drogiej siostry, pani.

A więc tym razem nie chodzi o nią. Z drugiej strony, w oczach duchownego i tak była niewiele lepsza niż Jezebel.

- Ten człowiek, którego Roald potępia, po rycersku udzielił nam pomocy, gdy o nią poprosiliśmy. Objął dowodzenie nad naszą strażą, ponieważ poprzedni dowódca opuścił nas po śmierci mojego ojca.

Biskup zmarszczył czoło.

- Nie taki powód jego obecności podał mi twój kuzyn.

- Roald i sir Henry pałają do siebie wielką

niechęcią, ekscelencjo. O ile wiem, dawno temu pokłócili się o kobietę. - Mathilde nie zamierzała wdawać się w szczegóły.

- Nie godzi się, aby młody rycerz przebywał na zamku, kiedy nie ma tu krewnych, którzy roztoczyliby opiekę nad wami.

- Przyznaję, że mój honor został splamiony -odparła sztywno. - Błagam jednak ekscelencję, aby nie oczerniać bez powodu mojej siostry ani sir Henry'ego.

Biskupowi poczerwieniała twarz.

- To bez wątpienia zrozumiałe, pani, że twój kuzyn jest bardzo wzburzony powstałą sytuacją i waszym sporem. Przejął się tym tak bardzo, że prosił, abyśmy się za niego modlili i w pokornej wdzięczności za to obiecał nam wznieść nowy kapitularz, jak przystoi przykładnemu synowi Kościoła.

Tacy ludzie zasługują na przebaczenie i nasze wsparcie, szukają bowiem świętego bożego przewodnictwa.

Ton ekscelencji wskazywał, że nie wszystko można powiedzieć wprost.

Mathilde nie miała najmniejszych wątpliwości, że Roald obiecał nie tylko kapitularz, jeśli biskup uzna testament jej ojca za nieważny. Datek musiał mieć charakter bardziej osobisty, może klejnoty albo złoto. Roald przechytrzył ją tym grubymi nićmi szytym przekupstwem, ale skoro on mógł szukać wpływów tą metodą, to nie pozostawało jej nic innego, jak dostosować się do sytuacji.

- Kapitularz to bardzo dobry pomysł, akurat na miarę pana na Ecclesford - przyznała. - My również planujemy uczcić pamięć ojca złożeniem datku na Kościół naturalnie pod warunkiem, że drugi testament zostanie uznany za ważny. Inaczej wszystko przejdzie w ręce Roalda. - Zmarszczyła

czoło, jakby nagle przyszło jej do głowy coś trudnego do zrozumienia. - W jaki sposób jednak kuzyn Roald może obiecywać jakiegokolwiek datki, skoro ma niespłacone długi, i to wcale niemałe?

Wzmianka o długach Roalda nie wywarła wielkiego wrażenia na biskupie. Zapewne słyszał już o jego finansowych kłopotach i też zadawał sobie to samo pytanie. W każdym razie na to liczyła Mathilde. Biskup wciąż bacznie ją obserwował, stukając nogą o podłogę.

- Powiedz mi, moje dziecko, czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad możliwością wstąpienia do klasztoru, aby okazać skruchę i oczyścić się w oczach Boga?

Nie spodziewała się tego pytania, cała sztuka polegała jednak na tym, aby nadażyć za tokiem myślenia duchownego. Gdyby rzeczywiście wybrała służbę Chrystusowi, jej spadek przeszedłby na Kościół. Biskup zapewne już wyobrażał sobie, jak wielką miałby zasługę, gdyby mógł twierdzić, że przekonał zamożną, lecz upadłą kobietę, aby wyraziła żal za grzechy i poświęciła życie Bogu.

Niestety, ekscelencję czekało rozczarowanie. Mathilde zdecydowanie wolała przez resztę swoich dni być starą panną, niż poddać się rygorom klasztornym. Chciała zachować kontakt ze świa-

tem, a nie przed nim uciekać. Prawdę mówiąc, sądziła, że Bóg poparłby ją w tym rozumowaniu i nie utrudniałby jej skromnego, cichego życia. Drzwi do wielkiej sali otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł sir Henry. Kierował się prosto ku podwyższeniu, a schowany w pochwie miecz przy każdym kroku obijał mu się o muskularne udo. Akolici biskupa wlepili w niego wzrok tak, jakby nigdy dotąd nie widzieli wojownika. Sir Henry zapewne galopował do zamku na złamanie karku, włosy miał bowiem potargane, a odzienie i buty upačkane błotem.

- Czy właśnie to jest rycerz, o którym wspominał twój kuzyn, pani? - spytał biskup, nie kryjąc dezaprobaty.

Niewątpliwie znał i nie lubił sir Henry'ego. Mathilde naszło przygnębiające poczucie, że Eccles-ford wyslizgnęło jej się z ręki w chwili, gdy Henry przestąpił próg. Próbowwała ratować sytuację, a przynajmniej jej nie pogarszać, udając, że nie dostrzega wrogości duchownego.

- Tak. To właśnie sir Henry D'Alton. Jego brat jest wielkim panem w Szkocji, a siostra...

- Mój krzepki ekscelencja, co za niespodzianka! - przerwał jej Henry, przystanął i z kpiącym uśmiechem wykonał głęboki ukłon. - Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek zobaczymy się w Anglii. Byłem pewien, że ambicje waszej ekscelencji sięgają Rzymu.

Biskup spašowiał.

- A ja sądziłem, że twoje obyczaje zaprowadzą cię prosto do lochu albo i na cmentarz.

- A jednak tu jesteśmy i okazuje się, że obaj w błędzie - odrzekł przyjaźnie sir Henry i usiadł na krześle stojącym nieco z boku. Mimo jego tonu i zachowania Mathilde widziała w jego oczach ślady autentycznej wrogości. Zastanowiło ją, skąd się wzięła. Może Henry był światowym człowiekiem, który żył przyjemnie i bez ograniczeń, nie troszcząc się o przyszłość, podczas gdy duchowny musi, a przynajmniej powinien, wykazywać więcej umiaru, dawać przykład i myśleć o nieśmiertelnej duszy. Miała nadzieję, że właśnie taka jest przyczyna konfliktu, a nie chodzi o nic, co skłoniłoby Christophusa do poparcia żądań Roalda.

- Nie wiedziałam, panie, że znacie biskupa Christophusa - zwróciła się do sir Henry'ego, chcąc dać do zrozumienia, że nie zdawała sobie sprawy z ich ewentualnego konfliktu.

- Nie nazwałbym nas znajomymi - wyjaśnił sir Henry, biorąc puchar z tacy, którą podsunęła mu Faiga. - Lepiej znałem jego syna.

Jego syna? Mathilde próbowała się oswoić z tym dość bulwersującym oświadczeniem. Zakłopotanie duchownego wyraźnie się powiększyło. Księża ukradkiem wymienili spojrzenia, w których odbijało się zgorzzenie, lecz zarazem satysfakcja, że ktoś otwarcie mówi o tym, o czym każdy z nich wiedział, lecz żaden nie odważył się wspomnieć.

- Sir Roald słusznie kwestionował pobudki tego człowieka - oświadczył biskup.

Sir Henry chłodno otaksował wzrokiem wściekłego duchownego i odstawił puchar.

- Podejrzewam, że wasze pobudki, aby tu przybyć, ekscelencjo, nie są całkiem altruistyczne.

Ignorując go, biskup zwrócił się do Mathilde:

- Radzę, pani, abyś niezwłocznie nakazała temu mężczyźnie opuścić zamek. Jest to wyjątkowo pospolity człowiek i nie nadaje się na towarzysza dla dam pozbawionych opiekuna. - 2 godnością wstał i oznajmił: - Niezwłocznie udajemy się w drogę powrotną do opactwa. Żegnamy, pani.

To była prawdziwa klęska! Jeśli biskup uzna, że jej ojciec był zbyt chory, aby rozumieć, co czyni, kiedy sporządzał nowy testament, roszczenia Roalda do Ecclesford zyskają na mocy, a one... cóż, ich stanowisko przestanie być wiarygodne. Mathilde zerwała się z miejsca, chcąc usilnie prosić biskupa, aby jednak nie wyjeżdżał, ale zanim zdążyła otworzyć usta, sir Henry chłodno stwierdził:

- Jeśli ekscelencja tak bardzo troszczy się o bezpieczeństwo i honor tych dam, to bez wątpienia powinien pozostać.

Jedyną odpowiedzią duchownego było pogardliwe parsknięcie. Szedł prosto do drzwi, a za nim zbierali się jego akolici.

Mathilde ruszyła za nim.

- Niech idzie, pani - doradził jej ze swego miejsca na podwyższeniu Henry. - Kiedy trochę ochłonie, uświadomi sobie, że w jego interesie jest trzymać z tobą, a nie z Roaldem. Jeśli ty, pani, i twoja siostra odziedziczycie spadek i wyjdziecie za mąż, będzie miał dwóch potężnych sojuszników zamiast jednego. Proszę mi wierzyć, że Christophus mierzy wszystko miarą własnej korzyści.

Mathilde zawahała się. a tymczasem ostatni księża opuścili wielką salę i drzwi za nimi zamknęły się z łomotem. Zabrzmiało to jak huk zatrzas-
kującej się celi, ostateczny i potępiający. Gdy podeszła do okna, biskup
siedział już na koniu, wymyślając w bardzo niewybredny sposób masz-
talerzom i chłopcom stajennym, co wskazywało, że jest stanowczo
zanadto wzburzony, aby dawać posłuch rozumowi. Zaraz potem ruszył ku
bramie. Z westchnieniem odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z ojcem
Thomasem.

- Nie popadaj w rozpacz, pani - powiedział duchowny. - Bóg wynagradza
sprawiedliwych. Poza tym sir Henry ma rację, że kiedy biskup odda się
modlitwie i medytacji, odzyska spokój i z pewnością zacznie rozumować
bardziej roztropnie.

Mathilde szczerze wątpiła, czy biskup Christophus poświęca wiele czasu
medytacji i modlitwie, nie mówiąc o roztroprym rozumowaniu.

- W każdym razie będę się modlił, aby tak się stało - dodał ojciec Thomas,
zdradzając w ten sposób własne obawy.

- Miejmy nadzieję, ojczy - odrzekła i uśmiechnęła się, bo przecież starał
się ją pokrzepić. - Czy zechcecie zjeść z nami wieczerzę?

- Bóg zapłać za to zaproszenie, ale nie. Stary Evans zbliża się do końca
swych dni na ziemi, a obiecałem, że będę przy nim czuwał dziś w nocy.

- Naturalnie, ojczy. Przekażcie mu, że i ja będę się za niego modlić, chociaż jestem pewna, że dla tak poczciwego i życzliwego człowieka miejsce w niebie jest już przygotowane.

Ojciec Thomas uśmiechnął się.

- Obiecuję, że wszystko mu powtórzę. Z pewnością ucieszy się z tego wyrazu wsparcia. Bóg z tobą, pani.

- I z wami, ojczy - odpowiedziała, otwierając mu drzwi.

Wspomnienie o Evansie na chwilę oderwało jej myśli od biskupa i bieżących kłopotów, ale kiedy odwróciła się i zobaczyła sir Henry'ego wciąż siedzącego na podwyższeniu, jakby to on był tutaj panem, strapienie powróciło ze wzmożoną siłą.

- Dlaczego nie ostrzeżliście mnie, panie, że znacie biskupa i że jesteście wrogami? - spytała, dziarsko zbliżając się do podwyższenia.

Wstał i dał jej znak, aby usiadła, wciąż zachowując się tak, jakby zamek należał do niego. Mathilde chciała jednak usłyszeć odpowiedź, więc postanowiła nie czynić z tego problemu i istotnie zajęła miejsce na najbliższym krześle.

- Nie mówiłem ci, pani, że znam Christophusa - odparł z irytującym spokojem - ponieważ wprawdzie powiedziałaś, że piszesz do biskupa, ale nie wspomniałaś jego imienia. Jeśli zaś chodzi o tego aroganckiego typa, naprawdę nie sądziłem, że jeszcze przebywa w Anglii, a tym bardziej w Kencie, i może mieć coś wspólnego ze sporem, który prowadzisz z Roaldem.

143

- Nie wspomniałam imienia biskupa? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie.

Wobec tego rzeczywiście nie mogła mieć do niego pretensji.

- Szkoda.

- Ja też żałuję - przyznał Henry. - Gdybym wiedział, że to on jest dostojnikiem, do którego piszesz, pani, zostałbym ze swoimi ludźmi i nie wtargnął do wielkiej sali, słysząc o jego przybyciu. Chciałem ci pomóc, pani, a nie pogorszyć sytuację. Czy on domagał się łapówki?

- Nie wprost, ale tak. Roald najwyraźniej coś mu obiecał. - Pokręciła głową. - To okropne, żeby przekupywać duchownego.

- Nie wszyscy są tacy świątobliwi jak twój ojciec Thomas, pani.

Christophus ma wielkie apetyty pod wieloma względami. Najbardziej ambitni słudzy Kościoła utrzymują istnienie swojego potomstwa w sekrecie. Ku jego utrapieniu syn wdał się w niego tak bardzo, że chełpi się, jak ważnego ma ojca.

- Poznaliście, panie, jego syna? Henry uśmiechnął się pogardliwie.

- Ojciec przysłał go do sir Leonarda. James nie lubił wypełniać poleceń, aby ująć to oględnie. Narzekał rano, w południe i wieczorem. Był chełpliwy, a gdy na czymś mu zależało, nie cofał się przed wymuszaniem. Któregoś dnia uznałem, że mam dosyć, słuchając, jak docina Merrickowi, i go uderzyłem. - Szyderczy uśmiech objął całą

twarz sir Henry'ego. - Nic mu się nie stało, tyle że puściłem mu krew z nosa, ale zareagował tak, jakbym mu ten nos odciął. Tydzień później przyjechał Christophus. Chyba chciał, żeby sir Leonard odesłał mnie w niesławie do domu, zupełnie jakbym miał dokąd zostać odesłany. Pierwszy raz sir Henry wspomniał o swoim dzieciństwie, jeśli nie liczyć opowieści o ćwiczeniach u sir Leonarda, Wyglądało jednak na to, że wiele z tych wspomnień było przykrych, takich, jakie niechętnie .-wyciąga się na światło dzienne.

- Nie wiem, co mu powiedział sir Leonard -ciągnął Henry, nieświadom współczucia Mathilde. - W każdym razie biskup wyszedł błady jak owcze runo, zabrał Jamesa i więcej się nie pokazał. Nikt zresztą tego nie żałował.

- I on potępił mnie za grzeszność - zauważyła z obrzydzeniem.

- Cokolwiek ci powiedział, pani, najlepiej od razu wyrzucić to z pamięci. Ten człowiek jest chciwy i podły.

Doceniała troskę Henry'ego, ale słów biskupa nie była w stanie zapomnieć. Pierwszy raz ktoś powiedział jej w twarz to, co zapewne wielu szeptało za plecami: Sir Henry delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę, nie pozwól, pani, aby ten człowiek cię wzburzył. To głupiec i słabeusz. Pogardzają nim nawet jego akolici. Jesteś silna i mądra, słusznie więc twoi ludzie darzą cię szacunkiem.

Podobała jej się jego męska twarz i pełne, zmysłowe usta, na których zatrzymała wzrok. Powinna była odesłać sir Henry'ego z Ecclesford, bo

gdyby w tej chwili nie znajdowali się w wielkiej sali, lecz gdzieś na osobności, nie sposób byłoby przewidzieć, do czego mogłaby się posunąć. Chciała zatrzymać go przynajmniej jeszcze przez chwilę w pobliżu.

- Jak idą ćwiczenia wojskowe? Czy jesteście, panie, zadowoleni z postępów żołnierzy?

Z ulgą przyjęła to, że sir Henry cofnął rękę.

- Muszę przyznać, że szybko się uczą - stwierdził. - Niektórzy, co prawda, są dość uparci i lubią się popisywać.

- A Cerdic? Słucha waszych rozkazów, panie?

- Bez zastrzeżeń. Chce się jak najwięcej nauczyć, a jego ludzie bez wątpienia biorą go za przykład, bo bardzo go szanują. Aczkolwiek do sprawności we władaniu lancą wiele Cerdicowi brakuje. Dzisiaj bardzo się potłukł. Obawiałem się nawet, że złamał nogę, ale ani się obejrzałem, a już próbował kuśtykać. Odesłałem go jednak do twojej siostry, pani, aby upewniła się, czy noga jest tylko skręcona i nie stało się nic gorszego.

Widocznie dlatego nie mogłam znaleźć Giselle, pomyślała Mathilde.

Zapewne w koszarach zajmowała się Cerdikiem. Henry pochylił się nad nią. Jego twarz była teraz prawie tak blisko jak wtedy, gdy ją pocałował.

- Czy mogę wystąpić z prośbą, pani?

Szybkie spojrzenie przekonało ją, że sir Henry wpatruje się w jej szyję.

- Naturalnie - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał całkiem obojętnie.

- Uważam, pani, że w ciągu najbliższych dni powinnaś nagrodzić swoich ludzi za pilną naukę nowych umiejętności, a także wieśniaków. Tych na wypadek gdyby miały przyjść dla nich ciężkie czasy. Karczmarz przysłał już do zamku duże zapasy piwa, myślę, że starczyłoby go na trzy miesiące obłożenia, a nawet więcej. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Dowiadywałem się o to.

Nie sposób było oprzeć się takiemu uśmiechowi, chociaż to nie sir Henry miał zapłacić za piwo.

- To bardzo dobry pomysł. Powinnaś sama o tym pomyśleć.

-Zrobiło jej się nieco lżej na duszy. - Sądzicie więc, panie, że Roald w najbliższych dniach nie zaatakuje?

- Nie można tego wykluczyć. Jeśli jednak nie nadjedzie, taka uczta na pewno bardzo podniesie wszystkich na duchu.

- A więc zgoda - zdecydowała, wstając. - Siostra i ja poczęstujemy ludzi piwem od dziś za trzy dni.

Sir Henry również wstał i złożył na jej dłoni dworny pocałunek.

- Dobrze mieć taką wielkoduszną panią. Pójdę teraz ogłosić ten zamiar.

Patrzyła, jak odchodzi szybkim, sprężystym krokiem. Nawet gdyby tó, co czuła w jego obecności, nie było całkiem niestosowne, to musiała przecież pamiętać, że któregoś dnia sir Henry tym samym sprężystym krokiem opuści Ecclesford na zawsze. Jedyne powód, który mógł go tu zatrzymać, to starania o rękę Giselle. Przyglądać się temu byłoby jej jednak jeszcze trudniej, niż ostatni raz odprowadzać go wzrokiem.

Rozdział dziewiąty

Trzy dni później, w chłodne październikowe popołudnie Henry poklepał muskularny kark Apolla, wyćwiczonego do udziału w walce rumaka, usiłując uciszyć jego niepokój. Czekali na swoją kolej. Konkurencja polegała na zdjęciu końcem lancy żelaznego pierścienia, zawieszzonego na cienkiej linie między słupami na końcu pola.

Cerdic właśnie próbował po raz ostatni, jego koń galopował już w kierunku celu, a lanca nieco zanadto się kołysała. Również jeździec wydawał się zbyt mocno pochylony do przodu, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Henry, przyglądając się okiem nauczyciela. Przez cały czas uważał, aby nie kierować wzroku ku widzom, a zwłaszcza ku Mathilde.

Coraz trudniej było mu nie zwracać na nią uwagi, i to nie tylko tego dnia. Mieszkając w Ecclesford, nabrał niemało podziwu dla jej siły, odporności i zdecydowania, a także umiejętności samodzielnego zorganizowania i prowadzenia dużego gospodarstwa domowego. Szanował też jej troskę o podległych jej ludzi, aż po najskromniejszego kuchcika. Ujmujące były jej szczodrość i dobroć, a zwłaszcza umiejętność rozmawiania z wszystkimi bez względu na stan ich sakiewki.

Największe wrażenie robiła jednak na nim jej odwaga i determinacja. Ile kobiet znalazłoby tyle siły, aby stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który wcześniej postąpił wobec nich haniebnie, i domagało się respektowania swoich praw? Jak mógłby myśleć, że nie jest godna najwyższego uznania?

W porównaniu z nią czuł się utracjuszem i lekkoduchem, tak zresztą nazywał go brat. Nie zasługiwał nawet na to, żeby dowodzić jej strażą, a tym bardziej myśleć o... Nie, lepiej nie myśleć. Postanowił, że nadal będzie zachowywał dystans, bo nawet przypadkowy dotyk dłoni mógł rozpaść w nim pragnienie nie do ugaszenia. Ilekroć siedzieli razem przy stole, wpatrywał się w niewielkie znamię na jej szyi i miał ochotę je pocałować. Wyobrażał sobie Mathilde w ich wspólnym domu i we wspólnym łóżu. Pragnął jej nie na jedną noc i nie na kilka, lecz na dużo, dużo dłużej.

Dlatego wbrew postanowieniu, żeby zwracać uwagę jedynie na Cerdica, świetnie zdawał sobie sprawę z jej obecności u boku ojca Thomasa. Stała w szarym płaszczu i miała na smukłych dłoniach

rękawiczki, a spod husty wymknął jej się niesforny kosmyk. Rozległ się głośny okrzyk, który wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w drugi koniec pola, gdzie koń Cerdica wspiał się na tylne kopyta. Cerdic wznosił lancę, na której zawisł pierścień.

- Do diabła - mruknął Henry.

Ze wszystkich uczestników współzawodnictwa tylko on i Cerdic nie popełnili jeszcze błędu. Oznaczało to, że jeśli nie uda mu się trafić w cel w ostatniej próbie, zwycięzcą zostanie Cerdic. Właśnie przejechał klusem przed widzami. Miał prawo do zadowolenia, a Henry nie zazdrościł mu chwili triumfu. Nie znaczyło to naturalnie, że zrezygnował z nadziania pierścienia na lancę.

Odwróciwszy się, zauważył lady Giselle śledzącą wzrokiem Cerdica. Przez chwilę miała na twarzy bardzo niezwykły wyraz, który zaraz znikł, ale Henry natychmiast odczytał jego znaczenie. Wielkie nieba, a więc to tak wieją wiatry?! Lady Giselle i ten dumny jasnowłosy wojownik? Jak to się stało, że dotąd tego nie zauważył, choć słynął z wielkiej spostrzegawczości w tej materii?

Czy Mathilde o tym wie? Jeśli tak, to musi popierać ten związek, bo inaczej nie umiałaby ukryć niezadowolenia. Może jednak zanadto pochłaniały ją kłopoty z Roaldem i podobnie jak on nie zauważyła miłości rozkwitającej tuż pod jej bokiem? A jeśli tak, to czy będzie ją pochwalać, gdy już rzecz wyjdzie na jaw? A wyjść na jaw musi, bo zawsze tak się dzieje, nawet jeśli zainteresowani bardzo starają się ukryć uczucia. Czy będzie w stanie pogodzić się z tym, że siostra chce poślubić człowieka

bez majątku? I że ślub uczyni Cerdica panem Ecclesford?

- Sir Henry, jesteście gotowi?

Wzdrygnął się i spojrzał na stojącego obok Tofta, który podawał mu lancę.

- Tak - odpowiedział i sięgnął po broń.

Ponieważ był to turniej towarzyski, a „przeciwnikiem” był jedynie pierścień nawleczony na linę, Henry nie miał na sobie zbroi ani nawet grubego kaftana. W najgorszym razie groził mu upadek z konia, a chociaż mogło to być niebezpieczne, to z pewnością nie tak jak udział w bitwie albo wstąpienie w szranki. Na wszelki wypadek ostrze lancy zostało stepione.

Zacisnął zęby, zdecydowany zakończyć próbę powodzeniem, i lekko ścisnął końskie boki. Chwilę potem rumak gnał. Przechodząc do pełnego galopu, Henry skupił całą uwagę na czekającym go celu. Z oddali pierścień wydawał się malutki, choć w rzeczywistości miał chyba ponad dziesięć cali średnicy. Henry wybrał dla swoich ludzi stosunkowo łatwy cel, aby zwiększyć liczbę prób zakończonych powodzeniem.

Pierścień szybko się zbliżał. Henry mocno pracował kolanami, ale uważał, aby nie spaść konia ostrogami. Taki galop w zupełności mu wystarczał. Gdyby zmusił zwierzę do większego wysiłku, trudniej byłoby mu nawlec pierścień na lancę. Był już prawie u celu. Wyciągnął lancę wzdłuż ciała,

przygotowując się, aby myśleć o niej jak o przedłużeniu ramienia. Nagle z pobliskiego drzewa zerwał się kruk. Głośne krakanie na ułamek sekundy odwróciło jego uwagę i lekko odchylił lancę w tamtą stronę. Natychmiast uświadomił sobie swój błąd, ale było za późno. Przejechał pod liną, a pierścień pozostał na swoim miejscu.

Rozległo się kilka stłumionych okrzyków dodających mu otuchy, więcej jednak usłyszał jęków zawodu. Przez chwilę zastanawiał się, jak przyjmie jego porażkę lady Mathilde,- szybko jednak oddalił od siebie to pytanie.

Unosząc lancę pionowo i opierając jej koniec na bucie, ścisnął boki Apolla i zawrócił. Gdy dotarł do punktu wyjścia, podał lancę Toftowi i zeskoczył z siodła. Oddawszy wodze jednemu z masztalerzy, podszedł do dam i wciąż uśmiechającego się Cerdica.

Ponieważ był to tego dnia ostatni konkurs, widzowie kierowali się powoli ku ławom rozstawionym na skoszonej łące. Czekają tam na nich piwo. Zresztą niektórzy mieszkańcy Ecclesford nie opuścili ław ani na chwilę, woleli bowiem przyglądać się rozmaitym konkurencjom z daleka, nie tracąc kontaktu z baryłkami. Wśród tych ostatnich nie było ludzi Henry'ego. Wcześniej surowo ich przestrzegł, aby nie przesadzali z uctowaniem, bo nie będzie wtedy z nich zadowolony, mimo że każdy mógł napić się piwa do woli i za darmo. Na szczęście wyglądało na to, że żołnierze potraktowali jego rozkaz poważnie.

- Znakomicie, Cerdic - powiedział. - Myślałem, że przy ostatnim podejściu wysadzi cię z siodła, bo jechałeś zanadto pochylony.

Cerdic zmarszczył czoło podobnie zresztą jak lady Giselle, za to lady Mathilde przesłała mu uśmiech.

- Przez jeden dzień możemy się obejść bez nauk - skarciła go, choć nadal się uśmiechała.

- Słusznie - przyznał. - Muszę się pilnować, bo inaczej skończę jak sir Leonard. Dla niego nawet posiłek był okazją do lekcji. - Zniżył głos i zaczął naśladować szorstki ton swojego mistrza: -Uważaj, chłopcze, jak trzymasz nóż. Możesz sobie wydłubać oko, jeśli nie będziesz ostrożny. Nagroził go wybuch śmiechu Mathilde.

- Myślałam, panie, że podziwiacie dawnego nauczyciela - zauważyła, gdy ruszyli w kierunku łąw.

- Bo podziwiam. On żyje tym, co robi. Nie wyobrażam sobie jednak, że miałbym w przyszłości tresować gromadkę młodych ludzi, którym wydaje się, że dorównują dorosłym.

Giselle zwróciła się do Cerdica:

- Zaczynają się tańce. Zatańczysz ze mną?

- Nie umiem - bąknął rosty wojownik, sprawiając wrażenie zakłopotanego małego chłopca.

- Ależ umiesz - z oburzeniem odparła lady Giselle. - Uczyłyśmy cię tego przed wieloma laty.

- Lepiej z nią zatańcz, Cerdicu - poparła siostrę Mathilde. - Inaczej gotowa ci nie dać spokoju przez cały wieczór.

- Już zapomniałem, jak to się robi.

- Jestem pewna, że sobie przypomnisz - nie rezygnowała Giselle.
 - Myślę, przyjacielu, że nie pozostaje ci nic innego, jak się poddać - orzekł Henry. - Damy mają w sobie tyle uporów, że najmocniejszy mężczyzna okazuje się bezsilny.
 - To Cerdic się upiera. - Giselle się nadała. Cerdic skapitulował.
 - Niech będzie. Jeśli podepczę ci rąbek sukni albo połamię palce u nóg, to nie będziesz mogła się skarżyć.
- Giselle się roześmiała i ująwszy go za ramię, wprowadziła pomiędzy tańczących. Henry zwrócił się do Mathilde.
- Zatańczysz, pani, czy wstyd ci będzie pokazać się z mężczyzną, który nie zwyciężył we współzawodnictwie?
- Oparła mu dłoń na ramieniu, czym wzbudziła jego niekłamany zachwyty.
- Sądzę, panie, że chybiliście pierścienia celowo.
 - Niestety, pani. Staralem się najlepiej, jak umialem, ale bez powodzenia - wyznał z ironią. -Przyniosłbym dzisiaj wstyd sir Leonardowi. Pójdę potem nad rzekę zmyć z siebie trudy dnia i podumać o kompromitacji.
 - Nikt niczego by nie wygrał, gdybyście sami, panie, nie wymyślili tego współzawodnictwa -zwróciła mu uwagę Mathilde.
- Gdy zbliżali się do ław, ujął jej dłoń w swoją, jednak niemal natychmiast cofnął rękę. Nie chciał jej przestraszyć ani obudzić u niej złych wspomnień.
- Przynajmniej umiem tańczyć, więc nie całkiem jestem nieudacznikiem - powiedział z przekąsem.

Mathilde pomyślała, że jeszcze nie spotkała człowieka, który miałby mniej powodów, aby czuć się nieudacznikiem. Również we współzawodnictwie, które zorganizował, świetnie sobie radził. Podobało jej się, że potrafi zdobyć się na dystans wobec samego siebie. Różnił się tym od wielu innych znanych jej mężczyzn. W niczym nie przypominał kilku aroganckich rycerzy, którzy w Ecclesford szukali schronienia. Po ujrzeniu Giselle nabierali ochoty, aby pozostać dłużej, i siedzieliby pewnie bez końca, gdyby jej ojciec nie dał im jasno do zrozumienia, że czas ruszać w drogę.

- Cerdic umie tańczyć, a przynajmniej umiał - wyjaśniła. - Giselle i ja poświęciłyśmy wiele godzin na to, by go nauczyć. - Mathilde uśmiechnęła się, przypominając sobie te dobre czasy. - Wolał, kiedy Giselle go uczyła. Ja za bardzo mu dogryzałam.

- Czy Cerdic wciąż przedkłada towarzystwo Giselle nad twoje, pani? W tonie Henry'ego usłyszała nutę, która ją zastanowiła. Zerknęła w stronę siostry, która z zapalem instruowała Cerdica. Ten nie wydawał się już ani trochę zakłopotany. Śmiał się i pozwalał, aby go prowadziła. Czy to możliwe!? Czyżby była

ślepa i nie zauważyła, że coś się między nimi dzieje? 1 Przypomniała sobie, że po śmierci ojca Giselle szukała pocieszenia w mocnych ramionach CerJ dica, a on głaskał ją po głowie. Wcześniej siedzieli! obok siebie przy ogniu przez całą wigilię Bożego! Narodzenia. Szeptali coś do siebie i śmiali się! A w pierwszy dzień maja poszli do lasu nazbierać! kwiatów i nie było ich całe przedpołudnie.

- Teraz już to widzisz, pani, prawda? - szepnął jej do ucha Henry.

- Nie sądzę, żebym miał jakąkolwiek szansę na poślubienie twojej siostry, nawet gdybym bardzo się starał.

Nie wydawał się tym rozczarowany. Bardzo ją to ucieszyło, bo przecież gdyby zależało mu na Giselle, na pewno nie pogodziłby się z tą sytuacją tak łatwo. Z drugiej strony, nie oznaczało to wcale, że Henry nie pragnie Giselle...

- Mam nadzieję, że ich zrozumienie nie przy- i sparza ci strapien, pani.

- Dlaczego miałyby przysparzać? - zdziwiła się szczerze. - Jeśli Giselle chce go za męża, to powinna go poślubić. Ja na pewno nie będę się temu sprzeciwiać. To dobry człowiek, nasz ojciec też go lubił.

- Mimo że nie ma majątku ani tytułu?

- Jest potomkiem królów, choć nie normań-skich. Jeśli kocha Giselle, w dodatku z wzajemnością, to czego więcej chcieć. Bogactwo nie ma większego znaczenia. Zresztą Giselle posiada dostatecznie dużo na ich potrzeby.

- Będzie, jeśli wygracie w sporze z Roaldem.

- Nie „jeśli”, tylko „kiedy”.

Obok nich przebiegła grupka rozchichotanych dzieci. Henry ujął Mathilde za rękę i odprowadził ją nieco na bok, gdzie było spokojniej. Stanęli pod rozłożystym dębem, niedaleko kuźni.

Kowal wygasił piec, żeby móc wyjść i napić się piwa. Mimo to w otoczeniu budynku odczuwało się wyraźne ciepło. Miejsce było zaciszne i odosobnione, dość odległe od ogniska, które rozpalono, gdy słońce zaczęło zachodzić. Henry wiedział, że kiedy zapadnie zmierzch, znajdą się w mroku, niemal niewidoczni dla biesiadujących przy ognisku ludzi. Mathilde przez cały czas miała świadomość, że Henry stoi tuż obok.

- Nie jesteś, pani, zawiedziona, że to Cerdic interesuje się twoją siostrą? - spytał cicho.

- Ani trochę - odrzekła szczerze. - Jest dla mnie jak brat.

- Cieszę się - powiedział i ujął ją za rękę. Była przekonana, że więcej nie pozwoli, aby

mężczyzna jej dotknął, teraz jednak chciała, żeby Henry trzymał ją tak bez końca. Dziewictwo jej skradziono. Jakie miało więc znaczenie, gdyby oddała swoje ciało innemu? Uprzytomniła sobie, że mogłaby zajść w ciążę. Po ucieczce Roalcla z lękiem wyczekiwała miesięcznego krwawienia. Nie chciała przeżyć tego strachu ponownie, ale mogła pozwolić sobie na pocałunek. Na chwilę zapomnienia w ramionach rycerza. Czemu nie? Bez pośpiechu położyła mu dłonie na ramionach

i pochyliła się ku niemu. Poczwała, że Henry obejmuje ją w talii.

- Chcę cię pocałować, Mathilde. Mogę?

- Tak - szepnęła.

Ostrożnie odnalazł jej usta. Musiał poczekać, aż Mathilde da znak, czego oczekuje. Nie wolno mu było zepsuć wszystkiego nadmierną gorliwością. To ona powinna zdecydować, jak daleko chce się posunąć. Nie było łatwo podporządkować się temu postanowieniu. Mathilde ufnie się do niego przytuliła, a on jeszcze nigdy nie pragnął tak bardzo kobiety, i nie chodziło mu tylko o zaspokojenie namiętności. Myślał o tym, aby obdarzyć ją miłością, dać jej nie tylko rozkosz, lecz również troskę i współczucie.

Cofnęła się i powiedziała:

- Sądziłam, że chcesz mnie pocałować.

- Nawet bardzo - przyznał, ujmując jej twarz w dłonie. - Nie chcę jednak, abyś się obawiała, że posunę się za daleko. Marzę, żebyś czuła się przy mnie bezpieczna.

- Jeszcze nigdy nie czułam się tak bezpieczna i szczęśliwa - szepnęła Mathilde, muskając jego wargi.

Omali nie doprowadziła go tą pieszczotą do szaleństwa, objął ją i pozwolił sobie na więcej śmiałości. Jej wargi się rozchyliły, skorzystał więc z zaproszenia i pogłębił pocałunek. Nie cofnęła się. Wsunął jej dłonie pod wierzchnie okrycie i czule ją objął. Podobało mu się, że znaleźli się w tak intymnej sytuacji. Choć pamiętał, że musi bardzo uważać, aby niechcący nie spłoszyć Mathilde, ciało nie chciało słuchać głosu rozsądku. Mimo że dzieliło ich kilka warstw tkaniny, reagowało tak, jakby byli nadzy. Mathilde przerwała pocałunek i położyła ręce na klatce piersiowej Henry'ego, jakby chciała go powstrzymać.

- Nie. Nie mogę...

Głos jej się załamał i wybuchnęła przejmującym szlochem.

- Och, Mathilde. - Westchnął, zły na siebie, że wbrew zamiarom zachował się nie dość delikatnie. Nie powinien był jej dotykać. Należało wykazać więcej opanowania i poczekać. - Przepraszam.

- To nie twoja wina. Nie jestem zła i nie boję się. Żałuję tylko...

Świadomość, że Mathilde próbuje zachować się dzielnie, była dla niego trudna do zniesienia. Poczwał się bezradny. Chciał ją tulić, ale obawiał się,

że tylko pogorszy sprawę. Jednak nie mógł stać beczynnie, słuchając jej rozdzierającego płaczu. Bardzo ostrożnie otoczył ją ramionami. Nie zaprotestowała. Nie wzdrygnęła się też, kiedy pogłaskał ją po plecach. Był gotów tak stać i tulić ją całą noc. W pewnym momencie Mathilde się odsunęła. Nie próbował jej zatrzymać.

- Wybacz mi - powiedziała cicho, ocierając kolejną łzę, która spływała jej po policzku. - Nie płakałam tak, odkąd...

Spodziewał się, że powie coś o Roaldzie.

- ...odkąd przekonałam się, że nie jestem brze-

mienna - wyznała. - Tak mi wtedy ulżyło, że łkając, na kolanach dziękowałam Bogu za opiekę. Czułam się wtedy jak ranny człowiek, który właśnie dowiedział się, że nie umrze. - Spojrzała mu w oczy. - A może jak służąca, której pomogłeś? Miała szczęście, że znalazła takiego obrońcę, i my też mamy.

Henry słyszał wiele komplementów, niektóre zresztą uważał za zasłużone. Wyrażano mu po-; dziw, zachwycano się jego ciałem, zdarzało się, że wysoko oceniano żołnierskie umiejętności. Jednak jeszcze nigdy słowa pochwały nie wprawiły go w taką dumę, a zarazem nie obudziły w nim i poczucia, że nie jest ich godzien.

- Chciałbym być lepszy. Nie jestem wzorem wszystkich cnót ani nawet rycerzem bez skazy. Mam pewne zalety jako żołnierz, bo tego mnie dobrze nauczono. Poza tym jednak jest we mnie wiele próżności i arogancji, co zauważyłaś, pani, już przy naszym pierwszym spotkaniu. Zazdrościłem osiągnąć bratu i miałem zapiekłe pretensje do przyjaciół, którzy pochopnie posądzili mnie o zdradę. Pożądałem wielu kobiet, przyprawiałem rogi mężom i tłumaczyłem sobie, że nie ma w tym nic złego, skoro one same tego chciały. Wiem jednak, że to tylko wymówka. Nie jestem godzien, aby podziwiać mnie jako wspaniałego obrońcę. Henry wiedział, że wyjawił prawdę. Zbyt wiele czasu zmarnował na szukanie przyjemności. Teraz pierwszy raz w życiu dojrzał to, czego wcześniej nie chciał zauważyć. A przecież brat wielokrotnie zarzucał mu, że jest beztroskim utracjuszem i lekkoduchem.

- Któż jest wolny od zazdrości? - odparła z namysłem Mathilde. - Od dawna zazdroścę Giselle urody i myślę o tym, że żaden mężczyzna nie chce spojrzeć na mnie tak, jak wielu spogląda na nią. Odczułam zazdrość

nawet wtedy, gdy uświadomiłam sobie, że Cerdic naprawdę ją kocha, a przecież sama nie darzę go takim uczuciem. Czy to nie szczyt samolubstwa? Swojemu pożądaniu też nie masz się co dziwić, panie. Cóż mnie ciągnęło do Roalda, jeśli nie ono właśnie? Teraz wiem, że to nie była miłość. W dodatku oślepiły mnie próżność i brak rozsądku, skoro uwierzyłam w puste pochlebstwa.

Henry przyłożył jej palec do warg.

- Chciałaś być kochana. Któż tego nie pragnie?

- Inne kobiety nie szkodzą sobie w taki sposób jak ja.

- Popełniłaś błąd i poniosłaś konsekwencje. Mógłbym wymienić wiele niewiast, które nagrzeszyły znacznie bardziej, a mimo to nie poniosły kary. Gdyby miały sumienie, może przynajmniej ono nie dawałoby im spokoju.

- Roald...

Przyciągnął ją do siebie i objął.

- Roald jest tchórzem i łotrem. Nie mogę wymazać tego, co się stało, ale dałbym wiele, żeby pomóc ci o tym zapomnieć. W moich oczach nie stałaś się przez to ani trochę mniej wartościowa. Nie ty jesteś splamiona, zhańbiona czy jak to

nazwać, tylko on. Znam wiele kobiet, Mathilde, i z więcej niż jedną oddawałem się pieszczotom, przysięgam ci jednak, że żadna nie budziła we mnie takich uczuć jak ty. To o wiele więcej niż pożądanie. Nie czułem dotąd takiego szacunku dla kobiety ani takiego podziwu. Nigdy nie powiedziałem niewieście, że ją kocham...

Mathilde położyła mu dłonie na torsie i lekko go odepchnęła.

- Nie mów więcej, Henry! - krzyknęła, jakby ją uderzył, a nie wyznał jej miłość.

Okręciła się na pięcie i uciekła.

Trzymając się ciemnych miejsc, Mathilde okrążyła szerokim łukiem ognisko i pobiegła do zamku. Nie powinna była zostawać z Henrym sam na sam, całować go i słuchać miłosnych wyznań. Nie wolno dopuścić do tego, żeby Henry ją pokochał. Zaslugiwał na nietkniętą oblubienicę, na najlepszą partię w Anglii, a nie na kobietę zgwałconą przez Roalda de Sayres.

Z nadzieją, że powodem ucieczki Mathilde było jego nazbyt zaskakujące wyznanie, Henry podążył jej śladem. Rozpłynęła się jednak w mroku i nie mógł jej odnaleźć. Przyglądał się ludziom zgromadzonym na łące, bliżej ogniska i w pewnym od niego oddaleniu, ale nie zauważył Mathilde.

Ogarnął go lęk. Zapadła ciemność, a Roald mógł czyhać wszędzie.

Przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się przy zamkowej bramie.

- Czy lady Mathilde wróciła? - spytał wartowników, którzy widząc, że nadchodzi, natychmiast stanęli na baczność.

- Tak jest, panie - odpowiedział starszy. - Niedawno.

Henry skinął głową i ruszył przez dziedziniec, zdecydowany odnaleźć Mathilde i... I co właściwie? Żąda wyjaśnienia? Spyta, dlaczego uciekła? Przecież ona jest wolnym człowiekiem i nie wiąże jej z nim ani więzy rodzinne, ani narzeczeństwo. Narzucanie się i dręczenie pytaniami z pewnością nie jest na miejscu.

Henry poszedł więc do swojej komnaty, odnotowawszy po drodze, że drzwi do pokoju Mathilde i Giselle są zamknięte. Rozebrał się do bielizny i położył, a na stoliku zostawił jak zawsze płonąca świecę. Prawdę mówiąc, żywił nadzieję, że Mathilde przyjdzie do niego w nocy.

Nie pojawiła się jednak, a kiedy jedli śniadanie nazajutrz rano, zachowywała się tak, jakby nie doszło do pocałunków i wyznań. Tryskała energią i nawet jednym spojrzeniem nie zdradziła, że coś między nimi nieodwracalnie się zmieniło. Henry tłumaczył sobie, że Mathilde potrzebuje więcej czasu na oswojenie się z jego uczuciem albo obawia się, że znów trafiła na zmiennego, wiarołomnego drania. Gdyby tak rzeczywiście było, to musiał zachować cierpliwość i czekać, bez względu na to, jak długo to będzie trwało.

Rozdział dziesiąty

Podczas gdy Henry galopował z laną, mierząc w pierścień, Roald klęczał przed tronami królewskiej pary w Westminsterze. Mimo pokrewieństwa z Eleonorą potrzebował kilku dni usilnych starań, aby uzyskać audiencję.

W końcu jednak dostąpił tego zaszczytu, a choć posłuchanie nie było prywatne, to uczestniczyło w nim zaledwie kilku dworzan, którzy rozmawiali cicho w przeciwnym końcu komnaty obitej boazerią. Ogień huczał w wielkim kominku i ogrzewał wnętrze; rozświetlały je liczne świece umieszczone w lśniących mosiężnych lichtarzach.

- Wasza Królewska Mość! - zwrócił się z wyraźną czcią do swojej dalekiej kuzynki.

- Roaldzie - odpowiedziała Eleonora - to dla mnie wielka przyjemność zobaczyć kogoś z rodziny.

- Nie tak wielka, jak dla mnie zobaczyć Waszą

Królewską Mość - odparł, wstając w odpowiedzi na jej łaskawy gest.

Król spoglądał na Roalda znudzonym wzrokiem. Zresztą, może to wrażenie wywołała opadająca powieka.

- Rozumiemy, że przychodzicie tutaj przedstawić ważną sprawę - odezwał się Henryk III.

- Tak, Wasza Królewska Mość. Dotyczy ona posiadłości mojego niedawno zmarłego stryja. -Lekceważąc pozostałych dworzan, choć zarazem uważając, aby nie nadużyć królewskiej cierpliwości, Roald opowiedział o chorobie stryja, nielegalnej zmianie testamentu i zuchwalstwie kuzynek, które z tego wynikło. - Tak więc, kuzynki odmawiają przekazania mi majątku, mimo że prawnie mnie się należy - zakończył.

Zauważył, że zarówno król, jak i królowa przyglądają mu się teraz z zainteresowaniem.

- Słyszeliśmy o tej posiadłości - stwierdził Henryk III. - Położona w korzystnym miejscu, przynosząca zyski, chociaż jej niedawno zmarły pan był dość... ekscentryczny.

- To prawda - potwierdził Roald.

- A jego córki... Jedna z nich słynie z urody -dodała Eleonora.

Roald odgadł, do czego to zmierza. Spostrzegł też, że dworzanie, do tej pory mało zaciekawieni rozmową, nagle zaczęli się pilnie przysłuchiwać.

- Jest urodziwa, ale nie tak piękna i nie tak łaskawa jak Wasza Wysokość

- odparł Roald. - Ma jednak duży posag. Naturalnie zamierzam w pełni

honorować treść pierwotnego testamentu stryja, w którym dokonał on pokaźnych zapisów, aby zabezpieczyć córki.

- A więc jest więcej niż jedna córka? - upewnił się Henryk III, który nie słuchał zbyt uważnie.

- Tak, Wasza Królewska Mość. Obawiam się jednak, że małżeństwo z młodszą nikogo nie ucieszy. To sekutnica, a do tego szpetna. Jestem pewien, że to właśnie ona uknuła intrygę, chcąc mnie złupić.

- I mimo to będzie miała duży posag? - zainteresowała się królowa.

- Jeśli znajdzie się mężczyzna, który zechce ją wziąć - odrzekł Roald. -

Powinienem wspomnieć także o tym, że stryj rozważał również inną możliwość. Gdyby któraś z jego córek postanowiła oddać się w służbę Chrystusowi, wtedy jej posag przechodzi na własność Kościoła.

Oczy królowej zabłyśły. Bez wątpienia rozważała, jak wielkie poparcie duchowieństwa można uzyskać za sumę, którą mogła zadysponować według własnego uznania. Zależało jej na jak największych wpływach w Kościele, chciała bowiem zapewnić wujowi godność arcybiskupa.

- Czy można liczyć na to, że panna dokona takiego wyboru? - spytała.

- Kiedy zostanę panem Ecclesford, Wasza Królewska Mość, będę ją do tego zachęcał ze wszystkich sił. Może się okazać, że ma tylko takie wyjście, jeśli nie zechce poślubić człowieka, który jej nie odpowiada.

Eleonora wydawała się sprzyjać takiemu rozwiązaniu, ale Henryk III oświadczył:

- Nie chcemy słyszeć o kobietach przymusem skłanianych do małżeństwa.

Roald błagalnie rozłożył ręce i przesłał królewskiej parze spojrzenie pełne zdziwienia.

- Na honor, Wasza Królewska Mość, jako rycerz nie ważyłbym się przymuszać jej ani do małżeństwa, ani do wdziania habitu. Niestety, jest nie tylko swarliwa, lecz również bardzo uparta, może więc okazać się niezbędne, aby ją... prowadzić szczególnie starannie.

- A ta druga siostra, ta piękność? - zainteresował się Henryk III, porzucając temat Mathilde. - Czy nigdy nie była przedstawiona na dworze?

- Nie, Wasza Wysokość - odparł Roald, a jego uwagi nie umknęło przenikliwe spojrzenie, jakim królowa obdarzyła młodego małżonka. - Jej ojciec żył niemal jak pustelnik.

- Może powinniśmy poznać waszą kuzynkę.

- Myślę, że nie jest to konieczne, panie - wtrąciła Eleonora, kładąc rękę na kolanie męża i słodko się uśmiechając. - Mamy wystarczająco dużo spraw. Musimy, na przykład, zająć się organizacją małżeństwa twojego brata. Poza tym tak urodziwa kobieta może zaprzątnąć uwagę młodych ludzi na dworze, a wolelibyśmy uniknąć niepotrzebnych sporów.

- To prawda - przyznał Henryk III.

Roald podziwiał zręczność królowej w manipulowaniu mężem.

- Jedyną kobietą w Anglii, która byłaby w stanie zostać drugą Heleną Trojańską, jest Wasza Wysokość - powiedział, nisko się kłaniając. Eleonora przeszła go niecierpliwym spojrzeniem, świadczącym o tym, że niepotrzebnie otworzył usta. Roald pomyślał, że musi być ostrożniejszy. Gniew królewskiej kuzynki mógł się okazać bardzo niebezpieczny.

- Zgadza się zasadniczo, że istnieją podstawy, aby kwestionować testament waszego zmarłego stryja - powiedział - Henryk III. - O tych sprawach decyduje jednak sąd. Musicie poczekać na wyrok.

Eleonora poruszyła się, wyraźnie wzburzona. Roald domyślał się przyczyny. Wolałaby, aby nadania ziemi znajdowały się wyłącznie w rękach króla wspomaganego, rzecz jasna, światłymi radami małżonki. Roald przychylił się do jej stanowiska. Nie ufał Anglii i jej prawom, a już na pewno nie sądom.

- Jestem świadom władzy sądów, gdyby jednak było wiadomo, że Wasza Wysokość popiera moje roszczenia, z pewnością miałyby to dużą wagę dla tych, od których zależy wyrok.

- Sądzymy, że powinniście takie poparcie otrzymać - oświadczyła Eleonora.

- Mimo wszystko - dodał stanowczo król Henryk III - nie możemy zbyt otwarcie wyrażać naszej przychylności. Baronowie tylko czekają na pretekst, którym mogliby się posłużyć do wzniecenia groźnej rebelii.

Roald wiedział, że należy się z tym liczyć, zwłaszcza po ostatniej francuskiej wyprawie króla, która skończyła się katastrofą. Henryk III musiał przystać na pięcioletni rozejm. Nie było też tajemnicą, że wielu angielskich arystokratów nie lubiło Eleonory z Prowansji, miało jej bowiem za złe zbyt dużą skłonność do nagradzania swoich krewnych na koszt Anglii. Również kler nie żywił szacunku dla władczyni, ponieważ tę samą skłonność przejawiała ona również wobec krewnych ze stanu duchownego, wyposażając ich we władzę i wpływy. Mogło się więc zdarzyć, że sąd kościelny zdecydowałby, że to on, Roald, zapłaci za grzechy królowej, i postanowiłby, iż obowiązuje drugi testament, a nie pierwszy... Do diabła z prawem i wszystkimi, którzy nim zawiadują! Do diabła z Anglią i jej sądami! Do diabła z wszystkimi, którzy stali mu na drodze do objęcia należącego mu się przecież spadku!

Henryk III popatrzył w zadumie na Roalda.

- Zwracamy uwagę - powiedział - że w kwestiach prawa i własności realne posiadanie jest ważniejsze niż słowa zapisane na pergaminie, nawet po łacinie. Gdybyście więc, sir Roaldzie, przejęli zamek Ecclesford, wzmocniłoby to waszą pozycję. Zawsze będziemy gotowi poprzeć roszczenie wiernego dworzanina.

Roald omal nie krzyknął z radości. Król właśnie pozwolił mu siłą zająć Ecclesford! Ta sekutnica Mathilde pożałuje teraz, że próbowała mu odmówić jego praw. Giselle też za to zapłaci, bo

sprzyjała siostrze, jego zaś traktowała, jakby był robakiem. D'Alton też dostanie za swoje, skoro wtrącił się do spraw, które go nie dotyczą. Roald bez wahania postanowił wygrać na swoją korzyść obawy króla przed spiskiem. Przybrał ponury wyraz twarzy

- Obawiam się, że moje kuzynki znalazły sobie sprzymierzeńca, brata lorda Dunkeathe.

Roald chciwie wypatrywał reakcji Henryka i Eleonory na tę informację. Zgodnie z jego oczekiwaniami nie wydawali się zadowoleni. Lordowi Dunkeathe ziemię nadał król Szkocji, a nie Anglii, więc lord Nicholas nie czynił tajemnicy ze swojej pogardy dla władców Anglii. Również Henry niekiedy pozwalał sobie na mało wyważone uwagi na temat monarchii.

- Byłoby mi bardzo przykro usłyszeć, że sir Henry'emu zdarzyło się... jakieś nieszczęście z powodu wtrącania się w sprawy, którymi nie powinien się interesować - po namyśle powiedział Henryk, po czym wstał. - Jesteśmy zmęczeni - oznajmił, spoglądając na żonę. - Udamy się teraz na spoczynek.

- Ja też odczuwam zmęczenie - powiedziała królowa i również wstała, chociaż spojrzenie, które przesłała mężowi, świadczyło zgoła o czym innym. - Powodzenia, Roaldzie.

Skłonił się głęboko.

- Sługa Waszej Wysokości.

- Mam nadzieję - dodała jeszcze i odwróciwszy się, wyszła razem z królem.

Roalda mało obchodziło, czy zaczną się parzyć jeszcze w sali tronowej. Zyskał królewskie poparcie dla odebrania Ecclesford i należało znaleźć pieniądze na najęcie żołnierzy. Do opanowania zamku potrzebował więcej niż dziesięciu ludzi.

Wciąż pogrążony w rozmyślaniach Roald dotarł do niewielkiej izby, którą wynajął w Southwark, na prawym brzegu Tamizy, niedaleko London Bridge. W tej tłocznej, cuchnącej części miasta, oddanej we władanie rozrywki i związanej z nią rozpusty, łatwiej było się ukryć. Nie spodziewał się więc zastać w mroku swojej klitki bez okna sir Charlesa de Mallemaison, oczekującego go z obnażonym mieczem. Roald natychmiast sięgnął po oręż, ale zanim zdążył zacisnąć dłoń na rękojeści, głownia miecza najemnika błysnęła jak atakujący wąż i pas sir Roalda, a wraz z nim i miecz z łoskotem upadły na podłogę. Roald chciał rzucić się do ucieczki, ale de Mallemaison chwycił go za odzienie, wciągnął do izdebki i kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Potem stanął przed nim, odcinając mu drogę.

- Przyszedłem po pożyczone pieniądze lub coś w zamian - oznajmił chrapliwym głosem.

Roald zmartwiało. Nie mógł spłacić długu. Wręcz przeciwnie, musiał jeszcze zaciągnąć pożyczkę, jeśli chciał przejąć Ecclesford. Koniec głowni miecza znalazł się jednak niebezpiecznie blisko jego przyrodzenia.,

- Cóż dostanę? - spytał de Mallemaison.

Roald patrzył na uważanego za najbardziej bezwzględne najemnika w Anglii człowieka i nagle go olśniło. Pomysł rozwiązywał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jego problemy i aż dziw, że nie wpadł na niego wcześniej.

- Wygląda na to, że nisko upadłeś, de Mallemaison, jeśli zbierasz długi dla kupców - powiedział. Strach już go opuścił, mimo że miecz wciąż znajdował się niebezpiecznie blisko jego ciała.

Przez twarz groźnego najemnika przemknął ponury grymas.

- Nie masz, co? - I dodał bezlitośnie: - Wielka szkoda.

Roald podniósł rękę.

- Znam sposób, który pozwoli ci zarobić więcej, niż płacą złotnicy.

Naturalnie nie miał pojęcia, ile obiecano temu człowiekowi za odebranie długu, ale z pewnością niemało. De Mallemaison nie fatygowałby się za marne pensy.

Oczy najemnika zalśniły chciwością.

- Złotnicy płacą dobrze, a ty jesteś po uszy w długach. Jeśli znasz sposób na zdobycie pieniędzy, to dlaczego z niego nie skorzystałeś?

- Ponieważ moje kuzynki, te uparte ptasie mózdzki, odmawiają mi dostępu do należnego mi prawnie spadku. Właśnie byłem na audiencji u króla, który dał mi pozwolenie na objęcie tej posiadłości wszelkimi środkami, jakie uznam za stosowne. - Postanowił nie komplikować sprawy opowiadaniem o dwóch testamentach. - Przyszło mi do głowy, że jesteś człowiekiem, jakiego potrzebuję w tej sytuacji. Muszę zgromadzić odpowiednie siły, aby opanować zamek. Kiedy pokonamy moje kuzynki,

zdobędę majątek i z pewnością będzie mnie stać na to, aby sowicie cię wynagrodzić.

- Nie pracuję za darmo.

- Zapewniam, że otrzymasz pieniądze, kiedy...

- Nie „kiedy”, tylko „jeśli” - odparł de Mallemaison, a głównia jego miecza znów groźnie się poruszyła. - Za „jeśli” też nie pracuję.

- Daję ci słowo, że twój trud zostanie hojnie opłacony.

- Liczysz na to, że zaufam twojemu słowu i na tej podstawie będę czekał na niepewny wynik? - zapytał z pogardą de Mallemaison.

- Mam tytuł szlachecki - odparł wyniosłym tonem Roald.

De Mallemaison zaśmiał się złowieszczo.

- Dobrze wiem, kim jesteś, sir Roaldzie. Ja zaś nie zaliczam się do głupców. Albo biorę połowę pieniędzy przed rozpoczęciem pracy, albo w ogóle nie zaczynam. - Uniósł miecz tak, że jego koniec znalazł się między oczami Roalda. - Nie wydaje mi się, żebyś miał choćby pensa dla mnie lub złotników.

Roald intensywnie myślał nad innym sposobem zachęcenia tego człowieka do udzielenia mu pomocy. Jedno spojrzenie na jego pooraną bliznami twarz powinno wystarczyć, żeby cała straż z Ecclesford rzuciła oręż i poddała się bez walki.

- Moja kuzynka, jedna z tych, które mi się sprzeciwiają, to bardzo piękna kobieta, o wiele piękniejsza od królowej. Pomóż mi ją pokonać* a będziesz ją miał.

Nie podobała mu się myśl o rezygnacji z Giselle,? ale skoro nie było innego wyjścia, to trudno.

- W ciemności każda kobieta jest dobra. Czyżby nie było niczego, co mógł powiedzieć...

zapropionować... obiecać...? - biedził się Roald.

Blizna na policzku de Mallemaisona... Słyszał kiedyś historię tłumaczącą jej pochodzenie. Warto było spróbować.

- Moje kuzynki zapewniły sobie pomoc brata lorda Dunkeathe.

- Znam lorda Dunkeathe - powiedział najemnik, wskazując bliznę na policzku. - To pamiątka po tym draniu.

- Naprawdę? Bez wątpienia chętnie skorzystasz więc z okazji do zemsty. De Mallemaison schował miecz.

- Z przyjemnością zabiję brata tego łotra i prześlę lordowi jego głowę w koszyku.

Roald poczuł trudną do opanowania ulgę. Jakie to szczęście, że Nicholas Dunkeathe kiedyś omal nie zabił Charlesa de Mallemaisona.

- Ilu ludzi potrzebujesz i kiedy wyjeżdżamy z Londynu?

Kilka dni później w słoneczny jesienny poranek, podśpiewując balladę o nieszczęśliwych kochankach, samotny jeździec kłusował traktem do Ecclesford. Szczupłe, lecz umięśnione ciało okrywała kolczuga i nałożony na nią soczyście zielony kubrak, a spod zsuniętego na tył głowy hełmu wymykały się rudawe włosy. Z uzbrojenia widoczny był jedynie miecz u pasa, zwracał też uwagę tobolek przytroczony do siodła.

Rycerz, pozornie beztroski, czujnie wodził wzrokiem dookoła, niczym sokół łub, zważywszy na jego twarz, lis rozglądający się za ofiarą. Chociaż jechał sam, było w jego postawie coś, co sprawiało, że tylko najbardziej zuchwali i lekkomyślni zbóje odważyliby się go zaczepić. Rzeczywiście, lepiej było tego nie próbować. Rzucenie wyzwania sir Ranulfowi, komendantowi straży z Tregellas, stanowiło niemal pewną porażkę. Tymczasem przyglądał się ludziom kopiającym rowy¹ i przygotowującym pola do zimy, bydłu skubiącemu trawę na pastwiskach, najbardziej zaś interesowały go widoczne w oddali wieś i zamek. Ecclesford. Miejsce, w którym podobno przebywał Henry, radosny i porywczy Henry.

Kilku wieśniaków podniosło głowy, by zerknąć na mijającego ich jeźdźca, szybko jednak wrócili do pracy. Nikt nie próbował go zatrzymać, w tym jednak nie widział niczego dziwnego, bo ludzie ci nawet nie mieli broni. Większą zagadką było jednak przyjęcie, jakie spotka go w zamku. Przy rozwidleniu dróg Ranulf usłyszał dudniący odgłos, jakby werbel. Rozpoznał go natychmiast. Bez wątpienia maszerował wtedy oddział wojska, i to niemały. Podróżował samotnie i wcale nie był

pevien, czy zastanie w zamku Henry'ego; nie wiedział też, czy zbliżają się przyjaciele, czy wrogowie, bez wahania więc zsiadł z konia i zaprowadził go za pobliską kępę kolczastych krzaków, częściowo pokrytych liśćmi. Z ukrycia obserwował drogę.

Po kilku minutach pojawiła się grupa żołnierzy. Odziani w pikowane przeszywnice, zwykle noszone pod zbroją, mieli też tarcze i włócznie, stożkowe hełmy na głowach i miecze u pasa. Ich twarze były zlane potem, którym nasiąkły również przeszywnice. Ciężko oddychali, z wysiłkiem odrywając stopy od ziemi.

- Wyżej nogi! - rozległ się okrzyk i Ranulf przeżył jedno z największych zaskoczeń w swoim życiu. - Kto zostanie z tyłu, poczuje, że i ja mam lancę!

Nie ulegało wątpliwości, że to głos Henry'ego. Ranulf się zdziwił, że przyjaciel ćwiczy żołnierzy.

o tym nie było mowy w nowinach, które dotarły do Tregellas ze Szkocji. Tymczasem ludzie, choć wyraźnie zmęczeni, przyspieszyli kroku i rzeczywiście zaczęli wyżej podnosić nogi.

Skoro Henry dowodził, niewątpliwie ujawnienie się niczym nie groziło. Ranulf wyprowadził więc konia zza drzew i stanął na drodze oddziału. Zaskoczeni żołnierze zatrzymali się.

- Kto wydał komendę „stój”?! - ryknął Henry z tyłu kolumny i chwilę potem ukazał się oczom Ranulfa. Również on miał na sobie przeszywnicę i przypasany miecz, niósł włócznie i tarczę, miał też na głowie ten zabawny mały hełm.

- Henry! - zawołał Ranulf, a w jego głosie wyjątkowo zabrakło typowej dla niego ironii.

- Ranulf?! - wykrzyknął zaskoczony Henry i pospieszył powitać przyjaciela. - Co tutaj robisz?

- Mógłbym spytać cię o to samo - odrzekł Ranulf, podchodząc bliżej. - Sądziłem, że jedziesz do Szkocji.

- Jechałem - odparł Henry. - A ja sądziłem, że wciąż jesteś w Tregellas. Co sprowadza cię do Kentu?

- Prawdę mówiąc, właśnie cię szukam. Zaniepokojony Henry zmarszczył czoło.

- Kłopoty w Tregellas? Czyżby Merrick potrzebował mojej pomocy?

- Wszyscy mają się tam dobrze, a jeśli chodzi o naszego poczciwego Merricka, to jest całkiem odmienionym człowiekiem. Takiego go w ogóle nie znałeś. Któregoś ranka słyszałem nawet, jak śpiewa pod nosem. Omal nie zemdlałem z wrażenia.

Henry uśmiechnął się i zerknął na swoich półżywych ludzi.

- Właśnie wracaliśmy do zamku. Mam nadzieję, że zatrzymasz się na pewien czas.

- Z przyjemnością, ale pod warunkiem, że nie będziesz mnie ćwiczył w maszerowaniu. Z sir Leonardem doświadczyłem tego aż nadto.

Henry roześmiał się wesoło.

- Cerdic, odprowadź drużynę do koszar! - zawołał donośnie.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna wyszedł ze

środką kolumny i szczekliwym głosem nakazał żołnierzom ruszać dalej.
- Toft! - Henry wezwał niewysokiego, ciemnowłosego wojaka. - Zajmij się koniem sir Ranulfa i dopilnuj, żeby w stajni zrobiono przy nim wszystko co trzeba.

Żołnierz posłusznie ujął wierzchowca za uzdę i poprowadził go śladem kolumny.

Henry tymczasem dziarsko klepnął Ranulfa w plecy.

- Chodź - powiedział, ruszając w stronę zamku. - Dowodzę strażą w Ecclesford, tak samo jak ty w Tregellas.

Ranulf zrównał się z nim krokiem.

- To jednak trochę... nieoczekiwane. Henry'ego zirytowała ta uwaga.

- Sądzisz, że nie jestem w stanie podołać dowodzeniu drużyną żołnierzy?

- Ależ jesteś. Po prostu nie spodziewałem się tego. O ile dobrze sobie przypominam, surowo skarciłeś Merricka, kiedy zaproponował mi dowództwo straży. Twierdziłeś wtedy stanowczo, że powinienem poczuć się urażony taką propozycją.

- Byłem w błędzie. - Henry nagle spojrzał na Ranulfa badawczo. - Od kiedy nosisz brodę? Ledwie cię poznałem.

Ranulf w zakłopotaniu skubnął rudawą bródkę.

- Kilka tygodni.

- Postarza cię.

- Naprawdę? A twój pot czuć z paru jardów.

Henry roześmiał się pojednawczo.

- Bez wątpienia tak jest. Obiecuję, że zaraz go z siebie zmyję. - Zerknął kątem oka na przyjaciela. - Nie sądzę jednak, abyś przyjechał do Kentu

specjalnie po to, żeby pokazać mi, jak wyglądasz z brodą.

- Rzeczywiście nie - przyznał Ranulf. - Merrick dostał list, w którym twój brat pytał o ciebie. Przyjaciel, mający kontakty na dworze, doniósł mu, że wplątałeś się w jakiś spór o majątek między Roaldem de Sayres a jego krewnymi w Kencie. Nicholas chciał wiedzieć, czy jeszcze przebywasz w Tregellas.

Henry zdążył skomentować te nowiny niewiele mówiącym „aha”, ale Ranulf jeszcze nie skończył.

- Merrick napisał, że opuściłeś Tregellas, kierując się do Dunkeathe. Wysunął więc przypuszczenie, że coś zatrzymało cię po drodze, i wysłał mnie, abym sprawdził, czy nie napytałeś sobie biedy.

Henry roześmiał się ponownie, ale tym razem wesołość zabarwiona była goryczą.

- Nicholas wyobraża sobie zapewne, że szwendam się gdzieś po domach rozpusty. Dziękuję bardzo mojemu przyjacielowi Merrickowi, że podsunął mu taką myśl.

Ranulf westchnął świadom, że musi wykazać cierpliwość.

- Merrickowi wciąż jest bardzo przykro z powodu tego, co zaszło, Henry, ale w zaistniałej sytuacji nie miał wyjścia. Nie mógł przecież pozostawić listu twojego brata bez odpowiedzi.

- To prawda, lecz nie musiał od razu wysłać cię na poszukiwania. Czyżby uważał, że potrzebna mi piastunka?
 - Po prostu zmartwił się tym listem, przyznam zresztą, że i ja się zaniepokoiłem. Co ci przyszło do głowy, żeby mieszać się w kłopoty rodzinne Roalda de Sayres?
 - Wypełniam swoje zobowiązania wynikające z rycerskiego ślubowania - wyjaśnił Henry, kopnąwszy patyk. - Pomagam damom w trudnej sytuacji.
 - Słyszeliśmy, że trwa spór o spadek.
 - Między innymi.
 - Czy wiesz, że Roald był u króla?
 - Spodziewałem się tego. Wiadomo ci, co tam zaszło?
- Ranulf splótł dłonie na plecach.
- Zdaje się, że Roald odbył cichą rozmowę z parą królewską i wydawał się potem dość zadowolony. Podobno werbuje najemników, i to nie młodzienia- szków, którzy jeszcze wczoraj chodzili za pługiem, co oznacza, że musi być pewien poparcia Henryka.
- Henry zaklął po żołniersku.
- Kiedy Merrick dostał list od Nicholasa?
 - Trzy dni temu - odparł Ranulf.
 - Czyli Roald był na dworze...
 - Przed tygodniem.
- Henry zaklął ponownie i przyspieszył kroku.
- Jak się w to wplątałeś? - spytał Ranulf. - Wiem, że nie cierpisz Roalda, ale czy trochę nie przesadzasz?
 - Roald usiłuje ukraść swoim kuzynkom posiadłość. Mam ci tłumaczyć, na jaki los mogą liczyć dwie młode kobiety, mające go za pana?

- Te damy... rozumiem, że obie są do wzięcia.
- Owszem, ale zanim uznasz, że zatrzymały mnie tutaj plany matrymonialne, stanowczo się od tego odetnę.

Ranulf nie odpowiedział. Po pierwsze, znał dobrze reputację Roalda de Sayres i rozumiał, że żadna kobieta nie powinna mieć takiego pana. Po drugie, był w pełnej zbroi, i trochę zabrakło mu tchu.

Gdy zgrzany i spocony Ranulf wszedł wreszcie za Henrym w progi zamku Ecclesford, nabral niezbitej pewności, że odkrył przyczynę, dla której Henry tak skwapliwie podjął się pomocy nieznanym mu damom. Kobieta, siedząca przy oknie z haftem w dłoniach, była doprawdy niezwykłej urody. Każdy rycerz na jej widok powinien wydać głośny okrzyk zachwytu. Gdy wstała i ruszyła w ich stronę, przekonał się, że ma ruchy pełne gracji, a jeśli sądzić z rumieńca na twarzy, cechowała się panięską skromnością. Była w tym wszystkim urzekająca.

Skłonili głowy na powitanie, a potem Henry powiedział:

- Lady Giselle, oto mój przyjaciel sir Ranulf z Tregellas.

Lady Giselle wyciągnęła do niego smukłą białą dłoń.

- Witam w Ecclesford, sir Ranulfie. - Głos miała cichy i melodyjny, właśnie taki, jakiego można by się po niej spodziewać. - Każdy przyjaciel sir

Henry'ego jest tu mile widziany. Mam nadzieję, panie, że zatrzymacie się u nas, jeśli tylko plany wam na to pozwalają.

Przesyłając jej uśmiech zarezerwowany dla najpiękniejszych dam, Ranulf ujął jej dłoń i pocałował. Okazała się miękka, chłodna w dotyku i pozbawiona życia jak ryba na półmisku. W tym momencie przed oczami przemknął mu obraz pełnej życia twarzy Beatrice, która miała zwyczaj mówić o wiele za dużo i energicznie się poruszać...

- Bardzo jesteś uprzejma, pani.

- Przepraszam - wtrącił Henry - muszę się umyć i przebrać przed wieczerzą. Czy mogę zostawić Ranulfa pod twoją opieką, pani?

Dama znów się splonęła.

- Naturalnie. - Przyzwała gestem służącą, krzepką dziewczynę, która żwawo do nich podeszła i zmierzyła Ranulfa spojrzeniem.

Wielkie nieba, rozmyślał Henry, przeskakując po dwa stopnie. Czemu znowu Nicholas musiał się wtrącić? Dość miał problemów, nie chciał tracić energii na przejmowanie się krytyką brata.

- Tak szybko z powrotem, sir Henry? Podniósł głowę i ujrzał na podeście Mathilde,

jak zwykle spokojną i nieprzeniknioną.

- Przyjechał gość, pani - odrzekł i pokonał jeszcze kilka stopni, tak że od podestu dzielił go tylko ostatni. - Mój przyjaciel Ranulf, komendant straży w Tregellas. Obawiam się, że przywiózł złe wiadomości. Roald odbył rozmowę z królem i teraz zbiera najemników.

Mathilde zachwiała się. Bojąc się, że upadnie, Henry skoczył i zdecydowanym ruchem ujął ją za ramiona. Nie próbowała się cofnąć.

- Czy Roald uzyskał poparcie Henryka? - spytała cicho, najwyraźniej

będąc myślami przy tej rozmowie.

- W pewnym sensie - odparł. - Według Ranulfa król zachował powściągliwość, a to oznacza, że nie jest przekonany do sprawy Roalda tak bardzo, jak ten by sobie życzył lub nawet jest skłonny założyć.

Chyba trochę ją to uspokoiło, ale wciąż nie zamierzała się odsunąć.

- Czy wiesz, panie, kiedy Roald ze swoimi ludźmi tutaj dotrze?

- Obawiam się, że wkrótce - odparł, przyglądając się grze uczuć na jej twarzy. Miał poczucie, że z każdą chwilą kocha Mathilde bardziej. -

Będziemy przygotowani - zapewnił głęboko przekonany o prawdziwości tych słów. - Twój ludźmi, pani, są wierni i dzielni, zamek zaopatrzone na wypadek oblężenia, więc jeśli nie będziemy w stanie pobić Roalda, to możemy przynajmniej bardzo długo się bronić.

Mathilde się odsunęła, a on, choć niechętnie, musiał jej na to pozwolić.

Spojrzała mu w oczy.

- Ufam ci, panie. Aż boję się pomyśleć, co byłoby, gdybyś nie zgodził się nam pomóc. - Poglaskała sir Henry'ego po twarzy. - Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej, zanim Roald narobił szkody.

Sir Henry nie zdążył niczego powiedzieć ani pocałować lady Mathilde.
Zbiegła, nie oglądając się, na dół i zostawiła go samego.
Należało mu się.

Rozdział jedenasty

Tego wieczoru Ranulf wraz z Henrym zasiedli przy kominku w wielkiej sali. Damy udały się na spoczynek, a służące poznikały. Żołnierze i mężczyźni ze służb układali się do snu na posłaniach ze słomy i wkrótce chrapali zgodnym chórem. Nawet psy przestały szukać zdobyczy w sitowiu i również zasnęły.

Podczas wieczerzy Henry powiedział Ranulfowi, że większość żołnierzy i służby w Ecclesford to Anglicy lub Celtowie. Taka sytuacja była nieczęsta, przede wszystkim jednak oznaczało to, że obaj mogą swobodnie rozmawiać, nie przejmując się tym, że ktoś z blisko leżących mężczyzn ich zrozumie.

Ranulf był przyzwyczajony do milczenia Merricka, które było dla niego właściwie naturalnym stanem. Henry należał raczej do ludzi gadatliwych i wesołych, zwłaszcza po smacznym posiłku w to-

warzystwie pięknych kobiet. Tyle że tego wieczoru wypowiedział w sumie nie więcej niż dziesięć słów.

Może było tak dlatego, że lady Giselle nie zachowywała się zbyt przyjaźnie. Ranulf podejrzewał, że nadzieje Henry'ego związane z tą damą mogły zostać brutalnie rozwiane, choć przecież przyjaciel czuł się w obowiązku pozostać w Ecclesford. Z drugiej strony, nie należało wykluczać, że ten sposób bycia jest typowy dla lady Giselle. Ranulf zaobserwował przecież, że również w stosunku do niego dama utrzymuje chłodny dystans. Zresztą, pomyślał, może po prostu czuła się nieswojo w towarzystwie mężczyzn.

Lady Mathilde wydawała mu się zagadką. Podczas ablucji przed posiłkiem Henry wspomniał o jej wigorze, ale chociaż pospolita twarz damy rzeczywiście nie pozostawała przez cały czas beznamiętna, to Ranulf nie posądziłby jej o żywiłość. Cokolwiek tu się działo, bez wątpienia Henry nie przejawiał żadnych skłonności również w kierunku tej kobiety.

- Damy przygotowały smaczny posiłek - powiedział w końcu Ranulf, świadom, że zbyt natarczywe wypytywanie na pewno nie doprowadziło-
by go do pożądanego skutku.

Henry tylko skinął głową, wciąż jednak trwał pogrążony w zupełnie nietypowym dla siebie milczeniu. Najwyraźniej zwykła rozmowa nie wystarczała. Należało postawić sprawy jaśniej.

- Czy kiedy zgodziłeś się pomóc tym damom, zastanawiałeś się nad wszystkimi wynikającymi z tego komplikacjami?

Tym razem przyciągnął uwagę Henry'ego.

- Słucham?

- Czy rozważałeś kwestię, jak pobyt w Ecclesford wpłynie na twoją przyszłość?

- Zależy mi tylko na tym, aby uchronić te damy przed Roaldem.

Jeden z psów przysunął się do krzesła Ranulfa. Obwąchał go, a potem ułożył się u jego stóp.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - powiedział Ranulf i podrapał psa za uchem, żeby ukryć rosnącą irytację. - Znowu narażasz się na zarzut zdrady stanu.

- Znowu? - Henry raptownie się wyprostował. - Oszalałeś?

- Jeśli Henryk stanie po stronie Roalda, może to tak nazwać.

- Powiedziałeś, że król rozmawiał z Roaldem prywatnie. To nie wygląda na mocny sojusz.

- Owszem, ale zawsze może się wzmocnić. Poza tym Roald jest spokrewniony z królową, tak samo zresztą jak te damy. Twierdziłeś, że nie cierpisz Eleonory i jej nie ufasz.

- Bo tak jest. Pokrewieństwo tych dam z Eleonorą jest dalekie, choć i tak bliższe niż Roalda.

Ranulf przestał głaskać psa i skupił wzrok na przyjacielu.

- Nawet jeśli król nie wykaże otwartej wrogo-

ści, to rozumiesz chyba, że po tym wszystkim możesz nigdy nie dostać nadania, na jakie liczysz.

- Rycerz nie powinien się kierować korzyściami osobistymi.

- Doceniam piękne zasady - powiedział Ranulf. - Rycerzy, którzy zgromadzili już majątek i mają własne dobra, stać na taką bezinteresowność. Tyle że ani ty, ani ja nie jesteśmy bogaci, nie mamy swoich posiadłości, a ty jeszcze utrudniłeś sobie sprawę.

Henry popatrzył na przyjaciela z przyganą.

- Nie wydaje mi się, żebyś i ty szczególnie się starał o nadanie.

- Bo mnie to mało obchodzi. Tymczasem jest mi całkiem dobrze w Tregellas. Ale ty...

- Jak się ma lady Bea? - przerwał mu obcesowo Henry. - Wciąż do ciebie wzdycha?

- Nie rozmawiamy o lady Beatrice, tylko o kłopotliwej sytuacji, jaką wywołuje twój pobyt w tym miejscu.

- No cóż, najwyżej nie dostanę posiadłości od króla. - Henry wzruszył ramionami. - Do tej pory dawałem sobie radę bez tego.

Ranulf zaczął okazywać zniecierpliwienie.

- Dobrze więc. Nie będziemy rozmawiać o konsekwencjach, które ty poniesiesz. Co powiesz o Nicholasie, twojej siostrze Mariannę i Merricku?

Henry spochmurniał.

- A co mam powiedzieć?

- Jeśli król uzna, że mu się sprzeciwiasz, jego gniew może rozszerzyć się na twoich krewnych.

- Będą twierdzić, zresztą zgodnie z prawdą, że nie mieli i nie mają pojęcia, co robię.

Ta nonszalancka odpowiedź jeszcze bardziej rozeźliła Ranulfa.

- Nie zachowają się tak, a ty nie porozumiałeś się z nimi, zanim wetknąłeś nos tam, gdzie nie powinienesć.

Henry przesunął nogą polano w kominku. W powietrze wzbił się snop iskier.

- Nie jestem dzieckiem, żeby uzgadniać ze wszystkimi, co zamierzam albo dokąd jadę.

- To prawda - przyznał Ranulf. - Jesteś dorosłym człowiekiem, który powinien dobrze się zastanowić, zanim coś przedsięwzięmie. Zdaje się jednak, że taki sposób postępowania nie bardzo ci odpowiada. A co się stanie, jeśli król nie uwierzy, że twoja rodzina nie miała pojęcia, w co się wdałeś?

Henry znowu zrobił marsową minę, co dla Ranulfa stanowiło kolejny sygnał, że coś jest nie w porządku.

- Henryk i tak wyrobi sobie pogląd bez niczyjej pomocy. Gdy zechce wszędzie wietrzyć spiski, nic się na to nie poradzi. Gdyby naprawdę obawiał się buntu, nie słuchałby we wszystkim żony.

- Pst! - skarcił go Ranulf, rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie zwrócił uwagi na to zuchwałe stwierdzenie.

Henry wstał.

- Nie będę milczał ani wysłuchiwał twoich uwag, mój rzekomy przyjacielu, skoro tylko kryty-

kujesz to, co robię - oświadczył. - Ale mam szczęście do ludzi! Merrick niesłusznie oskarżył mnie, że jestem zdrajcą i próbowałem uwieść jego żonę, a ty właśnie dałeś mi do zrozumienia, że uważasz mnie za samolubnego głupca.

Wielka sala z pewnością nie była dobrym miejscem do kontynuowania dyskusji, więc Ranulf chwycił Henry'ego za ramię i wciągnął go do kuchennego korytarza.

- Załóżmy więc, że nie obchodzi cię twoja własna przyszłość ani przyszłość rodziny i przyjaciół - zaczął. - Porozmawiajmy zatem o tych damach. Jak myślisz, co się stanie, jeśli poniesiesz porażkę? - Ranulf uniósł rękę, by nie pozwolić przyjacielowi na wyrażenie sprzeciwu. - Wiesz równie dobrze jak ja, że Roald jest mściwy, okrutny i pozbawiony zasad. Nie zabije ich, bo są na to zbyt cenne, ale nietrudno zgadnąć, że wycierpią za swoje.

- Właśnie dlatego tu jestem; już przez niego wycierpiały - podkreślił Henry. - Poza tym nie przegramy.

- Czyżbyś umiał przepowiadać przyszłość? Wiesz już, jak potoczą się losy bitwy? Do diabła, Henry, masz doświadczenie i powinieneś wiedzieć, że wszystko może się zdarzyć. Zginiesz albo zostaniesz okaleczony. Twoi ludzie zostaną zdziesiątkowani i pokonani. Klęskę mogą ponieść obie strony. Wynik jest w rękach Boga, nie twoich, a woli Boga nie znamy. Jaki los spotka damy, jeśli bitwa nie skończy się po twojej myśli?

A żołnierze? De Sayres prawdopodobnie zabije każdego, kto odważył się podnieść na niego rękę.

- Nie może być w bożych planach naszej porażki - odparł Henry. - Sprawiedliwość wymaga, aby...

- Sprawiedliwość dyktują zwycięzcy - wpadł mu w słowo Ranulf. Henry spiorunował go wzrokiem. To nie był Ranulf, jakiego znał od dziecka.

- Zamilcz wreszcie i zostaw mnie samego - rzucił i zawrócił do wielkiej sali.

Przyjaciel chwycił go za ramiona i przycisnął do ściany.

- Po co to robisz? Przecież lady Giselle nie jest zainteresowana, to jasne... Henry wykonał szybki ruch i z całej siły odepchnął Ranulfa na przeciwległą ścianę.

- Nie zostałem tutaj z jej powodu - rzekł ze złością. - Zostałem, ponieważ jestem rycerzem, dla którego honor ma znaczenie. Obiecałem tym damom, że im pomogę, i dotrzymam słowa! Możesz więc wrócić spokojnie do Tregellas, a ja spełnię swój obowiązek. - Pogardliwie wydał wargi. - Nie bój się, nie będę wzywał na pomoc, ciebie, Merricka ani mojego brata. Już wiem, że to może być niebezpieczne.

Nie mniej rozeźlony Ranulf spojrzał na niego bykiem.

- Teraz ty mnie obrażasz?

- Czemu nie? - odpalił Henry, zaciskając dłonie

w pięści. - Wsunąłeś głęboko obraźliwą sugestię, że jestem tutaj wyłącznie z chciwości albo z pożądlivosti, a już wcześniej nieraz dotknąłeś mnie do żywego. Zazwyczaj traktowałeś mnie jak swojego błazna. Oto Henry, zatem można teraz się pośmiać. Henry coś powie, więc nie ma sensu brać tego poważnie. Nie zwracajcie uwagi, to tylko Henry.

- Wielkie nieba, przecież ze wszystkiego stroiłeś sobie żarty! - wykrzyknął wściekle Ranulf. - Na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, w których zachowywałeś się poważnie.

- Dolicz więc i tę - zażądał Henry, dźgając przyjaciela palcem w klatkę piersiową. - Całkiem poważnie mówię, że tu zostaje, i ani ty, ani nikt inny nie skłoni mnie do zmiany zdania.

Ranulf odtrącił jego rękę.

- Chcesz narazić damy na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

- Zamierzam ochronić je przed Roaldem, nawet gdybym miał przy tym zginąć, wracaj więc do Tregellas i powiedz Merrickowi, żeby nie wtrącał się do mojego życia. Niech da znać mojemu bratu, skoro tak dobrze się rozumieją, i powtórzy to samo Nicholasowi, który tak się o mnie troszczy, że nie zadał sobie trudu napisania do mnie bezpośrednio, tylko jak stara plotkara pyta moich przyjaciół o to, co zamierzam.

- Wyraźnie jesteś głuchy na głos rozsądku - powiedział Ranulf i odszedł kilka kroków.

- Jeśli przez głos rozsądku rozumiesz opuszczenie pań z Ecclesford i zostawienie ich na łaskę i niełaskę Roalda, to masz rację.

Ranulf przystanął przy końcu korytarza i odwrócił się do człowieka, którego, jak się okazało, wcale nie znał.

- Wyjeżdżam jutro o brzasku.

- Życzę szczęśliwej podróży.

Kiedy Ranulf odszedł, Henry bezwładnie oparł się o ścianę, dysząc jak zranione zwierzę. Miałyby zostawić Mathilde na pastwę Roalda? Nigdy! Nieważne, jakie kłopoty może to na niego sprowadzić. Nicholas, mąż Marianne, i Merrick dadzą sobie radę. Zapewni ochronę Mathilde i nic ani nikt nie zmusi go do zmiany postanowienia!

Kiedy Mathilde, dręczona niespełnionym pragnieniem i żalem, że nie pocałowała Henry'ego na schodach, weszła do wielkiej sali następnego dnia tuż przed świtem, zdziwiła się bardzo, widząc, że sir Ranulf nie tylko zdążył zejść na dół, lecz jest w pełnym rynsztunku, jakby zamierzał wkrótce opuścić Ecclesford. Jeszcze nawet niecała służba wstała, swoje obowiązki wykonywali tylko ci, którzy pracowali w kuchni.

- Dzień dobry, sir Ranulfie - powiedziała, gdy ją zauważył i skwitował jej obecność skłonem głowy. - Chyba nie myślicie, panie, opuścić nas tak szybko?

Ten rudzielec o bystrych oczach budził w niej nie mniejszy niepokój niż złe wieści, które przy-

wiózł. Sprawiał na niej takie wrażenie, jakby tym swoim lisim spojrzeniem potrafił przeniknąć wszystkie jej sekrety, poznać najgłębiej skrywane nadzieje i lęki.

- Niestety, pani, muszę - odparł. - Obowiązki wzywają mnie do Tregellas.

- Mam wobec tego nadzieję, że pogoda będzie wam sprzyjać - powiedziała, podtrzymując uprzejmą konwersację. - Sir Henry z pewnością wyrazi żal, że nie mogliście, panie, zabawić u nas dłużej.

- Zrozumie, dlaczego nie mogłem zostać.

W jego tonie usłyszała nutę goryczy. Poprzedniego wieczoru Henry wydawał się nieswój, więc zastanowiło ją, co zaszło. Wcześniej wiele razy wspominał o sir Ranulfie jako o bliskim i oddanym przyjacielu.

- Mojej siostrze będzie przykro, że wyjechaliście, panie, zanim zdążyła się z wami pożegnać.

W orzechowych oczach Ranulfa pojawił się dziwny wyraz.

- Czyżby?

- Przyjaciel sir Henry'ego jest również naszym przyjacielem.

Sir Ranulf zerknął na schody prowadzące do komnat sypialnych. Czyżby wypatrywał Giselle? - zadała sobie w duchu pytanie Mathilde. Zaraz jednak odwrócił się do niej i przeszył ją tym swoim niepokojącym spojrzeniem.

- Pani, czy zanim odjadę, moglibyśmy zamienić kilka zdań na osobności? Chodzi o Henry'ego.

Ciekawość Mathilde natychmiast wzrosła, lecz jednocześnie nasilił się i lęk. Pomyślała, że spojrzenie sir Ranulfa ku schodom mogło mieć inny cel. Czy nie chodziło mu o uniknięcie spotkania z przyjacielem?

- Naturalnie, możemy porozmawiać w komnacie na wieży.

Znalazłszy się na miejscu, skonsternowana tajemniczym zachowaniem sir Ranulfa, zapaliła świece w wysokim lichtarzu przy oknie zasłoniętym płótnem dla zmniejszenia przeciągu. Gdy płomienie zamigotały, wskazała gościowi krzesło.

- Usiądźcie, panie.

Skorzystał z zaproszenia i znowu przeszył ją wzrokiem.

- Pani, jak poznałaś Henry'ego?

Nie spodziewała się takiego pytania, więc zawahała się przed odpowiedzią. Co sir Ranulf o niej pomyśli, jeśli powie mu prawdę? Postanowiła ujawnić jedynie jej część.

- Zatrzymał się w pobliskiej gospodzie, a ponieważ potrzebowaliśmy rycerza, który obroniłby nas przed kuzynem, zwróciliśmy się do niego z prośbą o pomoc.

- Czy zrozumiał dokładnie, dlaczego potrzebujecie jego pomocy i przeciwko komu? - spytał sir Ranulf.

- Tak - potwierdziła.

Sir Ranulf wsparł łokcie na kolanach, splótł dłonie i pochylił się naprzód.

- A czy ty, pani, na pewno zdawałaś sobie sprawę z tego, o co go prosisz?

Mathilde drgnęła, ale zachowała pozę pełną godności.

- Nie rozumiem, co macie na myśli, panie.

- Zdaje się, że nikt tutaj, z Henrym włącznie, nie zastanowił się nad konsekwencjami tego postępowania dla niego, jego rodziny i przyjaciół. Rozumiem, że znalazłaś się, pani, wraz z siostrą, w położeniu nie do pozazdroszczenia, ale Henry nie jest dostatecznie potężny, aby mógł pozwolić sobie na wywołanie gniewu króla Anglii. Zresztą, nawet jeśli zwycięży w bitwie z Roaldem i ocali wasz spadek, jego życie może znaleźć się w niebezpieczeństwie z innych powodów. Poza tym jego szanse na uzyskanie królewskiego nadania bardzo zmaleją. Co więcej, może zostać wplątany w tę sprawę również lord Dunkeathe, który rzeczywiście ma swoje wpływy i włączy się, jeśli Henry znajdzie się w niebezpieczeństwie. Podobnie postąpi siostra Henry'ego, która bardzo go kocha. Jest wreszcie Merrick, pan Tregellas, dobry przyjaciel Henry'ego i sojusznik królewskiego brata, hrabiego Kornwalii. Henryk Trzeci może dopatrzeć się w tym spisku z udziałem nas wszystkich.

Prawdę mówiąc, Mathilde nie rozważała tak wielu konsekwencji zaangażowania Henry'ego, ale bardzo nie spodobała jej się sugestia, że z lekkomyślności nie bierze pod uwagę niebezpieczeństw grożących Henry'emu.

- Nikt go nie zmuszał, panie. Przyjechał tutaj, bo podjął decyzję, że jako rycerz wystąpi w obronie dam. Przyznaję, że nie pomyślałam o wszystkich następstwach, jakie może to mieć dla sir Henry'ego, ale jak inaczej miałam postąpić, panie? Oddać Ecclesford Roaldowi i żywić nadzieję, że okaże nam łaskę?

Jednak jeszcze zanim przebrzmiały te słowa, wróciły do niej dawne lęki i wyrzuty sumienia. Znała je aż za dobrze. Przecież tak naprawdę wmówiła sobie, że Henry'emu nic nie grozi. W rzeczywistości dobrze wiedziała, że każdy, kto przychodzi jej z pomocą, staje się wrogiem Roalda, a zapewne naraża się też na gniew królowej Eleonory.

Tymczasem Ranulf stopniowo zmieniał stanowisko i z bezwzględnego oskarżyciela stawał się współczującym doradcą.

- Powiedz mi, pani, czy naprawdę chcesz, żeby Henry zginął lub z twojego powodu zniszczył sobie życie? Dla jego własnego dobra, a także dla dobra jego rodziny i przyjaciół proszę cię, abyś pozwoliła mu odjechać.

- Potrzebujemy go.

- Nie, pani - odparł beznamiętnie sir Ranulf, jakby nie była to kwestia życia i śmierci. - Możecie opuścić ten zamek, poszukać schronienia i walczyć o swoje metodami zgodnymi z prawem.

Jak śmiał ten nieznajomy mężczyzna pouczać ją, co należy robić?! - oburzyła się w duchu Mathilde. Przecież starała się za wszelką cenę uniknąć bitwy, choć na poddanie zamku nie mogła się zgodzić.

- To Roald wywołuje wojnę, nie ja. Jeśli Henry

zdecyduje się nas opuścić, nie zamierzam go zatrzymywać. Powinniście jednak, panie, być dumni, że macie za przyjaciela człowieka honoru, prawdziwego rycerza, zamiast namawiać go do samolubnego tchórzostwa.

- Co ty wyrabiasz, na miły Bóg, Ranulfie? - odezwał się Henry.

Oboje odwrócili się i ujrzeni go na progu komnaty. Stał oparty o framugę, jakby siłą ramion chciał poszerzyć drzwi.

Taki wściekły nie był jeszcze nigdy w życiu. No, nie. Może raz, kiedy dowiedział się, jak Roald skrzywdził Mathilde. Czerwone płatki latały mu przed oczami. Człowiek, który mienił się jego przyjacielem, najpierw próbował go besztać jak dziecko, a teraz miał czelność za jego plecami niepokoić Mathilde!

- Dlaczego tu jeszcze jesteś, Ranulfie? - spytał, wchodząc do komnaty. - Chcesz zniszczyć resztki mojej reputacji? Nie wystarczy ci, że Merrick nazwał mnie Judaszem i omal nie zabił?

- Usiłuję powstrzymać cię przed popełnieniem największego błędu w życiu - odparł Ranulf, wstając.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony. Musisz jednak przyznać, że sam nie jesteś wzorem wszelkich cnót. Rodzina się od ciebie odcięła, prawda? A może wygodnie ci było o tym wszystkim zapomnieć?

Ranulf zaczerwienił się z gniewu. Henry wiedział, że uderza poniżej pasa, ale mało go to w tej chwili obchodziło. Ranulf popełnił jeszcze większą nielojalność, zwracając się do Mathilde.

- Moja przeszłość nie jest tu ważna - zauważył ze złością Ranulf. - Bardziej niepokoi mnie teraźniejszość, to, co robisz i co może z tego wyniknąć dla ciebie, twojej rodziny i przyjaciół. Nicholas mieszka w

Szkocji, ale Henryk ma długie ręce, a Eleonora jeszcze dłuższe. A co z Merrickiem? Czy dbasz o nich mniej niż o dwie damy, których kilka tygodni temu jeszcze nie znałeś?

Henry zerknął na Mathilde. Twarz miała bladą, w oczach odbijało się cierpienie, ale stała wyprostowana i przyglądała im ślę chłodnym wzrokiem.

- Nie opuszczę pań Ecclesford.

Rozległo się bicie kościelnego dzwonu: trzy uderzenia, przerwa i znowu trzy uderzenia.

- Go to znaczy? - spytał Ranulf, spoglądając to na Henry'ego, to na Mathilde, którzy wymienili zatroskane spojrzenia.

- To znaczy, mój przyjacielu - odrzekł Henry, z ironią podkreślając ostatnie słowo - że nadjeżdża Roald. Jeśli chcesz uciekać do Tregellas, musisz się pospieszyć.

- A ty odjeżdżasz?

- Dopiero kiedy Roald będzie pokonany lub martwy.

Ranulf przesłał mu spojrzenie, z którego biło zdecydowanie.

- Wobec tego zostaję. Jak słusznie zwróciłeś uwagę, rodzina mnie wydziedziczyła, więc im moje postęпки nie mogą w żaden sposób za-

szkodzić, a Merrick jest już i tak zamieszany w ten spór dzięki tobie. Nie zapomniałem przecież, że przysięgliśmy sobie braterstwo broni.

- Nie potrzebujemy twojej pomocy - powiedział Henry.

- Drużyna nigdy nie powinna odrzucać dodatkowego wsparcia. Tak mawiał sir Leonard.

- Nie sędzę...

Mathilde stanęła między nimi. Stawką było Ecclesford i bezpieczeństwo jej siostry, więc bez wahania oceniła, co jest naprawdę ważne.

- jeśli chcecie nas wesprzeć, sir Ranulfie, moja siostra, nasi ludzie i ja będziemy ogromnie wdzięczni.

Sir Ranulf uśmiechnął się ironicznie, co jeszcze bardziej upodobniło go do lisa. Z tą miną skłonił się dwornie przed Mathilde.

- Wobec tego z przyjemnością zostaję. Proszę korzystać z mojej obecności wedle woli, pani. Ty dowodzisz.

Rozdział dwunasty

Na dziedzińcu panował chaos. Pełno było wozów, dużych i małych, oraz ludzi szukających schronienia, którzy tłumnie napływali przez bramę.

Kury gdakały i biły skrzydłami, gęsi gęgały, psy szczekały, a krowy, ciągnięte ku stajniom, wyrażały swój protest muczeniem.

Wyszedłszy na mury, Mathilde stwierdziła, że Giselle i Cerdic już tu są, stoją obok siebie ramię w ramię i obserwują drogę prowadzącą do wsi.

Bez słowa spojrzała w tę samą stronę. Ciągnął się tam nieprzerwany strumień ludzi i zwierząt zmierzających do zamku, a w oddali widać już było drużynę Roalda oraz porzecz powiewający swobodnie na październikowym wietrze. Jeśli sądzić z błysków metalu, Roald sprowadził do Ecclesford znacznie więcej ludzi, niż przewidywała.

- Jak sądzisz, ilu ich jest? - spytał Henry Ranulfa, jakby czytał w myślach Mathilde.

- Przynajmniej dwustu - ponuro odparł Ranulf. - Gdy jest szansa na łupy, zawsze można zebrać dużo ludzi.

Mathilde złożyła ręce do modlitwy. Wiedziała już, jak licznego wojska można się spodziewać u bram Ecclesford, pozostawała jej więc nadzieja, że wszyscy mieszkańcy wsi zdążą się schronić w zamkowych murach. Gdy Roald wraz z swoim wojskiem podszedł bliżej i można było się zorientować, jak uzbrojeni są żołnierze, Henry zaklął pod nosem i zwrócił się do Ranulfa:

- Popatrz na tego bydlaka w hełmie z pióropuszem, jadącego obok Roalda. Czy dobrze go poznaję?

Ranulf skierował wzrok zgodnie ze wskazaniem palca Henry'ego i syknął, a potem zaklął nie mniej soczyście niż przyjaciel.

- Kto to jest?! - spytała zaniepokojona ich reakcją Mathilde.

- Nie chciałem cię przestraszyć, pani - odparł Henry. - Zresztą, nie powinienem być zaskoczony, że u boku Roalda widzę Charlesa de Malle-maison.

- Kim jest Charles de Mallemaison?

- Najemnikiem.

- Złej sławy najemnikiem - dodał Ranulf. - Nie przypuszczałbym, że Roalda będzie na niego stać. Reszta tych ludzi w czasie, kiedy nie wojuje, bez wątpienia zajmuje się rozbojami i mordowaniem.

Henry przesłał Ranulfowi potępiające spojrzenie. Mathilde zmartwiała. Kątem oka zauważyła, że

Giselle wsuwa rękę w dłoń Cerdica, i pożałowała, że zadała pytanie. Z

drugiej strony, powinni jednak wiedzieć, z kim mają do czynienia. Giselle nie była dzieckiem, a Cerdic mógł któregoś dnia zostać panem Ecclesford. Najpierw jednak musieli pokonać Roalda i kupione przez niego wojsko.

- Nie ma znaczenia, kim są ci ludzie i co wcześniej robili - odezwał się Henry. - Nasi żołnierze potrafią pokonać złodziei i morderców, którzy walczą wyłącznie dla własnego zysku i nie zwykli słuchać rozkazów. Tego Roald nie wziął pod uwagę.

- Poza tym nigdy nie ćwiczył u sir Leonarda - zauważył Ranulf, jakby był to istotny warunek powodzenia.

- To oczywiste, że zwyciężymy - oświadczył Cerdic, podchodząc bliżej. - Możemy pobić każdą zbieraninę, którą Roald tu sprowadzi.

- Naturalnie - poparł go Ranulf. - Zwłaszcza teraz, kiedy i ja jestem z wami.

Mathilde nie była pewna, czy nie jest to żart, podobnie zresztą jak Giselle, która zbliżyła się do Henry'ego i spytała:

- Cerdic pozostaje zastępcą dowódcy, prawda?

- Nie chcę być tutaj dowódcą ani nikim takim. Henry może mnie traktować jak zwykłego żołnierza - oznajmił sir Ranulf.

- Panie na Ecclesford! - zagrział Roald przed suchej fosy.

Na dźwięk jego głosu Mathilde podeszła do krawędzi murów i stanęła w przerwie między dwoma blankami, aby Roald mógł ją zobaczyć.

Henry natychmiast bezceremonialnie ściągnął ją stamtąd i pchnął za blank.

- Uważaj! Pewnie już mierzą do ciebie jego łucznicy!

O tym nie pomyślała.

- Głos ci odjęło, Mathilde? - krzyknął ponownie Roald. - Chyba nie jesteś zaskoczona, że znów mnie widzisz? Powiedziałem przecież, że wrócę, i jestem. Z poparciem króla i wojskiem pod komendą. Okaż rozsądek i skończmy z tym od razu. Otwórz bramy, pozwól wejść mnie i moim ludziom. Poddajcie się bez walki, a nikomu nie stanie się krzywda.

- Raz mnie oszukałeś, Roaldzie! - odkrzyknęła Mathilde. - Nigdy więcej na to nie pozwolę. Nie uda ci się opanować Ecclesford nawet z wojskiem, które tu zgromadziłeś. Na to nie licz!

- Jest z tobą gromadka słabo wyszkolonych żołnierzy i mnóstwo wystraszonych wieśniaków w zamku. Nie masz szansy przeciwko moim ludziom! - odparł Roald.

- Jeden mój żołnierz wart jest całej twojej zbieraniny - nie ustępowała Mathilde. - Możesz się znaleźć w tym zamku, Roaldzie, jedynie wtedy, gdy wniosą cię martwego na desce. Powiedz to swoim ludziom, a zwłaszcza temu bydlakowi, który siedzi na twoim koniu.

- Mathilde! - zachnęła się Giselle, a trzech mężczyzn obok niej wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Ty głupia wywłoko! - zagrział Roald. - Zapłacisz za to i za wszystkie inne obelgi! Pożałujesz, że odmówiłaś mi praw! Dopilnuję, żebyś na kolanach błagała o przebaczenie.

Henry podniósł z ziemi kamień, zamachnął się i cisnął nim przed siebie. Rozległ się brzęk, pocisk trafił dokładnie w lśniący hełm Roalda.

- Na Boga! Ty nędzna...

- Żałuję, że to nie włócznia - przerwał Roaldowi Henry. - Kiedy byłem mały, rzucałem kamieniami w ptaki niszczące zasiewy. Wygląda na to, że nie straciłem celności.

- Postaram się zabić cię osobiście!

- Próbuj - odparł Henry. - A potem, de Mallemaison, zajmę się tobą.

Charles de Mallemaison uniósł przyłbicę i Mathilde ujrzała część twarzy, która wyglądała jak z nocnego koszmaru.

- Zapraszam, sir Henry - odparł, skłaniając głowę. - Mam dług wobec twojego brata, muszę mu odpłacić za bliznę, która przecina mi twarz. Twoje zwłoki uważam za godną rekompensatę. Ta śliczna blondynka będzie musiała zadowolić się kimś innym.

Giselle pobladła i zamknęła oczy. Mathilde natychmiast do niej podeszła.

- Giselle, czy...

Przytrzymując się z całej siły Cerdica, Giselle otworzyła oczy. Biła z nich najczystsza nienawiść.

- Nie zemdleję, Mathilde. Modliłam się, aby Bóg zesłał na niego rychłą śmierć.

- Jeśli Bóg tego nie załatwi, to go wyręcę -

zapowiedział Cerdic. - Nie ty go zabijesz, Henry. On jest mój.

- Niestety, przyjacielu, tego obiecać nie mogę. Jeśli będę miał szansę, zginie z mojej ręki.

- Nie - odparł Cerdic. - Chcę...

- Wpuść mnie, Mathilde! - krzyknął Roald, przerywając spór. - Wpuść mnie, bo jak mi Bóg miły, powieszę cię na murach.

- Odejdź, Roaldzie - odparła. - Prędzej zginę, niż wpuszczę cię do mojego zamku!

Giselle zbliżyła się do przerwy między blankami i pełną piersią zawołała:

- Jestem gotowa się zabić, byle tylko ten twój obslizgły lizus mnie nie dotknął!

Najemnik ryknął śmiechem, ale Roald spurpurowiał na twarzy.

Gwałtownie szarpnął wodzami, zawrócił konia i przejechał przez linię swoich żołnierzy, a za nim podążył nieco wolniej de Mallemaison.

Patrząc na to, Mathilde przysięgła sobie w duchu, że ani ona, ani Giselle nie będą bezbronne, gdyby zdarzyło się tak, że wróg zrobi wyłom w zamkowych murach. Wolałyby zginąć, walcząc, niż pozwolić, aby Roald lub któryś z jego ludzi zbliżył się do niej.

- Zakładam, Henry, że masz przygotowany plan na taki rozwój wypadków - odezwał się sir Ranulf.

Henry skinął głową i lekko klepnął przyjaciela w ramię.

- Bardzo wstępny. Na pewno uznasz, że wy-

maga poprawek i że jesteś człowiekiem, który powinien je zgłosić.

Cerdic, chodź z nami. Mam zadanie dla kilku naszych najlepszych ludzi.

Czy damy również zechcą do nas dołączyć?

Mathilde już się zastanawiała, czy nie zostaną pominięte.

Giselle pokręciła głową.

- Muszę sprawdzić, czy jest dość ziół i opatrunków, bo mogą się przydać.

- Plany bitewne pozostawiam żołnierzom - odrzekła Mathilde. -

Sprawdzę, czy dla wszystkich znalazło się miejsce.

- Wobec tego do zobaczenia później - zdecydował Henry. - Chodźcie, przyjaciele. Musimy opracować plan bitwy. Spodziewam się, że Roald zaatakuje już jutro. Nie jest cierpliwy, a i nadmiarem inteligencji nie grzeszy.

Tego wieczoru Mathilde stała przy oknie w swojej komnacie i przyglądała się niewielkim błyskom ognia w oddali, gdzie nieprzyjaciel rozbił obozowisko. Najwyraźniej zajęto część zabudowań wsi.

Dolatujące niekiedy ochryple okrzyki i śpiewy świadczyły o tym, że ludzie Roalda znaleźli w szynku wino i piwo, które karczmarz w odruchu optymizmu tam zostawił. Zastanawiała się, czy słyszy on odgłosy zabawy i żałuje swojej decyzji. Z drugiej strony, pewnie i tak był zadowolony, że znalazł schronienie w zamku. Od żołnierzy wieśniacy zdążyli już dowiedzieć się, jakiego rodzaju wojsko stanęło przed murami,, więc Mathilde mu-

siała zapewnić wszystkich, że zarówno sir Henry, jak i sir Ranulf i Cerdic są pewni trwałości zamkowych murów.

Wtedy w to wierzyła, teraz jednak, przyglądając się wrogowi w mroku, czując obecność Roalda tuż za zamkową bramą, obawiała się, że popełniła błąd, stawiając opór kuzynowi. Nie należało upierać się przy walce, narażać Giselle, mieszkańców zamku i wsi, sir Henry'ego, jego bliskich i przyjaciół. Może jednak lepiej zrobiłaby, gdyby poddała zamek. Sir Ranulf słusznie zwrócił uwagę, że mogłyby z Giselle opuścić dom i poszukać schronienia w klasztorze do czasu rozstrzygnięcia sporu o spadek.

A co z Henrym? Czy żałuje, że zgodził się przyjść im z pomocą? Czy i on teraz nerwowo chodzi po swojej komnacie, zamiast spać? Może przeklina własną głupotę i szuka honorowego wyjścia, które pozwoliłoby mu się wycofać. Wcześniej nie zdradzał takiej chęci i nawet nie wydawało się, że ma jakiegokolwiek wątpliwości. Ani na murach, ani potem podczas wieczerzy w wielkiej sali, którą pobłogosławił ojciec Thomas, a spożywało wspólnie mnóstwo ludzi. Sprawiał raczej wrażenie człowieka, który nie może doczekać się początku walki. Czy i teraz był zanadto podekscytowany, aby zasnąć? Musi być wypoczęty, jeśli nie chce odnieść ran w walce lub, co gorsza, zginąć. Prawdę mówiąc, sir Henry bezpośrednio w walce chyba nie musi brać udziału. Jego zadaniem jest dowodzić i dlatego powinien trzymać się na uboczu bitewnego zgiełku. Nie była jednak pewna, czy nienawiść do Roalda nie skłoni go do wypadu poza mury. Może chcieć osobiście zabić wroga. Gdyby stanął do walki niewyspany...

Zarzuciła chustę na ramiona i sięgnęła po kasetkę Giselle z ziołami. Siostra miała tynkturę pomagającą zasnąć, a Mathilde nieraz z niej korzystała, zwłaszcza po dramatycznym przeżyciu z Roaldem. Wyjęła z kasetki słoiczek zamknięty woskowaną szmatką. Uniosła ją i powąchała zawartość. W nozdrzach poczuła znajomy zapach maków. Tak, to była właściwa tynktura.

Trzymając słoiczek w dłoni, podeszła cicho do drzwi i uchyliła je, żeby wyrzucić na korytarz. Tak jak podejrzewała, zauważyła smugę światła pod drzwiami komnaty Henry'ego. Postanowiła dać mu tynkturę i wytłumaczyć, jak należy ją zażywać, a potem natychmiast wrócić do siebie. Nie wejdzie do jego komnaty i na wszelki wypadek najpierw cicho zapuka, gdyby jednak już spał.

Szybko przystąpiła do realizacji planu. Mimo że pukanie było bardzo ciche, drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Na progu ukazał się Henry w rozpiętej koszuli i w bieliźnie, bez pasa, bosy.

- Zaatakowali? - spytał, przyglądając jej się w napięciu.

Pokręciła głową.

- Nie. Obawiałam się, że nie możesz zasnąć, panie, więc przyniosłam ci to.

Sir Henry zmierzył podany słoiczek nieufnym spojrzeniem.

- Co to jest?
 - Giselle robi tę tynkturę z maków. Jest dobra na sen, panie.
 - Mimo to ty, pani, jeszcze nie śpisz.
 - Ja nie będę jutro prowadzić ludzi do bitwy.
 - Dziękuję bardzo, ale musiałbym dużo tego wypić, żeby zasnąć, a potem o świcie nie mógłbym się pozbyć ospałości. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, pani, dotrzyмай mi towarzystwa. - Szerzej otworzył drzwi. Zawahała się. Była jedynie w chuście narzuconej na nocny strój, on zaś miał na sobie tylko bieliznę i rozpiętą koszulę, spod której wyzierał owłosiony tors.
 - Chciałem porozmawiać, pani. Słowo daję, że nic więcej - zapewnił. Gdyby wiedział, jakie tęsknoty dręczą ją w tej chwili, zrozumiałby, że jego prośba nie jest łatwa do spełnienia. Musiała mu się jednak przynajmniej tak odwdzięczyć za pomoc. Z ociąganiem weszła do komnaty. W kącie stał okrągły stojak na dwadzieścia świec i to on był źródłem światła. Na stole zauważyła skibę chleba, kielich i karafkę z winem. Kolczuga leżała na łóżku, gdzie połykiwał też hełm.
 - Sprawdziłem, czy w kolczudze nie ma pękniętych ani zgiętych ogniów - wyjaśnił Henry. - Sir Leonard wbił nam do głowy, że przed walką należy bardzo dokładnie przejrzeć ekwipunek, bo uszkodzenie zbroi może nas kosztować życie.
- Nagle Mathilde oczami wyobraźni zobaczyła wykrzywioną z bólu twarz Henry'ego, który padł na polu bitwy. Wyjątkowo nie było to szyderczo uśmiechnięte oblicze Roalda, którego obraz często ją prześladował. Odstawiła słoiczek na stół.

- Twojemu życiu, panie, nie powinno nic grozić - powiedziała, nie patrząc na niego. - Nie wolno ci się włączać do walki. Nie możesz pozwolić, aby cię zraniono lub zabito.

- Nie zamierzam doznać ran ani tym bardziej zginąć. Planuję być całkiem żywy, kiedy będziemy świętować zwycięstwo.

To radosne oświadczenie podziałało jak balsam na duszę Mathilde.

Przysiadła na wskazanym krześle, ciaśniej otulając się chustą. Henry zajął miejsce na łożu.

- Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś, pani, aby zakłóciło twój spokój gadanie Ranulfa. Wierz mi, że gdyby Merrick, Nicholas i moja siostra powiedzieli, że działałem bez ich wiedzy, większość ludzi uwierzyłaby w to bez wahania.

- Mimo wszystko jest mi ciężko z myślą, że pomagając nam, narażasz na szwank stosunki z rodziną i przyjaciółmi.

- Tym nie musisz się martwić, pani. Rzadko widuję siostrę, która wciąż jest bardzo zajęta mężem i rodziną. Z bratem też nie rozmawiamy w cztery oczy. Zresztą, bardziej przypomina niezadowolonego ojca, bo jest ode mnie o wiele lat starszy. Co do Merricka... - Zapatrzył się w odległy punkt, jakby nagle opuścił tę komnatę. - Bardzo

niewiele było trzeba, aby uwierzył, że go zdradziłem. Uwięziono mnie w lochu w Tintagel, gdzie Merrick mnie pobił i oznajmił mi, że zostanę stracony jako zdrajca.

Henry wstał i podszedł do okna.

- Jeśli wolisz o tym nie mówić, panie, uszanuję to - zapewniła Mathilde.

Odwrócił się do niej.

- Myślę, że właśnie ty, pani, potrafisz zrozumieć, jak bardzo czułem się zdradzony i zagubiony.

Skinęła głową.

- Każdej chwili, którą spędziłem w tej norze, towarzyszyły ból i rozpacz. Bałem się byle odgłosu, zwłaszcza kroków, bo te mogły oznaczać śmierć.

- Przeczesał dłonią włosy. - Jeszcze teraz, kiedy czuję zapach wilgotnych kamieni, wraca do mnie lęk.

To również rozumiała. Ją też dręczyły nieproszone wspomnienia, czyhały na nią, kiedy najmniej ich się spodziewała.

Niepewnym gestem wskazał świecznik w kącie.

- Boję się nawet być sam w ciemności.

Jak mogła nie kochać tego człowieka? Potrafił wykrzesać z siebie tyle siły i pewności siebie, mimo że przez cały czas musiał walczyć z upiorami.

Jego pogodne usposobienie było naprawdę godne podziwu. Podeszła do Henry'ego. Chciała go objąć, bała się jednak, że wyzwoli w ten sposób siłę nie do opanowania.

- Ja też boję się ciemności - przyznała - ale i za dnia wracają do mnie koszmarne wspomnienia tego, co zrobił mi Roald.

- Współczuję ci, Mathilde.
- Ja tobie też - szepnęła, dotykając jego policzka, pokrytego świeżym zarostem. - Nie chcę, żebyś za mnie umarł, Henry. Wolę, żebyś stąd odjechał.

Przykrył jej dłoń swoją i pokręcił głową.

- Jeśli zginę, to po rycersku, z honorem, w obronie damy, którą kocham. Wciąż dotykała jego twarzy. Chciała, aby jej wysłuchał i dobrze ją zrozumiał.

- Wiem, że jesteś dzielnym, dobrym i honorowym człowiekiem, gotowym oddać za nas życie, ale nie zniosłabym, gdyby do tego doszło. Nie potrafiłabym udźwignąć poczucia winy, gdybym miała na sumieniu twoją śmierć. - Opuściła ręce. - Proszę, Henry, odjedź. Jeszcze teraz. Pokręcił ponownie głową.

- Nie mogę, Mathilde. Nie mogę zostawić ciebie i innych, kiedy oblega was horda rzezimieszków Charlesa de Mallemaison. — Poglaskał ją po policzku. - Twoi ludzie są gotowi do tej konfrontacji. Zwycięzimy. Nie wątpię w to ani przez chwilę. A ja jestem tutaj dlatego, że chcę, - Pochylił się tak, że patrzyła teraz prosto w jego ciemne, pytające oczy. - Czy obiecasz mi o tym pamiętać?

- Spróbuję - wybąkała.

- Kocham cię. Pokręciła głową.

- To niemożliwe - szepnęła.

- Myślisz, Mathilde, że nie wiem, co czuję?
- Myślę, że jesteś dobry, wielkoduszny i...
- I głupi, bo nie potrafię rozeznaczyć się we własnych uczuciach?
- Och, nie. Przepraszam. Nie chciałam powiedzieć...

Ujął ją za rękę.

- Dobrze wiem, co do ciebie czuję, Mathilde. Sądzisz, że nie można pokochać kobiety, w której sile i determinacji jest tyle piękna?

Podziwiam cię, bo jesteś dzielna jak rycerz i bystra jak uczony, a twoje pocałunki budzą we mnie pożądanie. Jak mógłbym cię nie kochać?

Otworzyła usta, aby zaprotestować, ale głos serca okazał się silniejszy.

Wspięła się więc na palce i musnęła wargi Henry'ego. Ani się obejrzała, a włożyła w pocałunek namiętność, którą do tej pory skrywała. To przecież mógł być ostatni raz, ostatnia noc. Teraz albo nigdy. Pragnęła oddać mu nie tylko swoje serce. Chciała należeć do niego cała, do mężczyzny, którego kocha. Przytuliła się i spojrzała w jego zamglone pożądaniem oczy.

- Weź mnie, Henry, proszę - szepnęła. - Tak bardzo cię pragnę.

- Nie, Mathilde. Nie mogę. Nie zrobię tego. - Na jego twarzy malowało się cierpienie. - Bóg mi świadkiem, że chcę być z tobą. To jednak niemożliwe i dlatego muszę dziś powiedzieć „nie”. - Cofnął się. - Nie mogę zaproponować ci małżeństwa, Mathilde.

Małżeństwa? O tym w ogóle nie pomyślała.

Przecież Henry powinien poślubić kobietę, która jest niewinna, nie została splamiona dotykiem innego mężczyzny.

- Nie wspomniałam o małżeństwie. Zmarszczył czoło. Powoli zaczął rozumieć.

- Chcesz mnie bez obietnicy ślubu?

- Zasługujesz na lepszą żonę niż...

- Och, Mathilde, moja kochana! - krzyknął, czule ją obejmując. - Źle mnie zrozumiałaś!

Przyglądała mu się w napięciu, wyczekując następnych słów. Może nie wszystko stracone.

- To ja nie jestem godzien ciebie. Co to za rycerz? Bez zamku, majątku, domu! Nie mam niczego, co mógłbym ci dać.

- Niczego? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Siebie nazywasz niczym?

- Jestem tylko wesółkiem, który umie to i owo i lubi opowiadać zabawne historie - odparł zawstydzony.

Położyła dłonie na jego muskularnych ramionach i powiedziała z przekonaniem:

- Jesteś mężczyzną, przy którym znowu czuję, że żyję, chociaż sądziłam, iż nie podniosę się po tym, co zrobił Roald. Dzięki tobie znowu zaczęłam się śmiać, odzyskałam radość. Dałeś mi poczucie bezpieczeństwa, obudziłeś we mnie pożądanie. Kocham cię, Henry, całym sercem.

- Naprawdę? Kochasz mnie?

- Kocham, chociaż jestem niegodna...

- Przecież za podłość Roalda nie ponosisz winy - zaproponował, okrywając pocałunkami wargi,

policzki i szyję Mathilde. - On cię okradł, i tyle. - Uśmiechnął się wesoło.
- Poza tym ja też nie zaliczam się do prawiczków.

Tylko Henry potrafił znaleźć potrzebne słowa i uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć. Przy nim znów była tą samą kobietą co kiedyś, zanim Roald zniszczył jej życie.

- Nie martw się o pieniądze i ziemię - powiedziała. - Kiedy się pobierzemy, wniosę jedno i drugie w posagu. Jeśli się pobierzemy - poprawiła znowu zalęknioną,

- Chcę cię poślubić i pragnę tak jak żadnej kobiety. - Przykląkł na jedno kolano i ujął ją za rękę. - Kiedyś obiecałem sobie, że ożenię się tylko z kobietą, którą pokocham. Ciebie obdarzyłem miłością. Wiem, że na ciebie nie zasługuję, Mathilde, ale czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zechcesz mnie poślubić?

- Nie powinnam przyjąć tych oświadczeń - odparła, pomagając mu wstać.
- Mógłbyś znaleźć kogoś lepszego, ale jestem zbyt słaba, aby powiedzieć „nie”.

Z promiennym uśmiechem zamknął ją w mocnym uścisku.

- Słaba? Nic podobnego, kochanie. Różne rzeczy można o tobie powiedzieć, ale z całą pewnością nie to.

Pocałował ją czule.

- Weź mnie, Henry, proszę, teraz - szepnęła Mathilde.

Spojrzał na nią z powagą.

- Nie sposób przewidzieć, jak potoczy się bitwa. Ufam żołnierzom i wierzę w nasz plan, ale zdarzają się najrozmaitsze przypadki. Mogę zgi

nać, a jeśli zostawię cię z dzieckiem...

- Nic nie sprawiłoby mi większej radości - odrzekła z głębokim przekonaniem. - Byłabym dumna, że jestem matką twojego dziecka. Zresztą ludzie i tak dowiedzieli się o mojej hańbie. Co nowego mogliby jeszcze powiedzieć?

Widziała, że Henry walczy z sobą. Rozumiała to.

- Proszę - szepnęła, głaszcząc go po klatce piersiowej. Zachwyciło ją, że potrafi być czuły, niczym żółtodziób porażony pierwszą miłością, a zarazem twardy jak jego przodkowie. - Proszę, nie odsyłaj mnie do komnaty.

Rozdział trzynasty

Henry skapitulował. Znowu objął Mathilde i namiętnie ją pocałował. Zachwycona, poddała się ogarniającym ją doznaniom, zapominając o poczuciu winy i wyrzutach sumienia. Przesuwała dłońmi po nierównościach na rozgrzanej skórze Henry'ego, poznawała dziesiątki blizn, które opowiadały o różnych minionych wydarzeniach. Kiedy zdjęła mu koszulę, mogła przyjrzeć im się dokładnie, każdą też z pietyzmem pocałowała.

- Jeśli będziesz chciała, abyśmy przestali, kochanie, wystarczy, że powiesz - szepnął Henry.

- Pocałuj mnie. Pocałuj mnie i pomóż mi zapomnieć.

- Spróbuję. Kocham cię i bardzo tego chcę.

Dotykał Mathilde delikatnie, a zarazem podniecająco, jednak czuła, że Henry bardzo się pilnuje. Musiała postarać się, żeby zapomniał o wszystkich skrupułach, bo inaczej będzie traktował ją jak kruchą, bezbroną istotę. Przyciągnęła go więc mocniej do siebie. Henry łatwo dał się przekonać, że tej nocy Mathilde naprawdę pragnie wszystkiego. Wiedział też jednak, że nie wolno mu się zanadto spieszyć. Przez dłuższy czas wymieniali więc pocałunki, ciesząc się swoją bliskością. Wreszcie Henry cofnął się o krok, ujął Mathilde za rękę i zaprowadził do łóża.

Chciał zgasić świece, ale go powstrzymała.

- Nie. Wolę cię widzieć. Twoją twarz i ciało. Uśmiechnął się, urzeczony jej śmiałością.

- Ja też chcę widzieć ciebie, jeśli tylko sobie tego życzysz.

Zdjęła chustę, a potem drżącymi rękami rozwiązała troczek przy koszuli. Cienka tkanina wolno zsunęła się do połowy ciała, a gdy Mathilde poruszyła biodrami, opadła na podłogę. Henry położył jej ręce na ramionach i zaczął powoli przesuwać je w dół.

- Piękna jesteś, Mathilde.

- Przecież wiem, że nie jestem. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Mnie podobasz się jak żadna inna kobieta na świecie. I już zawsze tak będzie. Twoja uroda nigdy nie zwiędnie, bo promienieje z wnętrza.

- Uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił. - Właściwie całkiem mnie to cieszy, że tylu mężczyzn jest na nią ślepych.

Objęła go w pól.

- Zdaje się, że i ty jej nie dostrzegłeś, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- To cios poniżej pasa, pani. Wtedy zostałem zaskoczony w niewygodnej sytuacji. Byłem na straconej pozycji.
- Gdy cisnąłeś mnie na łóżko, też byłam zaskoczona. Pocałował ją w czubek nosa.
- Powinnaś się cieszyć, że nie dobyłem miecza. Odpowiedziała mu pocałunkiem w brodę.
- Mógłbyś sobie zrobić krzywdę. Byłeś całkiem nagi.
- I wtedy z dzisiejszej nocy nic by nie wyszło... Chwilę potem obejmowali się, leżąc.
- Gdybyś nie zgodził się nam pomóc, też nic by z tego nie wyszło. Nieco później Henry spoczywał tuż obok Mathilde, a ona ułożyła się w jego ramionach nasycona i rozleniwiona. Henry delikatnie cmoknął ją w czoło i wyciągnąwszy ramię, sięgnął po koc.
- Powinniśmy się przykryć, bo łatwo się przeziębic - powiedział z leniwym uśmiechem.
- Ciepło mi i nie chce mi się ruszać.
- W końcu pewnie będziesz musiała.
- W końcu tak - przyznała.
- Zanim ktokolwiek się zbudzi. Co pomyślałaby Giselle, gdyby zauważyła, że nie ma cię w komnacie? Mathilde roześmiała się, ujęta jego troską.
- Przecież nigdy mnie nie ma. Wstaję dużo wcześniej od niej. Zanim Giselle zdąży otworzyć oczy, jestem ubrana. - Nieco posmutniała. - Poza tym i tak nie mogę sobie zszargać opinii, więc nie ma się czym przejmować.

Uniósł się lekko na łokciu i oznajmił uroczyście:

- Mathilde, jesteś najbardziej prawą kobietą, jaką znam.

- A ty jesteś prawym mężczyzną. I bardzo cię kocham. - Przyciągnęła go do siebie, bo stęskniła się za jego pocałunkami.

- Spałeś choć trochę? - spytała Mathilde, kiedy gwiazdy zaczęły gasnąć na wolno szarzejącym niebie. Całą noc spędziła w ramionach Henry'ego. Zdrzemnęła się przez chwilę, może nawet przez dwie, ale poza tym cały czas czuwała. Wiedziała, co może przynieść ranek i szkoda jej było każdej sekundy.

- Odrobinę, ale prawdę mówiąc i tak więcej, niż się spodziewałem.

Zwykle przed bitwą albo przed turniejem nie śpię wcale. Za bardzo się przejmuję. - Cmoknął ją w czubek głowy. - Widocznie musiałem bardzo się czymś zmęczyć.

Zadowolona, że Henry nie traci humoru mimo zbliżającego się świtu, przekreśliła się na bok.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zanadto zmęczony, kochany.

Wstał z łoża. Resztki świec na stojaku wciąż migotały, rzucając wątły blask na jego wspaniale zbudowane ciało.

- Przed walką nigdy - odparł, podchodząc do miski. - Za to kiedyś bywało, że po bitwie spałem jak zabity.

Wzdrygnęła się lekko na dźwięk tego ostatniego słowa.

- Kiedyś?

- Dawno nie walczyłem. Odkąd... Podejrzewała, że od czasu gdy znalazł się w lochu.

- Nie martw się, moja kochana - powiedział, wycierając ciało. - W połowie bitwy nie zasnę na pewno. Walką też się nie przejmuj - dodał szybko, siadając na łożu. - Ludzie są wyćwiczeni, mamy dobry plan. - Skinął głową ku oknu. - Cerdic z pięćdziesięcioma zbrojnymi opuścił zamek pod osłoną nocy. Wyszli tajnym wyjściem. Zajdą wroga od tyłu i uderzą, kiedy Roald zaatakuje główną bramę.

- Wybieg wydaje się dobry.

- Ranulf chciał, aby spuścili się z murów na linach, ale go przekonałem, że jest lepsze rozwiązanie. Po co ryzykować bez potrzeby. Gdyby ktoś ich zauważył, łucznicy mogliby narobić szkód.

- Rzeczywiście tak jest bezpieczniej.

- Jestem tego samego zdania. Powiedz mi teraz, czy chcesz sobie poleżeć, czy wolisz zostać moim giermkim i pomożesz mi się ubrać? Sam sobie na pewno nie poradzę.

- Chętnie pomogę - odparła Mathilde. Wstała, włożyła koszulę i udawała, że wcale nie jest jej ciężko na duszy. - Dlaczego nie masz giermka?

- Nie stać mnie - wyjaśnił.

Pomogła mu włożyć lnianą koszulę, a przy okazji pogładziła jego tors.

- Hm. Tego giermek nie robi - zauważył z uśmiechem i cmoknął ją w policzek. - W każdym razie nie w mojej służbie. - Spojrzał na nią znacząco. - Chcesz mi pomóc wkładać nogawice?

- Z tym powinieneś sobie poradzić - odparła i zaczęła się rozglądać za

przeszywnicą. Grube pikowane odzienie powinno być gdzieś na wierzchu. - Nie mogę znaleźć twojej przeszywnicy - dodała, zajrzawszy do skrzyni.

- Już ją mam - powiedział, pokazując, że trzyma ją w ręce.

- Potrzebujesz pomocy przy wkładaniu? - spytała nieco zawstydzona swoim gapiostwem.

- Nie - uśmiechnął się szelmowsko - ale można zapytać, czy chciałbym. To zupełnie inna sprawa.

- Powinieneś być błaznem, panie rycerzu - rzuciła kpiącym tonem Mathilde. Była zdecydowana za wszelką cenę wytrwać i nie mącić jego radości swoim niepokojem.

Wdziął przeszywnicę, a gdy Mathilde do niego podeszła, zażądał uroczystym tonem:

- Obwiąż mnie, pani.

- Wolałabym raczej coś rozwiązać - stwierdziła, sięgając niżej.

- No nie! - zawołał, gdy go dotknęła. - Wiem już na pewno, że nie jesteś moim giermkiem.

- Jestem twoją kochanką - przyznała, przysuwając się bliżej.

- Wkrótce zostaniesz żoną - obiecał i czule ją objął. - Może nie nazwałbym się najlepszym rycerzem w tym królestwie - powiedział w prze-

rwie między pocałunkami, którymi okrywał jej twarz - ale za to rycerzem najbardziej kochającym i najbardziej zajmującym.

- W to nie wątpię - odpowiedziała ze śmiechem.

Zerknął w okno i wesołość go opuściła.

- Niestety, kochanie, nasz czas się skończył. Słuch mnie chyba nie myli, ludzie Roalda ruszają.

Bała się tej chwili od wielu dni, ale trwoga, jaka ją opanowała, nie dawała się z niczym porównać, mimo że atak Roalda nie był zaskoczeniem.

- Nie ma potrzeby tak się przejmować, moja miła - zapewnił, delikatnie ujmując ją pod brodę. - Już w niejednej bitwie brałem udział.

- Ale nie z mojego powodu - szepnęła. Nie mogła powiedzieć tego głośniej, bo niechybnie zdrząłby jej głos.

- Nie - przyznał. - Z tak ważnego powodu jeszcze nie walczyłem. Pomóż mi włożyć kolczugę, potem pocałuj i życz powodzenia.

Uśmiechnął się, za co była mu wdzięczna, choć wiedziała, że wesołość wykrzesał wyłącznie na jej użytek. Ciężko jej było na sercu, gdy pomagała mu zasłonić przeszywnicę kolczugą i ciasno ją wiązała. Potem dołożyła jeszcze kolcze nogawice. Na końcu przyszedł czas na szkarłatno-złoty płaszcz z rozcięciem umożliwiającym jazdę na koniu.

Mathilde z trudem panowała nad drżącymi rękami, gdy zapinała

Henry'emu klamrę pasa, przy którym nosił miecz. Następnie włożyła mu czepiec kolczy z częścią osłaniającą szyję, a na niego hełm.

Odsunęła się, by popatrzeć na swojego kochanka, przyjaciela i wybawiciela. Ze spuszczoną przyłbicą wyglądał złowieszczo i obco, niczym żelazny wojownik z żelaznym sercem. Zaraz jednak podniósł przyłbicę i jej oczom ukazała się znajoma uśmiechnięta twarz.

- Naprawdę nie ma potrzeby robić takiej wystraszonej miny, Mathilde - powiedział. - Wiesz dobrze, że jestem świetnie wyszkolony.

Ukryła więc lęk najgłębiej, jak potrafiła, i uśmiechnęła się.

- Wiem. Skoro ty dowodzisz, zwyciężymy na pewno.

- Pocałujesz swojego rycerza na szczęście? - spytał takim głosem, że na chwilę zapomniała o trwodze.

Podeszła do niego i z entuzjazmem wycisnęła mu na ustach pocałunek.

Miała nadzieję, że po bitwie będzie jeszcze tych pocałunków wiele.

Rozdział czternasty

Henry i Ranulf stali na murach zamku Ecclesford i próbowali ogarnąć wzrokiem sytuację. W zabudowaniach poniżej chronili się wieśniacy. Giselle ze służbą wyznaczoną do pielęgnowania rannych zajęła wielką salę, natomiast Mathilde w kuchni doglądała gotowania wody, która mogła być potrzebna do opatrywania rannych, i przygotowania posiłków dla żołnierzy. Z kaplicy dochodziły stłumione odgłosy modlitwy za zwycięstwo.

Henry pomodlił się w milczeniu, Bóg przecież z pewnością musiał rozumieć, że żołnierzowi posterunku opuścić nie wolno, nawet z powodu mszy. Był pewien, że Roald przystąpi do ataku, gdy tylko zrobi się nieco jaśniej. Nie ulegało też dla niego wątpliwości, że napastnicy spodziewają się biernej postawy obleżonych i zorganizowanej obrony w zamkowych murach.

Te rzeczywiście były dobrze chronione. Żołnierze na murach i dziedzińcu stali przygotowani do gaszenia pożarów wzniesionych przez płonące smolne pociski, wyrzucane z katapult. Przy blankach zgromadzono wielki zapas gładzi, gotowano też wodę, aby móc oblać wrzątkiem zuchwalców, którzy próbowaliby wspiąć się na mury. Do fosy wrzucono mnóstwo wyrwanych wcześniej kolczastych krzaków, aby utrudnić podejście do zamku.

- Naprawdę sądzisz, że zaatakują dzisiaj? - spytał Ranulf stojący, podobnie jak Henry, w pełnym bitewnym rynsztunku.

- Tak. Chciałbym zresztą, żeby zrobili to jak najszybciej - odrzekł, chociaż bowiem starał się wykazać cierpliwość, bezczynne oczekiwanie stanowiło dla niego bardzo trudną próbę. Miał zresztą cichą nadzieję, że gdy najemnicy przekonają się o umiejętnościach straży w Ecclesford, uznają ponoszenie ryzyka za nieopłacalne i postanowią opuścić Roalda.

- Czy Roald ma jakieś maszyny oblężnicze?

- Wolałbym, żeby wszystkie pieniądze musiał wydać na opłacenie najemników - odparł i w tej samej chwili zauważył ruch pomiędzy błoniami we wsi a zamkiem. - Popatrz - wskazał Ranulfowi.

W milczeniu przyglądali się, jak mężczyźni z wielkimi tarczami, stanowiącymi zasłonę, wybiegają i zajmują pozycję, aby stworzyć namiastkę muru. Za nimi podążali łucznicy i kusznicy, dobywający już strzał z kołczanów.

- Przygotować się! - zakomenderował Henry. Jego ludzie poruszyli się nerwowo. Kilku wyko-

nało znak krzyża. Wielu zacisnęło palce na amuletach i krzyżykach zawieszonych na szyi.

- Kiedy damy znak Cerdicowi? - spytał Ranulf, obserwując przeciwników.

- Gdy Roald pchnie żołnierzy do szturmu - odparł Henry. - Padnij! Pierwsza chmura strzał przeleciała nad zamkowym murem. Jeden człowiek przy bramie krzyknął i upadł. Koledzy natychmiast go odciągnęli. Z soczystych przekleństw mężczyzny Henry wywnioskował, że został tylko zraniony, i to chyba niezbyt ciężko. Znów grad strzał zasypał obrońców. Henry popatrzył na mężczyzn obsługujących niewielkie katapulty, które kazał zbudować przed bitwą.

- Pal! - zakomenderował i chwilę potem z murów posypały się na napastników kamienie, większość jednak wylądowała zbyt blisko. Henry rozkazał zwiększyć odległość wyrzutu. Kolejni łucznicy zajęli stanowiska i wkrótce chmura nad zamkiem zgęstniała. W jedną stronę leciały strzały, w drugą kamienie. Słychać było komendy ludzi szukających schronienia i tych obsługujących katapulty. Żołnierze na murach osłaniali się tarczami i czekali gotowi do walki z obnażonymi mieczami. Henry rozkazał przerwać ostrzał z murów i wycofał katapulty, aby zrobić więcej miejsca, po czym przyzwał łuczników.

- Jeszcze mamy kamienie - powiedział Ranulf, odskakując za blank, gdy strzała świsnęła mu tuż obok ramienia.

- Chcę, żeby Roald pomyślał, że już się skończyły - wyjaśnił Henry. - Wtedy zacznie przesuwać swoich ludzi naprzód.

Naturalnie nie dotyczyło to łuczników. Ci musieli pozostać na swoich pozycjach, bo z mniejszej odległości nie byliby w stanie wysłać strzał za mury.

- Czy nie powinniśmy dać sygnału Cerdicowi? - spytał Ranulf z nutą niepokoju w głosie.

- Jeszcze nie - odparł Henry, zadowolony, że Cerdic stosuje się do otrzymanej instrukcji.

Wydawał się bardzo spragniony walki wręcz, więc Henry musiał mu najpierw dobitnie wyjaśnić, co oznaczałby zbyt szybki atak. Żołnierze Cerdica starliby się wtedy głównie z wyćwiczonymi najemnikami. Na szczęście tłumaczenie odniosło skutek.

- Poczekamy, aż ludzie Roalda znajdą się bliżej murów.

Od strony wsi dobiegł ich dudniący odgłos.

- Taran. - Henry natychmiast zrozumiał, co się dzieje.

- Ale bez osłony dla ludzi - zwrócił uwagę Ranulf, gdy potężny pień, wsparty na podwoziu z olbrzymimi kołami, pojawił się w polu widzenia. - Roald jest przeświadczony, że poradzi sobie z bramą bez kłopotu.

- Tak by było jeszcze tydzień temu - powiedział Henry. - Kazałem jednak kowalom wzmocnić konstrukcję żelaznymi okuciami. Mimo wszystko ten taran robi wrażenie.

Henry uświadomił sobie, że żołnierze wokół

niego wymieniają szeptami pełne niepokoju i niepewne spojrzenia.

- Nie bójcie się - powiedział. - Spodziewaliśmy się tego. Roald zajmie się wyłamywaniem bramy, jego ludzie będą próbowali wspinać się na mury, a wtedy zaatakuje Cerdic. - Klepnął się po pośladkach. - Dobiorą się do niego od tyłu.

Rozległo się kilka chichotów i więcej niż jedno westchnienie ulgi.

Ranulf wychylił się zza blanku i natychmiast schował głowę, bo strzała świsnęła bardzo blisko.

- Katapult i trebuszy nie widzę - oznajmił.

- Dzięki Bogu przynajmniej za to - powiedział Henry.

Zamek Ecclesford był wyposażony tylko w jeden pierścień murów obronnych, więc duże maszyny oblężnicze, ciskające wielkimi kamieniami, stanowiłyby poważne zagrożenie, Każdy wyłom w murze mógł mieć katastrofalne skutki, nie mówiąc już o spustoszeniu sianym przez kamienie i smolne pociski na dziedzińcu.

- Bez wątpienia Roaldowi zabrakło cierpliwości, aby takie maszyny zbudować, a może jego najemnicy po prostu tego nie umieją - odrzekł Ranulf.

Popatrzyli na siebie i jednocześnie przypomnieli sobie to samo powiedzenie sir Leonarda:

- Cierpliwości, chłopcze.

Uśmiechnęli się szeroko, przez chwilę obaj poczuli się bowiem znacznie młodszy. Wrócili do czasów, gdy dopiero uczyli się wojaczki.

Do rzeczywistości przywrócił ich zgrzyt haka o kamienie. Napastnicy zaczepili w pobliżu pierwszą linę. Ludzie Henry'ego energicznie ją odrabali i chwilę potem krzyk oznajmił im, że przynajmniej jeden zbyt niecierpliwy najemnik wrócił na ziemię. Taran zbliżał się nieubłaganie, do przodu wyskoczyli kolejni ludzie z hakami na linach i z drabinami.

- Łucznicy! - zagrział Henry i jego żołnierze nałożyli strzały na cięciwy. Henry przykucnął i zerknął na dziedziniec, gdzie dziesięciu ludzi trzymało w rękach gołębie.

- Wypuścić ptaki! - zawołał.

Mężczyźni posłusznie wyrzucili ręce w górę. Gołębie odfrunęły niczym szara chmura. Dzień był pogodny, więc nie było wątpliwości, że Cerdic zauważy sygnał.

- Drużyna przy furtce gotowa?! - krzyknął do żołnierzy, oczekujących obok niewielkiego otworu w bramie, pozwalającego wydostać się na zewnątrz pojedynczym osobom. Ich zadaniem było zaatakować ludzi Roalda szturmujących wejście. Henry wybrał tych, którzy wyróżniali się w walce wręcz.

Bardzo chciał im towarzyszyć i spotkać się z wrogiem twarzą w twarz. Musiał jednak trzymać się swojego bezpiecznego stanowiska dowodzenia na murach.

Cierpliwości, chłopcze, pomyślał. Taki już los dowódcy. Pozostaje mu obserwować i modlić się, żeby jego plan okazał się skuteczny.

- Pozwól mi poprowadzić wypad - zwrócił się do niego Ranulf. Oczy lśniły mu z podniecenia.

Henry nie miał jednak wyboru, musiał odmówić. To nie była wojna Ranulfa, on znalazł się tutaj przypadkiem.

- Wybacz, przyjacielu, ale nie mogę się zgodzić. - Gdy zobaczył chmurną minę Ranulfa, dodał: - Gdyby coś ci się stało, Merrick i lady Bea wygarbowaliby mi skórę.

O mur obok nich uderzyła drabina. Henry natychmiast odwrócił się od Ranulfa i z całej siły napał na jej koniec. Odsunęła się od muru i z hukiem upadła. Jednocześnie strzała niemal otarła się o policzek Henry'ego. Ranulf i dwóch żołnierzy obcinało tymczasem linę przy kolejnym haku. Gdzie, u diabła, podział się Cerdic? - zastanawiał się Henry, wspomagając ludzi broniących murów. Przecież musiał zobaczyć dany sygnał. Niebo było bezchmurne.

- Strzelać do obsługi tarana! - rozkazał łucznikom. - Naprzód! - krzyknął do żołnierzy przy furtce.

Ludzie Henry'ego wypadli na zewnątrz z dzikim okrzykiem. Trafiony strzałą żołnierz obok Ranulfa bezwładnie osunął się na ziemię. Henry dostrzegł kolejny hak trzy blanki dalej. Podbiegł tam i z całej siły uderzył mieczem w linę. Potem chwycił za żelastwo i energicznie cisnął je w dół, mierząc w jednego z najemników. Trafiony krzyknął przenikliwie, krew zalała mu twarz. Osunął się na kolana. Ze wsi biegli następni ludzie Roalda z drabinami i hakami.

Nawet bez katapult i trebuszy Roald okazał się lepiej przygotowany, niż spodziewał się Henry. Do diabła z nim!

Tymczasem wypad zdobywał teren. Taran zatrzymał się, ci bowiem z jego obsługi, którzy nie padli, wycofali się. Łucznicy Roalda prowadzili ostrzał i czasem trafiali któregoś z obrońców, wychylających się akurat zza blanków, aby uniemożliwić najemnikom wspinanie się na mury. Gdzie, do diabła, podział się Cerdic ze swoją drużyną?!

Kolejny hak przeleciał nad murem, tym razem tak blisko, że omal nie zranił Henry'ego. Ten jednak złapał go jeszcze w powietrzu i odrzucił.

Następny pojawił się w sąsiednim otworze między blankami i Henry odciął go z pomocą dwóch strażników.

Wypad walczył dzielnie, ale żołnierze Roalda odzyskiwali stracony wskutek zaskoczenia teren i spychali straż z Ecclesford z powrotem do zamku. Kolejna zmiana ludzi pojawiła się przy taraniu i zaczęła pchać go naprzód mimo gradu strzał z murów.

- Przejmujesz dowodzenie obroną! - krzyknął Henry do Ranulfa i z hukiem opuścił przyłbicę.

Nie mógł stać i przyglądać się beczynnemu. Powinien poprowadzić swoich żołnierzy, być z nimi. Z uniesionym mieczem i okrzykiem na ustach zbiegł więc po schodach na dziedziniec i wypadł przez furtkę na zewnątrz.

Przerażające odgłosy bitwy przenikały nawet przez grube mury kuchni. Raz po raz słyhać było okrzyki żołnierzy, tupot biegnących drużyn, wycie rannych.

- Pracujcie dalej! - polecała Mathilde za każdym razem, gdy jakiś szczególnie niepokojący odgłos sprawiał, że służba nieruchomiała, wznosząc przerażone oczy w górę.

To było naprawdę okropne, Mathilde powtarzała sobie jednak, że nie wolno jej okazywać strachu. Musiała być silna i dzielna, żeby ludzie brali z niej przykład. Na szczęście miała wprawę w ukrywaniu lęku. Nauczyła się odsuwać od siebie niepożądane myśli i odpychać trwogę w najgłębsze zakamarki duszy. Dzięki temu mogła z pozoru beztrzesko kroić pory, które należało wkrótce dorzucić do olbrzymiego gara potrawki, bulgoczącego nad ogniem. W kotłach gotowano wodę do przemywania ran. Wiedziała, że skaleczeń i ran będzie co niemiara. W milczeniu modliła się jednak, aby Henry i jego żołnierze odnieśli zwycięstwo, żeby nic groźnego im się nie stało. A najbardziej ze wszystkiego modliła się o to, aby ta bitwa wreszcie się skończyła.

Podniecony bitewnym zgiełkiem Henry torował sobie drogę wśród napastników, szukając tego, kto ich wynajął i ściągnął do Ecclesford. Łucznicy Roalda przestali strzelać, żeby nie razić swoich kompanów wspinających się na mury. Taran stał opuszczony. Teraz znowu obrońcy zdobywali teren. Henry chciał walczyć z Roaldem. Był zdecydowany go zabić. Powtarzał sobie, że jeden dobry cios wystarczy. Jedno uderzenie miecza i Roald zapłaci za to, co zrobił Mathilde. Jej zamek będzie bezpieczny, a krzywda pomszczona.

Najpierw musiał sobie poradzić z krzepkim, chudym mężczyzną, który zbliżał się do niego w solidnej zbroi i hełmie zabranym prawdopodobnie którejś z ofiar. Przeciwnik okazał się zręcznym szermierzem, lepszym niż większość. Nie odrywając od niego wzroku, Henry sprężyście przesuwał się naprzód, dzierżąc w obu dłoniach ciężki miecz. Obserwował i czekał na ruch przeciwnika. Cierpliwość była główną dewizą sir Leonarda.

Liczyły się też jednak umiejętności i spryt.

Mężczyzna wykonał zamach do uderzenia i właśnie w tej chwili Henry błyskawicznie zaatakował jego bok. Ostra głownia miecza rozcięła zbroję, a najemnik zatoczył się do tyłu. Henry skoczył naprzód i dobił go ciosem miecza w brzuch, niechroniony już przez zniszczony pancerz.

Natychmiast wyrwał broń z rany i rozejrzał się za następnym przeciwnikiem. Przez cały czas wypatrywał zarówno Roalda, jak i Cerdica z jego drużyną, którzy dawno już powinni byli włączyć się do bitwy. Może walczyli tam, gdzie pozostawali niewidoczni? Może Roald miał więcej ludzi, niż oszacowali?

Drogę zaszedł mu Szkot w kilcie, uzbrojony jedynie w tarczę i okrągły hełm. Chociaż bez wątpienia był jeszcze bardzo młody, Henry szybko

przekonał się, że lekceważyć go nie wolno. Ramię omal nie wyskoczyło mu ze stawu, z taką siłą wojownik odbił jego miecz. Odskakując, Henry ledwie utrzymał równowagę. Natychmiast jednak ponowił atak, wybrawszy za cel odsłonięte prawe ramię przeciwnika. Szkot wykonał zręczny unik i spróbował uderzyć od dołu, zanim Henry zdąży znowu unieść broń. To była dla Henry'ego nowa sytuacja, przywykł bowiem do tego, że na polu bitwy należy do najszybszych. To właśnie umiejętności wykonywania zwrotów i uników w ciężkiej zbroi zawdzięczał większość swoich zwycięstw. Kamień ciśnięty z murów trafił Szkota w ramię. Ten wydał okrzyk i instynktownie zerknął w górę. Henry natychmiast skorzystał z tej chwili i natarł z uniesionym mieczem. Szkot był jednak dobrze wyszkolony, bo natychmiast znalazł się poza zasięgiem przeciwnika. Kolejny kamień minął o cal jego głowę. Właśnie wtedy w polu widzenia Henry ujrzał Roalda. Najwidoczniej bitwa toczyła się po jego myśli, bo inaczej z pewnością nie zbliżyłby się aż tak do zamkowych murów. Pożałuje swojej śmiałości, pomyślał Henry.

- Mam ważniejszych ludzi do zabicia! - krzyknął Henry do Szkota i odwróciwszy się, zaczął zbliżać się do Roalda.

Nagle wyrósł przed nim Charles de Mallemaison. Rosła postać zasłoniła Henry'emu całe pole bitwy.

- Nie tak szybko, mój normański przyjacielu - rzucił de Mallemaison, wymachując zakrwawionym kiścieniem, trzymanym w prawej ręce.

Lewą stronę ciała chronił wysoką tarczą, sięgającą powyżej ramienia. Miecz wciąż trzymał schowany w pochwie przy pasie. - Jesteś bratem lorda Dunkeathe - powiedział niezbyt wyraźnie, bo przyłbica głuszyła jego głos. - Miałem nadzieję, że cię dzisiaj spotkam.

Roald musiał poczekać.

- Pomódl się do diabła, którego wyznajesz - odparł Henry, zaciskając dłonie na rękojeści miecza, gotów do starcia z najsłynniejszym najemnikiem w Anglii.

De Mallemaison tylko się zaśmiał, jeśli można tak było nazwać jego ponury rehot.

- Myślisz, że zdołasz mnie pokonać? Zabijam ludzi od dwunastego roku życia. Szkoda tylko, że nie zobaczę miny twojego brata, kiedy prześlę mu zakrwawionego trupa.

- Po tobie nikt nie będzie płakał - odparł Henry, bacznie obserwując de Mallemaisona. Próbował wyczuć jakąś jego słabość.

W pobliżu rozległ się dziki okrzyk. Czyżby wreszcie wpadł na pole bitwy Cerdic? Moment nieuwagi okazał się błędem. Henry odwrócił głowę i właśnie w tej chwili de Mallemaison cisnął kiścieniem. Broń trafiła w przyłbicę Henry'ego, wgięła żelazo, kalecząc mu prawą część twarzy. Ból był tak straszny, że Henry omal nie zemdlał. Krew zalała mu oczy. Zatoczył się do tyłu, próbując jednocześnie unieść przyłbicę, żeby obetrzeć twarz. W tej samej chwili usłyszał zgrzyt dobywa-

nego miecza. Oszołomiony, nie wiedział, gdzie podział się jego miecz. Gdzie jest jakakolwiek broń? W ostatniej chwili dostrzegł na ziemi złamaną tarczę. Zdażył ją jeszcze podnieść i osłonić głowę. Miecz de Mallemaison z hukiem odskoczył.

Z tarczą nad głową, wciąż niewiele widząc, Henry po omacku szukał jakiegokolwiek broni. Nagle dostrzegł swój miecz. Sięgnął po niego, tymczasem de Mallemaison ponowił atak. Celował w lewe ramię i nędzne szczątki tarczy. Siła uderzenia rozbiła tarczę na kawałki, a ostrze miecza uderzyło Henry'ego w ramię. Na szczęście część impetu wcześniej przyjęła na siebie tarcza, a ciało chroniła kolczuga, bo inaczej z ramienia pozostałby krwawy strzęp.

Henry rozpaczliwie rzucił się naprzód, ale nie trafił. Prawie nie widział, przeciwnika. Tymczasem de Mallemaison wykorzystał chybiony atak i wybił mu miecz z ręki. Henry pozostał bezbronny. Czy to już koniec? Czyżby za chwilę miał zginąć z ręki tego człowieka? Nigdy! Ignorując ból, Henry sprężył się do skoku i rzucił na najemnika, zanim ten zdażył wykonać następny zamach. Obaj ciężko upadli.

De Mallemaison stęknął i zepchnął Henry'ego na ziemię. Ten potoczył się w bok i wylądował rozpląszczony na brzuchu. W tej chwili dostrzegł w odległości ramienia zwykły żołnierski miecz. Dysząc, uniósł się na czworaki i zaczął do niego pełznąć. Przeszkodziło mu uderzenie ciężkiego buta w żebra. Znow upadł.

- To zły pomysł - powiedział de Mallemaison.

Kolejny kopniak trafił Henry'ego w uszkodzone ramię.

Merrick też go kopał jak psa. Henry nie zamierzał jednak zginąć jak pies. Gorączkowo rozglądał się za bronią. Znajdzie ją. Musi...

- Och, na miłość boską... - usłyszał pogardliwy głos de Mallemaison.

Przetoczył się na plecy i ujrzał nad sobą miecz uniesiony do ostatecznego uderzenia. - Dość tego.

Powietrze przeszył wściekły krzyk. De Mallemaison odwrócił głowę.

- Cerdic - szepnął Henry i w tym momencie ból go pokonał. Wchłonęła go czerń.

Mathilde nie mogła nie zauważać wpatrujących się w nią przerażonych oczu. Służba śmiertelnie się bała, a złowroga cisza, jaka nagle spowiała zamek, przstraszyła ich jeszcze bardziej. Powtarzała sobie, że nie wolno jej okazywać lęku.

- Nasi ludzie musieli zwyciężyć - zapewniła. - Inaczej Roald już by tu był...

Drzwi z hukiem się otworzyły. Mathilde obróciła się, a służba jednym głosem wydała okrzyk trwogi. To jednak nie był najemnik. Na progu ukazał się Ranulf. Głowę miał gołą, wciąż jednak był w zbroi.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła Mathilde, słysząc dookoła westchnienia ulgi.

Lęk jednak powrócił. Dlaczego Ranulf wygląda tak posepnie? Czyją krew ma na zielonym surcocie? Poczwała, że blednie i zrobiło jej się duszno. Gdzie jest Henry? Dlaczego nie przyszedł?

- Pani, udało nam się odeprzeć atak - zaczął Ranulf, wchodząc głębiej do pomieszczenia, w którym unosiły się zapachy pieczenia, tłuszczu i chleba.

- Niestety, Henry został raniony.

Ostatkiem sił stłumiła krzyk rozpacz. Nie wolno jej było niczego po sobie pokazać. Przyglądała jej się służba. Zacisnęła więc tylko dłonie w pięści, jakby chciała pobić człowieka, który skrzywdził Henry'ego.

- Gdzie on jest? - spytała spokojnie.

- W wielkiej Sali - odparł Ranulf i podał jej ramię. Nie skorzystała jednak z tej propozycji pomocy.

Chciała, aby ludzie widzieli siłę lady Mathilde z Ecclesford. Nie będzie płakać tak jak wtedy, kiedy odjechał Roald. Teraz była inną kobietą, którą Henry szanuje, podziwia i kocha.

Zmęczeni żołnierze siedzieli pod ścianami na dziedzińcu. Niektórzy ocierali pot i krew. Podnieceni wieśniacy kręcili się dookoła, część z nich próbowała nawiązać rozmowę z wojownikami. Na widok Mathilde z Ranulfem jedni i drudzy szybko odwrócili głowy.

- Czy rana jest ciężka? - spytała i tym razem głos jej zadrżał.

- Nie wiem, pani - odparł Ranulf. Na szczęście zdawało się, że mówi prawdę.

- Jak to się stało? - Przełknęła ślinę. - Strzała?

- Nie. Wybiegł walczyć za bramą. Mathilde przystanęła i spojrzała na Ranulfa

śmiertelnie przerażona.

- Za bramą?

- Kiedy zobaczył, jak toczy się bitwa, pobiegł do swoich żołnierzy, a mnie zostawił dowodzenie. - Przesłał jej współczujący uśmiech. - Odważny to

on jest, pani, ale bardzo lekkomyślny. - Otworzył przed nią drzwi wielkiej sali.

- Nie znam dzielniejszego człowieka - odparła, przekraczając próg. Dookoła wszędzie leżeli zakrwawieni, jęczący ludzie. Chwyliła Ranulfa za ramię i z całej siły zacisnęła na nim palce. Już sam zapach wystarczał, aby można było zemdleć, a co dopiero mówić o widoku. Musisz być silna! - nakazała sobie w duchu.

Pojawił się Cerdic. On przynajmniej wydawał się cały i zdrowy.

- Giselle kazała go zanieść do komnaty. Zajmuje się nim osobiście.

Mathilde powiedziała sobie, że nie ma w tym nic dziwnego. Rana wcale nie musi być śmiertelna.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. - Wyglądał tak, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale Mathilde nie czekała. W tej chwili ważny był tylko Henry. Podciągnęła spódnicę i pospieszyła do schodów. Gdy znikła na górze, Cerdic popatrzył na Ranulfa.

- Powiedziałeś jej?

- Nie miałem serca.

Rozdział piętnasty

Zdyszana Mathilde przystanąła przed drzwiami komnaty Henry'ego. A jeśli Ranulf i Cerdic ją okłamali i jej ukochany nie żyje? A jeśli jest ranny tak ciężko, że umiera? A jeśli przeniesiono jego ciało do sypialni wyłącznie po to, żeby służba nie zauważyła śmierci pana i nie rozpuściła przynębiającej wieści? Nie, tego by nie zrobili. Na pewno nie...

Ostrożnie uchyliła drzwi. Giselle wstała z krzesła przy łożu i stanęła tak, że zasłoniła leżącego na nim Henry'ego. Mathilde ogarnęła trwoga.

Kolana się pod nią ugięły, zaczęła drżeć na całym ciele.

- Czy... Czy on nie żyje? - zdołała szepnąć, mimo że zaschło jej w gardle.

- Żyje - odparła siostra.

Mathilde odetchnęła, ale trwoga wciąż ją paraliżowała, tym bardziej że Giselle z bardzo markotną miną nie uczyniła żadnego gestu, aby się odsunąć.

- Co się stało? - Mathilde splotła dłonie z nadzieją, że powstrzyma w ten sposób ich drzenie. - Dlaczego go przede mną ukrywasz?

Giselle położyła jej dłonie na ramionach.

- Rany są ciężkie, ale żyje - powiedziała i dopiero wtedy odsłoniła łożo. Henry leżał na plecach, głowę miał całą w bandażach, widać było tylko lewe oko, nos i połowę rozchylonych ust. Jedynym znakiem życia była unosząca się i opadająca klatka piersiowa. Z najwyższym wysiłkiem Mathilde opanowała krzyk rosnący jej w gardle. Mimo wszystko Henry żył. Powtarzała to w kółko w myślach, usiłując obudzić w sobie nadzieję. W końcu głęboko odetchnęła.

- Powiedz mi wszystko, Giselle. Co z nim?

- Został uderzony w twarz, prawdopodobnie kiścieniem. Poza tym ma poważnie uszkodzone lewe ramię.

W twarz? Przecież miał hełm...

- A zbroja?

- Gdyby nie ona, już byłby martwy. Przyłbica uratowała mu życie, ale wskutek uderzenia poraniła policzek i czoło. Prawa kość policzkowa jest złamana, stracił trzy górne zęby, czoło ma głęboko rozcięte. Lewe ramię musiało przyjąć bardzo silne uderzenie i można je dziwnie przekręcić. Zastanawiam się, czy mięśnie nie oderwały się od kości. Wątpię, czy jeszcze kiedyś będzie w stanie udźwignąć tarczę. Prawe oko może być uszkodzone, ale nie potrafię tego stwierdzić na pewno. Opuchlizna dookoła jest zbyt duża. Zszyłam mu

ranę ramienia i starałam się jak najlepiej nastawić kości w policzku. - Giselle spojrzała na siostrę ze współczuciem. - Obawiam się, że on może zostać kaleką, Mathilde.

Twą zniekształconą, niesprawne ramię. A co ze wzrokiem?

- Będę z tobą szczerą - powiedziała Giselle, ujmując siostrę za rękę. - Czasem nawet jeśli wydaje się, że uszkodzone jest tylko jedno oko, w rzeczywistości...

- Nie! - Mathilde wyrwała dłonie z uścisku i cofnęła się. To niemożliwe. Niesprawiedliwe. Przecież Henry boi się ciemności. Gdyby już na zawsze miał się w niej pogрузić...

Siostra znów ujęła ją za rękę.

- Posłuchaj - odezwała się stanowczo. - Możliwe, że uszkodzone jest tylko jedno oko. A może nawet oba są dobre. Nie wiem. Musisz mieć nadzieję, Mathilde. Ciesz się, że przeżył.

To wszystko była jej wina. A zaczęło się od jej nierozsądnych odwiedzin w komnacie Roalda. Gdyby nie to, Henry'emu nic by się nie stało. W dodatku nie tylko on przez nią cierpi.

- Ilu ludzi jest rannych? Czy są zabici?

- Dwudziestu rannych, sześciu nie żyje.

Pochyliła głowę. Trzeba znaleźć coś, co pomoże jej pokonać rozpacz.

Pomyślała o ukochanym siostry.

- Przynajmniej Cerdicowi nic się nie stało. Giselle, milcząc, spojrzała na nią z bezbrzeżnym

smutkiem.

- Przecież widziałam go w wielkiej sali - dodała Mathilde. - Nie wydawał się ranny.

- Dzięki Bogu, on nie, ale większość jego ludzi padła albo dostała się do niewoli.

- Boże, przebacz mi - jęknęła wstrząśnięta Mathilde. - Co ja narobiłam? Zakryła twarz dłońmi i skuliła ramiona, jakby nagle przygniótł ją wielki ciężar.

- Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne - powiedziała cicho Giselle.

- Niestety, omyliłam się. Strasznie się omyliłam!

- Wolałabyś poddać zamek bez walki? Myślisz, że wtedy skończyłoby się bez bólu i cierpień? I że Roald okazałby się wielkodusznym panem? Nie, Mathilde. - Giselle objęła ją czule. - Nikt nie obarcza cię odpowiedzialnością za to, co zaszło. Ludzie całkiem słusznie winią Roalda.

Mathilde mocno przywarła do siostry. Z kącika oka potoczyła jej się łza. Dopiero po dłuższej chwili odetchnęła i cofnęła się o krok.

- Nie spytałam Ranulfa o przebieg bitwy. Zwyciężyliśmy? Czy Roald odstąpi od zamkowych murów?

- Nic jeszcze się nie zdecydowało, ale zwyciężymy - oznajmiła z przekonaniem Giselle. - Nadal mamy wielu żołnierzy gotowych do walki, jest Cerdic i sir Ranulf.

Ale nie Henry, pomyślała Mathilde z rozpaczą.

- Zejdę teraz na dół, muszę się zająć rannymi - powiedziała Giselle. - Posiedź z sir Henrym i koniecznie mnie zawołaj, gdyby się ocknął.

- Naturalnie.

Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić.

Kiedy Giselle cicho zamknęła za sobą drzwi, Mathilde podeszła do łoża. Ukląwszy, ujęła bezwładną dłoń Henry'ego i przycisnęła sobie do policzka. Nieważne, kto zawinił w tym konflikcie, należało go jak najszybciej zakończyć. Nikt więcej nie powinien zginąć lub choćby odnieść rany. Ani zamek, ani majątek nie był tego wart.

Z drugiej strony, Giselle miała rację. Gdyby Roald opanował Ecclesford, na pewno karałby ludzi śmiercią i okaleczaniem. Wieśniakom zajrzałby w oczy głód. Nie! Roald nie mógł wyjść z tej bitwy zwycięsko! Jak go powstrzymać, aby nie dopuścić do dalszej walki? Jak zakończyć konflikt, nie oddając Ecclesford? Musiał istnieć na to jakiś sposób, a ona była zdecydowana go znaleźć.

Późnym wieczorem dziesięciu żołnierzy pilnowało ukrytego wyjścia z zamku. Połowa z nich drzemała, siedząc na ziemi, reszta jednak pilnie czuwała. Pełnili wartę, więc sir Henry wygarbowałby im skórę, gdyby zasnęli albo choćby zmrużyli oko.

- Przepuście mnie - powiedziała kobieta otulona peleryną z kapturem, który jednak nie całkiem zasłaniał jej twarz.

Toft, dowodzący wartą, spojrzął na lady Mathilde tyleż zaskoczony, co zaintrygowany. Podrapał się po głowie, potem skubnął bródkę. Nie wiedział, co robić. Wyglądało to podejrzanie.

Dokąd pani mogła się wybierać? Czy nie powinna robić tego, co najważniejsze podczas oblężenia?

- Przepuście mnie - powtórzyła bardziej zdecydowanie.

Toft przestąpił z nogi na nogę i popatrzył po swoich kompanach. Nikt z nich już nie spał i wszyscy wydawali się równie zdziwieni.

- Nie słyszycie?! - Podniosła głos o ton, a Toft pomyślał, że takie zachowanie pani jest mu dobrze znane. - Macie mnie przepuścić!

- Niemożliwe, pani - zaprotestował. Bardzo żałował, że nie ma na jego miejscu sir Henry'ego ani Cerdica. - Poza murami zamku nie jest bezpiecznie.

Dobrze wiedział, że marny byłby jego los, gdyby przez jego niedopatrzenie coś się stało lady Mathilde.

- Nie bój się - powiedziała znacznie ciszej, jakby dopuszczała go do sekretu. - Wychodzę za wiedzą i pozwoleniem sir Henry'ego. Jego brat i ludzie z Dunkeathe mają lada chwila nadjechać brzegiem rzeki. Muszę im wyjść naprzeciwko. Będę bezpieczna, bo lord Nicholas wyśle przodem eskortę.

Toft pozostał sceptyczny. Co to znowu za brat? I jak można mu powierzać bezpieczeństwo pani zamku?

- Powinnaś mieć, pani, eskortę z Ecclesford - powiedział. - Jeśli tamci ludzie...

Oczy Mathilde zabłyśły. To był wyraźny sygnał, że traci cierpliwość.

- Chcesz, abym obraziła lorda Nicholasa, dając mu do zrozumienia, że jego żołnierze nie mogą zapewnić mi ochrony?

Zdanie jakiegoś nieznanego szlachcica mało Tofta obchodziło. O wiele bardziej przejmował się tym, jak zareagowałoby Cerdic lub sir Henry, gdyby naraził panią na niebezpieczeństwo.

- Poślę po Cerdica, milady.

- Nie sądzę, aby był zadowolony, że wzywasz go z powodu błahostki. Ma w tej chwili dosyć na głowie, a mnie na pewno nic się nie stanie.

Niedaleko za murami czekają na mnie żołnierze lorda Nicholasa.

Toft poczuł się bezradny. Jeśli ludzie sir Nicholasa rzeczywiście tam są...

- Przepuścić - zwrócił się do siwowłosego żołnierza imieniem Erik, stojącego przy ukrytej furtce.

- Dziękuję. - Mathilde niczym królowa nieznacznie skinęła żołnierzowi głową. Wysunęła się na zewnątrz i po schodach zeszła nad wodę. Była tam niewielka przystań i ścieżka w górę rzeki.

Gdy furtka za nią się zamknęła, Erik popatrzył na Tofta, marszcząc czoło.

- Wiem, wiem. Mnie też się to nie podoba - powiedział Toft w odpowiedzi na nieme pytanie, które wyraźnie gnębiło nie tylko Erika. Skinął na najmłodszego ze strażników. - Herbert, odszukaj Cerdica i powiedz mu, co się przed chwilą stało. Gdybyś go musiał zbudzić, nie wahaj się.

Herbert skinął głową i odszedł wykonać rozkaz.

Podczas gdy Herbert szukał Cerdica, Mathilde biegła najszybciej, jak mogła, w kierunku wsi. Doskonale wiedziała, że Toft nie uwierzył w jej bajkę, tylko zabrakło mu pewności siebie, aby zakazać jej wyjścia.

Podejrzewała, że zechce sprawdzić jej informacje może nawet u samego Cerdica. Musiała się spieszyć. Drogą nad rzeką wykradała się z zamku wiele razy, więc znała ją doskonale.

W pobliskich zaroślach rozległ się szelest. Odwróciła się raptownie. Ktoś zakrył jej dłonią usta i chwilę potem została wciągnięta w krzaki. Szarpała się i kopała, ale bez skutku. Ogarnęło ją przerażenie. Dobrze wiedziała, czego może się spodziewać. Z całej siły ugryzła zasłaniającą jej usta dłoń, a gdy mężczyzna ją cofnął, wyrwała się i rzuciła do ucieczki. Napastnik w szkockim stroju szybko jednak ją dopadł i chwycił w talii. Upadła na ścieżkę.

Zdołała się przekręcić, tak by znaleźć się twarzą do niego, ale o uwolnieniu się nie było mowy. Młody człowiek był zbyt silny i rostry. Chwycił ją za pelerynę i postawił. Miał długie włosy jak Henry i był przystojny. Przez jedną krótką chwilę żywiła nadzieję, że jej kłamstwo w cudowny sposób się urzeczywistniło.

- Jesteś z Dunkeathe? - sapnęła.

Wciąż mocno ją trzymając, spojrzał na nią surowo i wtedy uprzytomniła sobie, że jest za młody, aby być bratem Henry'ego.

- Nie z Dunkeathe - odparł groźnie. – Do-

kąd leziesz, kobieto? Nie widzisz ognia obozowiska? Idziesz prosto tam, gdzie robią ci krzywdę. - Zmierzył ją spojrzeniem i puścił. - Jeśli nie jesteś ladaczną dziewczką, to zmykaj stąd, póki czas.

- Nie jestem dziewczką!

- Lepiej wracaj do zamku, bo zaraz będzie za późno.

Z poczuciem głębokiego zawodu uświadomiła sobie, że musi to być jeden z najemników Roalda. Zebrała więc całą odwagę, spojrzała mu prosto w oczy i oznajmiła:

- Jestem lady Mathilde z Ecclesford. - Miała nadzieję, że wyjawienie tożsamości zapewni jej bezpieczeństwo przynajmniej na razie. - Zaprowadź mnie do Roalda de Sayres.

Szkot zmrużył oczy.

- Po co?

- Nie masz prawa mnie zatrzymywać i wypytywać - odparła, pamiętając, że być może Cerdic ze swoimi ludźmi podąży jej śladem. - Chcę pokonwersować z moim kuzynem.

Szkot stał na jej drodze wsparty pod boki.

- Pokonwersować?

- Tak. Porozmawiać, pogadać. Najwyraźniej go uraziła.

- Wiem, co to znaczy, pani.

- Nie marudź, tylko prowadź mnie prosto do niego - zażądała.

- Jak sobie życzysz, pani - odrzekł ze wzruszeniem ramion, po czym huknął jak sowa.

Znów rozległ się szelest i pojawił się inny człowiek. Był niższy od Szkota, ubrany w nogawice i do połowy rozpiętą przesywnicę, spod

której wystawała koszula. Duży skórzany kapelusz częściowo zasłaniał wielkie uszy. Zobaczyła też dwa zęby z jego uśmiechu.

- Kto to? - spytał, mierząc ją wzrokiem, jakby była tanią dziewczką z gospody. Oględziny dokonywane wcześniej przez Szkota wydawały się przy tym szczytem dobrych manier. Ten człowiek patrzył na nią obłeśnie.
- Niczego od niego nie dostaniesz, złociutka - powiedział cuchnący typ. - On ma kobietę. - Wskazał na swoją zapadniętą klatkę piersiową i znów lubieżnie się uśmiechnął. - A ja nie.

Omam nie z wymiotowała.

- Idę zaprowadzić tę damę do sir Roalda - odezwał się Szkot z nieukrywaną pogardą, podczas gdy Mathilde starała się odzyskać godny wygląd. - Zajmij moje miejsce na posterunku.

- Kto zginał, że objąłeś dowództwo? - spytał tamten kpiąco.

Szkot sięgnął do sakiewki przy szerokim skórzonym pasie i dobył z niej monetę, którą cisnął tamtemu. Błysnęła srebrem w świetle księżyca.

- To za twój kłopot - powiedział Szkot i ruszył w stronę wsi. - Chodźmy, pani.

Mathilde zrównała się z nim krokiem, zadowolona, że najpierw wpadła właśnie na niego.

- Nie wydaje mi się, abyście należeli do kompanii takich ludzi jak Roald de Sayres i Charles de Mallemaison - zagadnęła z nadzieją, że pobudzi

najemnika do myślenia. - Jesteście na to o wiele za uprzejmi.

- Bo nie należę - odparł Szkot, nie patrząc na nią.

Gdy dotarli do wsi, Mathilde ze smutkiem spojrzała na porzucone domy, w połowie zajęte przez obcych. Wiedziała, że zabiorą wszystko, co się da, a resztę zniszczą. Ci straszni ludzie nie wiedzieli jednak, że przyszła tutaj uzbrojona w dwa sztylety. Jeden miała u pasa, drugi schowała w bucie.

Gdyby ktoś próbował ją skrzywdzić, nie zamierzała poddać się bez walki. Szkot przystanął i skinieniem głowy wskazał jej duży budynek należący do naczelnika wsi, który trudnił się również handlem wełną.

- Jest tam.

To oczywiste, że Roald zajął najładniejszy dom. Mathilde skinęła głową i ruszyła w tamtą stronę.

- Uważaj, pani - cicho zawołał za nią Szkot. - On nie jest sam.

W głównej izbie palił się ogień na kominku, a światło dawało również dwadzieścia woskowych świec. Roald nieufnie przyglądał się, jak Charles de Mallemaison nalewa sobie przednie francuskie wino i wychyla je jednym haustem. Z następną porcją rozprawił się podobnie. Potem ciężko usiadł na stołku.

Mebel na trzech nogach, z których jedna była przedłużona tak, by stworzyć oparcie, miał też poręczę, bardziej więc przypominał krzesło.

Mimo to Roalda nie zdziwiłoby, gdyby twarde dębowe drewno nie wytrzymało ciężaru ciała najemnika. Chociaż walka skończyła się już dość dawno, ten osiłek wciąż nie zdjął kolczugi. Ze swojego miejsca przy kominku Roald czuł woń krwi i potu. Z najwyższym trudem powstrzymywał się, aby nie wysłać najemnika nad rzekę. Niechby się umył.

- Zdaje się, że mieliśmy walczyć z bezładną zbieraniną - stwierdził z niezadowoleniem de Mallemaison. - I że straż nie ma doświadczenia w walce, więc się rozpierzchnie, a wieśniacy będą się chować po chatach jak spłoszone króliki. Gdzie są? A przede wszystkim gdzie kobiety?

- Przypuszczalnie w zamku - odrzekł Roald. -Kobiety ze wsi nie należały do umowy.

Prawdę mówiąc, wieśniaczki mało go obchodziły, podobnie jak kobiety w ogóle. Jak dla niego de Mallemaison i jego kamraci mogli z nimi zrobić, co chcieli. Jemu zależało tylko na jednym: na zdobyciu Ecclesford. Należało jednak przypomnieć de Mallemaisonowi, kto tutaj dowodzi.

- Kobiety zawsze są częścią umowy.

- To dopiero pierwszy dzień - stwierdził ugodowo Roald. Obróciwszy puchar w smukłych palcach, uznał, że należy poprawić morale współnika.

- Strażnicy mogli dzisiaj bronić się jak szaleni, ale bez tego sukinsyna D'Altona, który został ciężko ranny, a może nawet zszedł z tego świata, niechybnie stracą zapas do walki. Jutro fortuna będzie po naszej stronie.

- A jeśli nie? - spytał de Mallemaison. - Nie

zapłaciłeś mi tyle, żebym miał prowadzić tutaj wojnę.

Roald odstawił puchar na stolik.

- Uważasz, że należy ci się więcej, tak?

- Ja to wiem. Tych ludzi jest ze dwustu.

- Nigdy nie wspomniałem ani słowem o liczbie strażników.

- Ani o takich typach, jak ten demon z sianem na głowie - odparł de Mallemaison.

- Cerdic umie walczyć tylko toporem. Wybij mu go z ręki, to wtedy łatwo...

- Co ty opowiadasz! Dzierżył miecz, jakby urodził się Normanem. Albo zapłacisz mi więcej, albo następny atak sam poprowadzisz. Ja odchodzę. Tylko pamiętaj, że za moim przykładem pójdzie większość. Jeśli mnie nie będzie, zwątpią w zwycięstwo i pójdą szukać łatwiejszych łupów.

Roald doszedł do wniosku, że musi ustąpić.

- W porządku. Jeszcze sto marek.

- Dwieście.

- Toć to majątek!

De Mallemaison wzruszył ramionami i zaczął się podnosić ze stołka.

- Zgoda, dwieście - potwierdził Roald. Miał nadzieję, że znajdzie tyle w kufrach zmarłego stryja.

- I ta piękna też jest moja. Ta, która powiedziała, że umrze, zanim jej dotknę.

- Zdawało mi się, że w ciemności wszystkie kobiety są jednakowe.

- Tak było wcześniej. Zanim ją zobaczyłem i zanim mnie obraziła.

De Mallemaison wyraźnie wiązał z Giselle dalekosieżne plany. Uparte damy z Ecclesford mogą winić tylko siebie za taki rozwój wypadków, uznał Roald.

- Niech będzie i to.

De Mallemaison uśmiechnął się złowieszczo.

- Potem i ty możesz ją wziąć.

Roald zadrżał na myśl o tym, w jakim stanie będzie wtedy Giselle. Jednak tylko uśmiechnął się do kompana i skinął głową. Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. De Mallemaison zerwał się na równe nogi i natychmiast dobył miecza. Roald również wstał spłoszony, że ten odgłos zapowiada nocny wypad z Ecclesford, póki nie uświadomił sobie, że we wsi panuje cisza.

- Schowaj broń, Charles - polecił z nutą pogardy. - Jesteś zanadto drażliwy. - Podniósł głos. - Czego tam?!

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna ubrany w dziwną kombinację kawałków zbroi i skórzanego kaftana.

- Dama mówi, że przyszła do was, panie - powiedział z uśmiechem. Może jakaś ambitna wieśniaczka postanowiła popróbować szczęścia u nowego pana? - pomyślał.

- Wpuść ją.

Do izby weszła Mathilde z wysoko uniesioną głową.

Rozdział szesnasty

Mathilde musiała wykrzesać z siebie całą odwagę i dzielność, by stanąć do konfrontacji z Roaldem. Budził w niej najwyższe obrzydzenie. Zdołała zachować zimną krew. Powtarzała sobie, że robi to dla Henry'ego i swoich poddanych. Musi skłonić Roalda, żeby raz na zawsze odjechał. Zaskoczyła go; nie ulegało wątpliwości, że była ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć. Przy kominku stał z wyciągniętym mieczem Charles de Mallemaison. Zignorowała jego obecność.

- Dobry wieczór.

- Muszę powiedzieć, że to nieoczekiwana wizyta - odparł Roald. - Ufam, że nie przyszłaś tu sama, kuzynko.

- Nie - skłamała. Lepiej, by myślał, że czeka na nią uzbrojona eskorta na zewnątrz. -I nie jestem tu po to, żeby wymieniać z tobą uprzejmości. - Zmierzyła wyniosłym spojrzeniem de Mallemaisona.

- Ani z twoimi sługusami.

- A jak się czują twoi? - odparł Roald, wracając na miękkie krzesło przypominające tron, na którym siadywał wiele razy, kiedy odwiedzał naczelnika wsi. - Na przykład przystojny i rycerski sir Henry? Rozumiem, że biedak został ciężko ranny

- zakończył, przesyłając triumfalne spojrzenie de Mallemaisonowi.

- Jeśli tak ci powiedziano, to zostałeś błędnie poinformowany - odparła. - Drobne skaleczenia to u niego wszystko. Sam wiesz, że rany głowy silnie krwawią, a w każdym razie wiedziałbyś, gdybyś odważył się wziąć udział w bitwie. Zapewniam cię, że sir Henry czuje się całkiem dobrze i tylko czeka, kiedy będzie mógł znowu stanąć do walki. Powiedziałam mu jednak wyraźnie, że szkoda jego sił. To zupełnie oczywiste, Roaldzie, że nie jesteś w stanie zwyciężyć z obwiesiami, których nająłeś - oznajmiła Mathilde i zmierzyła kuzyna uważnym spojrzeniem. - Przyszłam więc ocalić twoje i tak bezwartościowe życie, które z pewnością stracisz, jeśli spróbujesz ponowić atak na Ecclesford. Postanowiłam dać ci szansę poddania się. Jeśli to zrobisz, będziesz mógł odejść wolno.

Roald patrzył na nią osłupiały.

- Nie doceniłeś nas, co? - ciągnęła dobitnie. - Oczekiwałeś łatwego zwycięstwa, a tymczasem okazało się, że nic z tego. W istocie po prostu nie masz możliwości pokonania sir Henry'ego i moich

ludzi, więc jeśli nie jesteś jeszcze większym głupcem, niż mi się zdaje, to skorzystasz z danej ci szansy i zakończysz tę awanturę. Moja siostra i ja pozwolimy ci w spokoju odjechać pod warunkiem, że obiecasz udać się do Prowansji i nigdy więcej nas nie niepokoić.

Ku jej konsternacji, de Mallemaison wybuchnął śmiechem.

- Poddać się? Ta kobieta oszalała!

- Jestem całkiem zdrowa na umyśle - odparła, choć pewniej brzmiał jej głos, niż podtrzymały ją kolana. - Obawiam się, że to ty ulegasz złudzeniom, jeśli wierzysz w opanowanie zamku. Twoje dzisiejsze wysiłki dowiodły, że nie masz co na to liczyć.

- Tak sądzisz? - syknął Roald.

- Tak sądziłby każdy człowiek mający choć trochę rozumu, co zapewne wyjaśnia, dlaczego nie jesteś w stanie dojść do właściwych wniosków.

Ani ty, ani... - zerknęła pogardliwie na de Malle-maisona - twój kompan. Najemnik znowu ryknął śmiechem.

- Ona jest szalona. - Zmierzył Mathilde lekceważącym spojrzeniem. - I do tego paskudna. Przynajmniej ta druga wygląda jak trzeba. Wiesz, pani, co zrobię, kiedy dostanę ją w swoje ręce, prawda? A może jesteś zbyt głupia, aby to odgadnąć?

Te obelgi nie zrobiły wrażenia na Mathilde.

- Naprawdę zamierzasz słuchać rad tego odrażającego wieprza? - spytała kuzyna. - Chcesz złożyć swój los w jego brudne łapska? Co on straci, jeśli ty zostaniesz pokonany? Zaoferuje swoje usługi następnemu arystokracie, który potrzebuje mordercy. Nie spotka go za to gniew króla. Nie zostanie ekskomunikowany przez Kościół za kwestionowanie jego poglądów. - Zerknęła z obrzydzeniem na de Mallemaisona.

- Prawdopodobnie już jest ekskomunikowany. Ale ty, Roaldzie...
- powiedziała, przenosząc wzrok na kuzyna. - Ty możesz stracić wszystko ze swoim cennym życiem włącznie.
Roald zerwał się z krzesła cały czerwony.
- Król potwierdza, że Ecclesford jest moje!
W im większą złość wpadał Roald, tym spokojniejsza była Mathilde.
- Dlaczego wobec tego nie dostałyśmy listu od króla? Nie przysłał do nas nikogo z dworzan, żadnego gońca, i ani słowem nie dał znać o swojej decyzji.
- Ecclesford jest moje! - krzyknął Roald, uderzając w oparcie krzesła. - Zawsze miało być moje, dopóki ty... ty głupia dziewczko, ladacznico, nie namówiłaś ojca do zmiany testamentu.
- Ja? Nie mam z tym nic wspólnego. Ty go do tego skłoniłaś, kiedy nadużyłaś zaufania, gwałcąc jego córkę.
- On szukał byle pretekstu, bo nie chciał, żebym dostał zamek! - wrzasnął w furii Roald. - Nienawidził mnie, podobnie jak twoja wyniosła siostra, która uważała, że jest zbyt dobra, aby zniżyć się do rozmowy ze mną.
Przynajmniej

pokazałem im, że nie mogą mnie traktować jak byle kogo!

Czyżby zgwałcił ją z zemsty na jej ojcu i Giselle? Posłużyła mu jako narzędzie do odegrania się na nich? Resztka jej lęku znikła.

- Ty ohydny płazie - powiedziała cicho.

- Biskup Christophus poprze moje roszczenia! - ryknął Roald, jakby jej nie usłyszał.

- Bo go przekupiłeś? - spytała. - Może nie wiesz, ale my też to zrobiłyśmy.

- Christophus nienawidzi Henry'ego D'Altona. Nigdy ci nie pomoże, skoro zwąchałaś się z tym Normanem.

- Wydawało mi się, że jesteś rozsądnym człowiekiem - rzuciła kpiąco. -

Nie rozumiesz, że dla kogoś takiego jak Christophus korzyść rekompensuje niechęć osobistą. Jest jak najemnik, tyle że w sukience, a nie w zbroi. Skoro wspomniałeś o Henrym, to czy zapomniałeś o jego rodzinie? Jak myślisz, co zrobi lord Dunkeathe, kiedy usłyszy, że napadłeś na zamek, którym dowodził jego brat? Albo na przykład lord Tregellas? Sądzisz, że kiedykolwiek ci to wybaczą?

Roaldowi krew odpłynęła z twarzy.

- Nie pozwolisz chyba, żeby ta kobieta cię zastraszyła? - wtrącił złowieszczym tonem de Mallemaison. - Przecież zyskaliśmy przewagę. Zamek ma tylko jeden pierścień murów i jedną bramę. - Wstał i podszedł do Mathilde. - To jest blef.

Mathilde przestała się bać Roalda, ale de Mallemaison to była zupełnie inna sprawa.

- Nie dotykaj mnie!

- Strach cię obleciał, pani? - spytał z obleśnym rechem. - Wezwij swoją straż, tych ludzi, którzy, twoim zdaniem, potrafią mnie pobić. No, dalej, poczekam.

- Niech będzie - powiedziała i odwróciła się do wyjścia. Pot ciekł jej między łopatkami, kiedy próbowała sobie przypomnieć, ilu rzezimieszków jest na zewnątrz. Musiała ich przecież wyminąć.

- Nie tak szybko - powiedział de Mallemaison, blokując jej drogę.

Otworzył drzwi i wyrzwał na dwór.

Ręka Mathilde powędrowała do sztyletu.

- Tam są tylko moi ludzie - stwierdził.

- Jest ciemno - odparła.

- Nie aż tak.

- Skłamała?! - krzyknął Roald, szybko podchodząc do drzwi. Ordynarnie zaklął, a potem zaczął zbliżać się do Mathilde. - Jak śmiałaś mnie oszukać?

Mathilde cofała się w stronę kominka, trzymając dłoń na rękojeści sztyletu.

- A ty jak śmiesz domagać się Ecclesford, skoro nie masz do niego prawa?!

- Zuchwała jest - stwierdził de Mallemaison z nutą podziwu - ale głupia.

Dzięki temu mamy teraz zakładniczkę.

Mathilde wiedziała, że przychodząc tu w pojedynkę, podejmuje bardzo ryzykowną grę. Pamiętała, jak Henry ostrzegał ją przed samotnym opuszczaniem zamkowych murów. Nie chciała jednak

podczas tej eskapady narażać swoich ludzi na niebezpieczeństwo. Teraz nie pozostało jej nic innego, jak bronić straconej pozycji.

- Jesteś głupcem, jeśli sądzisz, że Giselle zrezygnuje z Ecclesford z mojego powodu - powiedziała. - Ona przecież dobrze wie, jakim jesteś człowiekiem i jakim byłbyś panem. Wie też, że tu przyszłam, i oczekuje, że przyjmiesz proponowane przez nas warunki. Bądź co bądź, mamy w Ecclesford dużo zapasów, a nasi ludzie są gotowi walczyć na śmierć i życie, tymczasem ty płacisz najemnikom, którzy wkrótce stwierdzą, że gra jest niewarta świeczki.

Udało jej się podejść równym krokiem do dużego krzesła. Zamiótlszy spódnicami, usiadła na nim z królewską godnością.

- Giselle nigdy nie uwierzy ci, że żyję, dopóki mnie nie zobaczy. Masz więc wybór, Roaldzie. Możesz się poddać, ocalić swoje nędzne życie i wrócić do Prowansji albo spróbować uzyskać za mnie okup, co ci się, zresztą, nie uda. Tymczasem stracisz resztę pieniędzy, usiłując opanować Ecclesford. Wybieraj.

Roald otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Podszedł jednak de Mallemaison i siarczyście go spoliczkował.

- Nie bądź głupkiem! - rzucił charczącym głosem. - Ona kłamie. Na zewnątrz czeka trzystu pięćdziesięciu ludzi. Zatrzymałeś ponad czterdzie-
stu jeńców, wielu jest rannych i zabitych. Zamek ma jeden marny mur i bramę, która ledwie się trzyma. Możemy ją zdobyć. Nawet nie warto słuchać tych gróźb. Kto boi się jakiegoś pana ze Szkocji albo innego z Kornwalii? Masz przecież króla po swojej stronie, prawda?

- Tak - zapewnił go Roald.

- Poza tym, co cię obchodzi, człowieku, jakiś klecha? Zdobądź zamek i utrzymaj go. Masz do tego ludzi. - Odwrócił się i spojrzał prosto na Mathilde. - D'Alton jest trupem.

Zacisnęła dłonie na poręczach krzesła.

- Nieprawda!

De Mallemaison zbliżył się do niej jak wilk do rannej owcy.

- Jeśli jeszcze nie jest, to będzie. Strzaskalem mu hełm.

Uniosła się i wyrwała zza pasa sztylet, ale de Mallemaison zdążył chwycić ją za nadgarstek i wykręcić jej rękę. Odebrawszy broń, pchnął ją z powrotem na krzesło.

- D'Alton nie żyje i już jest po nich - stwierdził z satysfakcją. - Ona dobrze o tym wie. - Chwycił Mathilde za rękę i brutalnie postawił przed sobą. - Mam rację, milady?

- Nie!

De Mallemaison roześmiał się Mathilde w twarz i od jego nieświeżego oddechu zrobiło jej się niedobrze. -

- Powiem ci coś, de Sayres. Daj mi tę zamiast ślicznotki. Zdaje mi się, że okiełznanie tej sekut-nicy sprawi mi więcej przyjemności.

- Roaldzie! Nie słuchaj tego tępaka! - krzyknęła

Mathilde, usiłując uwolnić ręce. - On dba tylko o swoje pieniądze, zupełnie go nie obchodzi, co się z tobą stanie.

- A ciebie obchodzi? - spytał Roald, zbliżając się do niej z błyskiem w oku. - Wciąż próbujesz mnie oszukać, tak samo jak otumaniałaś ojca, kiedy krzyczałaś na cały głos o gwałcie, chociaż sama mi się oddałaś. Król chce, żebym to ja miał Ecclesford. Poza tym de Mallemaison ma rację. Zamek jest marnie umocniony, a ja zgromadziłem większe siły niż ty.

Stanął przy Mathilde i odsunął jej chustę z ucha. Dotknął go językiem, a gdy zadrżała z obrzydzenia, szepnął:

- Już raz cię miałem, więc niech teraz weźmie cię de Mallemaison.

- Roaldzie, nie! Cofnął się.

- Możesz z nią zrobić, co chcesz, Charles. Nie dbam, czy przeżyje.

- Nie! - wykrzyknęła Mathilde, kopiąc swojego oprawcę.

Na de Mallemaisonie nie zrobiło to większego wrażenia.

- Roaldzie!

Kuzyn zatrzymał się na progu. Odwrócił się jeszcze i popatrzył na nią tak, jakby była dla niego jedynie zawadą.

- Żegnaj, Mathilde. Nie martw się. Dopilnuję, żeby Giselle dostała twoje ciało. Jej będzie należało do mnie.

- Roaldzie, nie!

De Mallemaison uderzył ją w policzek z taką siłą, że upadła. Podźwignęła się na czworaki i popatrzyła na stojącego przed nią olbrzyma. Roald uciekł, ale ona była zdecydowana walczyć do samego końca.

- Ależ z ciebie czarcie nasienie! - wykrzyknęła z pogardą. - Czy gwałcąc kobietę, czujesz się silniejszy? Wydaje ci się, że dowodzisz swojej męskości? To złudzenie. Jesteś zwykłym dwu-nogim zwierzęciem. Jeśli mnie zgwałcisz, Bóg mi wybaczy, ale ciebie na pewno ześle do piekła! Powinieneś spalić się ze wstydu. Nie masz matki, nie masz sióstr, że traktujesz kobiety jak niewolnice i dziewczki, z którymi możesz zrobić, co zechcesz?

- Nie mam matki ani sióstr - potwierdził de Mallemaison, zrywając jej chustę z głowy i mocno ciągnąc ją za włosy. - Ktoś zostawił mnie w rynsztoku. Szczury znalazły mnie pierwsze. - Znów ją uderzył tak, że upadła na podłogę. - Tylko nie wyprowadzaj mnie z równowagi błaganiem o litość. To, że jesteś kobietą, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Uklękła, chwyciła za nogę stołek i najmocniej jak umiała, cisnęła nim w de Mallemaisona.

Uchylił się, a ona rzuciła się po leżący na podłodze sztylet.

- O nie! - Doskoczył do niej i znów wyrwał jej broń z ręki.

Wciąż jednak miała w bucie mniejszy sztylet.

- Nie pozwolę, żebyś mnie wziął - sapnęła,; odskakując ku ciężkiemu krzesłu. - Wolę zginąć.

De Mallemaison odrzucił jej sztylet w drugi koniec izby, a potem ściągnął z głowy czepiec? kolczy. Jedno i drugie upadło z metalicznym łoskotem.

- Będziesz krzyczeć tak głośno, że usłyszą cię w zamku.

- A ty będziesz smażył się w piekle! - odkrzyknęła i pchnęła między nich wielkie krzesło.

Odskoczył, gdy się przewracało, a tymczasem Mathilde rzuciła się do drzwi. Niestety, de Mallemaison znów ją powalił. Trzymając jej nogę, zaśmiał się złowieszczo:

- Dobrze, pani. Walcz dalej. Tak, żebyśmy musiał się napracować. Wtedy mam więcej przyjemności, gdy dostaję to, czego chcę.

Broniła się ze wszystkich sił, tym bardziej rozpaczliwie, że lada chwila mógł zedrzeć jej z nogi but, w którym ukryła drugi sztylet. Niestety, czuła się coraz bardziej unieruchomiona. Pociągnął za but i broń z brzękiem upadła na podłogę. De Mallemaison sięgnął po nią, a wtedy Mathilde, korzystając z chwili jego nieuwagi, dopadła ciężkiego świecznika.

Nadludzkim wysiłkiem chwyciła go i zamachnęła się w stronę de Mallemaisona. Krzyknął i wyciągnął ręce, aby osłonić się przed lecącymi świecami, Mathilde zaś chwyciła świecznik jak lancę i z całej siły zadała mu sztych w brzuch. Impet uderzenia był tak duży, że de Mallemaison upadł na plecy. Rzuciła świecznik

i chciała skoczyć do drzwi, ale najemnik pchnął jej żelastwo prosto pod nogi. Zatoczyła się, ale na szczęście udało jej się utrzymać równowagę. W tej samej chwili pochwyciła w nozdrza zapach spalenizny.

- Głupcze, surcot ci się pali! - syknęła, gotując się do skoku.

De Mallemaison zerknął na swoje odzienie i zaczął gwałtownie tłumić płomień, które już paliły mu skórę. Wtedy Mathilde dopadła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Przystanąła na moment, aby rozejrzeć się dookoła. Kilku ludzi, siedzących niedaleko przy ogniu, popatrzyło na nią w najwyższym zdumieniu. Zdawało się, że z wrażenia osłupieli. Rzuciła się do ucieczki, a choć wkrótce usłyszała za sobą krzyki i odgłosy pogoni, zdołała zyskać sporą przewagę. Przy końcu wsi zręcznie wywinęła się jakiemuś wielkoludowi, który rozłożył ramiona, jakby chciał zamknąć ją w objęciach, i wkrótce udało jej się dotrzeć do zarośli nad rzeką. Tu poczuła się nieco bezpieczniej, musiała jednak uważać na warty, które mogły usłyszeć zamieszanie w obozowisku.

Nie udało jej się. Przynajmniej jednak ocalała własną skórę. Nie wygrała, ale wciąż miała szansę bezpiecznie wrócić do domu. Syknęła spłoszona, gdy z pobliskiego drzewa poderwała się sowa. W tej samej chwili ktoś chwycił ją i wciągnął w zarośla. Zanim zdążyła podjąć walkę, znajomy głos szepnął jej do ucha:

- Mathilde, co ty, na Boga, wyrabiasz?

Z ulgą wsparła się na szerokiej piersi Cerdica. Dopiero wtedy zauważyła sylwetki innych ludzi dookoła.

- Odprowadź mnie do domu, Cerdicu - szepnęła, straciwszy nagle wszystkie siły.

Rozdział siedemnasty

Giselle rozplakała się na widok Mathilde, która wróciła do zamku przez ukrytą furtkę. Świadoma zaintrygowanych spojrzeń wyprowadzonych w pole strażników Mathilde powiedziała:

- Muszę odpocząć.

Z tymi słowami wsparła się na ramieniu siostry i pociągnęła ją w stronę wielkiej sali, zanim Giselle zdążyła wyjawić, że nie wie niczego

o rzekomym przybyciu lorda Nicholasa i jego żołnierzy.

Cerdic szedł za nimi przez dziedziniec, lawirując między licznymi wozami i beczkami. Wokół panował spokój, jeśli nie liczyć pojedynczych szczęknięć psów. Na murach patrole pilnie obserwowały teren, starając się wypatrzeć w mroku najdrobniejszy ruch, a przy bramie przechadzał się tam

i z powrotem jeden człowiek, zapewne sir Ranulf. Mathilde miała nadzieję, że przynajmniej jemu nic

się nie stanie. Nie chciałyby mieć kolejnych ofiar na sumieniu.

- Czy Henry się ocknął? - spytała.

- Nie sądzę, aby stało się to wcześniej niż jutro około południa. Czuwa przy nim Faiga. Gdyby coś się działo, natychmiast dałaby znać. Tak bardzo się martwiłam! Czy brat sir Henry'ego naprawdę ma nadjechać? Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? Gdzie on jest?

- Wybacz mi, Giselle - cicho odparła Mathilde. - Nie nadjeżdża i nigdy nie było takiej nadziei. To tylko wymyślony pretekst dla strażników.

Przykro mi, że cię przestraszyłam.

- Przestraszyłaś nas, pani. Mnie, siostrę, straż, która wiedziała, że wyszłaś poza mury. Po co; opuściłaś zamek? - dociekał Cerdic.

- Wyjaśnię wam wszystko, ale chodźcie do komnaty na wieży - powiedziała stanowczo Mathilde i pierwsza ruszyła schodami w górę. Wewnątrz zamku uderzył ją w nozdrza zapach krwi, mokrego płótna, a także ziół: żywokostu, ciecioriki i maruny. Ta mieszanina sprawiła, że żołądek podszedł jej do gardła. Walcząc z atakiem mdłości, przyspieszyła kroku, aby jak najszybciej dotrzeć na wieżę. Poczekała, aż Cerdic zamknie drzwi za nią i siostrą, i dała obojgu znak, żeby usiedli. Sama stanęła za stołem.

- Poszłam do Roalda zażądać, aby się poddał - oświadczyła.

Oboje wytrzeszczyli na nią oczy. Ta nowina całkiem odebrała im mowę.

- Poszłaś, pani, do Roalda? - przerwał wreszcie milczenie Cerdic. - Sama? Z żądaniem, aby się poddał?

- Prawie mi się udało - odrzekła. - Niestety, był tam Charles de Mallemaison, który przekonał Roalda, żeby tego nie robił. Inaczej Roald prawdopodobnie uwierzyłby w moje słowa, kiedy powiedziałam mu, że Henry'emu w zasadzie nic się nie stało, a dla niego właściwie nie ma już nadziei.
- Miewasz, pani, doprawdy dziwne pomysły... Giselle przyjrzała się rozdartej sukni siostry.
- I co się stało? Czy Roald...?
- Nie! - odparła Mathilde, odgadłszy jej pytanie.
- Dzięki Bogu!
- Oddał mnie de Mallemaisonowi, ale podpaliłam go i uciekłam.
- Boże wielki! - sapnął Cerdic. - Charlesa de Mallemaison?
- Co masz na myśli, mówiąc, że go podpaliłaś? - zapytała Giselle.
- Jego surcot - wyjaśniła. - Zapalił się od świec, którymi w niego cisnęłam. Potem uderzyłam go świecznikiem i dzięki temu zdołałam się uwolnić. Cerdic znalazł mnie, kiedy wracałam do domu. Cerdic zerwał się z krzesła, jakby to jego strój nagle zajął się ogniem.
- A gdybym cię nie znalazł, pani? Gdyby Roald cię zabił?
- Wtedy byłabym martwa - odparła spokojnie

Mathilde, po czym przesłała im obojgu błagaln spojrzenie. - Musiałam spróbować powstrzyma Roalda. - Podeszła do Cerdica i położyła ręce n: jego muskularnych ramionach. - Zanim zabije lub, weźmie do niewoli więcej twoich przyjaciół. Przeniosła wzrok na Giselle. - Zanim człowiek-którego kochasz, padnie ranny lub, co gorsz; pozbawiony życia. Giselle spłonęła pąsem.

- Ty wiesz?! - spytała.

- Sir Henry się domyślił,- Czy słusznie? Giselle wstała, nagle zdecydowana.

- Tak. Kocham Cerdica z wzajemnością i chcemy się pobrać.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pani — dodał Cerdic, przyglądając się Mathilde z nadzieją nie wolną jednak od obaw.

Mając przed sobą przejętego, zakochanego młodzieńca, Mathilde zapomniała na chwilę, że to zahartowany w bitwach wojownik. Również Giselle nie wyglądała jak kobieta, która bez mrugnięcia okiem pielęgnuje ciężko rannych żołnierzy.

- Naturalnie, że nie mam nic przeciwko temu - oznajmiła. - Cieszę się waszym szczęściem i uważam, że Cerdic świetnie się nadaje na pana Ecclesford.

Giselle spojrzała na swego przyszłego męża z promiennym uśmiechem, w którym nie brakowało pewności siebie.

- Przecież mówiłam ci, że się zgodzi. Niepotrzebnie się martwiłeś.

Mathilde żałowała, że nie mogą dłużej cieszyć się piękną chwilą.

Obleżenie trwało. Czule uściskała Giselle.

- Myślę, siostrze, że powinnaś opuścić Ecclesford. Jeśli przegramy...
 - Nie przegramy! - krzyknęli jednocześnie Cerdic i Giselle.
 - Nikt nie potrafi przewidzieć, jak potoczy się bitwa - odparła, myśląc o Henrym, leżącym bez ducha w swojej komnacie. - Proszę cię, Giselle, zrób to dla mnie, wyjedź.
 - Kto zajmie się wtedy rannymi?
 - Faiga i reszta słu...
 - Nie znają się na tym tak dobrze jak ja - przerwała siostrze Giselle. - Czy ty planujesz ucieczkę?
 - Moje miejsce jest tutaj.
 - Moje też. Nie boję się, Mathilde. - Giselle ujęła za rękę Cerdica. - Wierzę w naszych żołnierzy.
 - Ja też - przyznała Mathilde. - Od Roalda wiem jednak, jak wielu ludzi oblega zamek. Mają dużą przewagę liczebną. A jeśli on dostanie cię w swoje ręce...
 - Wytrzymam. Cokolwiek się zdarzy, postaram się dzielnie stawić czoło przeciwnościom losu. Nawet gdybyśmy straciły Ecclesford, nie przestanę walczyć z Roaldem, bo wiem, że i ty będziesz z nim walczyć do ostatniego tchu.
- Wzruszenie ścisnęło Mathilde za gardło.
- Cerdic też zostanie - dodała Giselle. - Jak mogłabym opuścić dwoje ludzi, których kocham?
 - Może jednak powinnaś jej posłuchać, kocha-

nie - odezwał się Cerdic. Spojrzał na Mathilde z widocznym poczuciem winy. - Ona spodziewa się dziecka. Wybacz mi, pani.

- Niepotrzebnie prosisz o wybaczenie - stwierdziła nie bez dumy w głosie Giselle. - Pragnęłam Cerdica, a on mnie, uważał jednak, że skoro nie ma tytułu ani majątku, to nie jest mnie godny. Wymyśliłam więc sposób na pokonanie jego skrupułów. Ponieważ jest człowiekiem honoru, na pewno się ze mną ożeni. - Przechyliła głowę i spojrzała w oczy swojemu wojownikowi. - Weźmiesz ze mną ślub, Cerdicu?

- Pozwoliłaś mi posunąć się tak daleko w pieszczotach, żebym musiał cię poślubić? - spytał zaskoczony.

- Znalazłam sposób, aby wybić ci z głowy to niemądre przeświadczenie, że nie jesteś mnie wart - odrzekła nieco zawstydzona. - Miałam rację, Mathilde, prawda? On będzie dobrym mężem i panem.

- Naturalnie - przyznała.

Giselle uśmiechnęła się do Cerdica.

- Wybaczasz mi?

Bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Tymczasem Mathilde w milczeniu opuściła komnatę i poszła do wciąż nieprzytomnego Hen-ry'ego. Usiadła przy łóżku, wzięła go za rękę i modliła się, by wszystko dobrze się skończyło.

Henry syknął, ocknął się bowiem tknięty przeszywającym bólem. Miał takie wrażenie, jakby połowę twarzy wyrwano mu z czaszki. Bitwa. De Mallemaison i kiścień... Chyba jednak żył, skoro czuł coś tak porażającego.

- Bardzo przepraszam, sir Henry. Muszę zmienić bandaż.

To był głos Giselle. Gdzie jest Mathilde?

Boże, co za ból! Dopiero po chwili zorientował się, że głośny jęk, który się rozległ, dobył się z jego ust. Wreszcie stare płótno zostało zdjęte.

Usłyszał westchnienie ulgi Giselle.

- Dzięki Bogu, nie ma śladów zakażenia - powiedziała. - Możecie otworzyć oczy, panie?

Znaczyło to, że jego oko wciąż jest na miejscu. Uznał to za pomyślną wiadomość, choć całe ciało miał zroszone potem, bo nieustannie towarzyszyło mu trudne do zniesienia cierpienie.

- Czy możecie otworzyć oczy? - spytała ponownie Giselle.

Spróbował. Lewa powieka się uniosła i zobaczył niewyraźny zarys pochylającej się nad nim kobiety. Tak, to była Giselle, chociaż wyglądała inaczej niż zwykle. Całkiem płasko, jak postać z tapiserii. Drugiego oka otworzyć nie mógł. Zakleiała je zapewne zaschnięta krew lub ropa, a może po prostu opuchlizna była zbyt duża.

- Widzicie mnie?

Chciał skinąć głową, ale nie zdołał; zamierzał coś powiedzieć, lecz z ust dobył mu się tylko cichy, ochrypły jęk.

- Uściśnijcie mi rękę, jeśli mnie widzicie.

To jakoś zdołał zrobić i Giselle natychmiast przekazała nowinę gdzieś dalej.

- On widzi! - powiedziała, odwracając głowę.

- Dzięki Bogu! - rozległ się okrzyk.

To była Mathilde. Zobaczył ją, jak pochyla się i nad nim, ujmując go za rękę i całuje. Chwilę potem; Mathilde siedziała na łożu, on zaś oparł głowę między jej piersiami, a usta wypełniła mu przynosząca ulgę wilgoć. Przełknął łyk cudownej, ożywczej wody.

- Powoli, kochanie, powoli - szepnęła, bo część płynu popłynęła mu po brodzie.

Z powrotem ułożyła mu głowę na poduszkach. Poczował ruch siennika, kiedy wstała. Udało mu się odwrócić głowę tak, żeby ją widzieć. Gdyby przyszło mu umrzeć, chciał w ostatniej minucie mieć przed sobą jej obraz.

- Czy możecie poruszyć lewym ramieniem? - spytała Giselle, stojąca teraz po drugiej stronie.

Spróbował wykonać ruch, ale tylko syknął z bólu.

- Dobrze. Więcej nie próbujcie. Mięśnie musiały oderwać się od kości. Jeśli będziecie rozważni, może uda wam się odzyskać część władzy w ramieniu, ale osłabione będzie już zawsze.

Co ona mówi? Osłabione? Przecież w tej ręce trzyma się tarczę! Jak będzie mógł walczyć, nie mogąc jej podźwignąć? I co z planami zdobycia majątku? Przemknęła mu przez głowę jeszcze bardziej niepokojąca myśl. A co z prawym ramieniem? Ulżyło mu, gdy okazało się, że może nim poruszyć bez większego kłopotu. Wpadł na pomysł, żeby dotknąć nim twarzy, ale Giselle ujęła go za rękę i zdecydowanym ruchem odłożyła ją na pościel.

- Nie dotykajcie, panie, policzka. Macie połamane kości. Nastawiłam je najlepiej, jak umiałam, ale dotykaniami można im zaszkodzić.

Złamana szczęka? No tak, kiścień. Widywał takie rany w przeszłości, więc mógł sobie wyobrazić, jak będzie przebiegało gojenie. Jeśli szczęście mu dopisze, deformacja nie będzie duża. A jeśli nie, jego twarz po prawej stronie będzie przypominać poszczerbioną wazę.

- Mielicie też rozcięte czoło. Zszyłam ranę. Stąd się wzięło tyle krwi, pomyślał Henry. Rany

nad okiem bardzo krwawiły. Blizna zostanie na pewno. Blizna, niesprawne ramię i zdeformowana twarz.

- Bitwa? - szepnął chrapliwie.

- Tymczasem przerwa - wyjaśniła Mathilde, wracając z pucharem w dłoniach. - Wypij tego trochę, Henry. To pomoże ci zasnąć i ulży w bólu. Nie chciał spać. Musiał dowiedzieć się, co zaszło.

- Ranulf?

- Jest cały i zdrowy - zapewniła Mathilde i stanowczo przytknęła mu puchar do warg. - Pij.

Nie o to mu chodziło. Chciał, żeby przyjaciel opowiedział mu o bitwie. Widział jednak, że nie uniknie picia tej mikstury.

- Roald?

Ostatnie słowo zamieniło się w przeciągłe westchnienie. Powieka mu opadła i nie usłyszał odpowiedzi Mathilde. Zdawało mu się, że ktoś bandażuje mu twarz, ale tylko przez chwilę, potem odpłynął w nicość.

Kiedy obudził się znowu, do komnaty sączyły się promienie słońca, a Mathilde siedziała na stołku obok jego łoża. Głowę miała spuszczone, oczy przymknięte. Jak długo spał? Od kiedy Mathilde przy nim czuwa? Czy już po bitwie? Czy zwyciężyli? Zamek najwyraźniej nie został zdobyty. Bez wątpienia panował spokój i nikt go nie atakował, bo , inaczej Mathilde nie siedziałyby przy łóżku, a poza tym byłoby słyhać bitewny zgiełk.

Albo więc zwyciężyli - co niech Bóg da! - albo wszystko pozostawało w stanie zawieszenia. Ponieważ jednak i tak nie mógł niczego się dowiedzieć, skupił wzrok na drzemiącej kobiecie. Kochał ją. Potrzebował jej. Nie miał jednak niczego, co mógłby ofiarować żonie. Ziemi, majątku, a teraz nawet odpowiedniego wyglądu i mocnego ramienia. Jego nadzieje legły w gruzach. Będzie musiał żyć z łaski innych, a przecież nie może skazywać na to żony.

Najwidoczniej westchnął podczas tych rozważań, bo Mathilde nagle drgnęła i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do Henry'ego.

- O, zbudziłeś się. Bardzo cię wszystko boli?

Bolało bardzo, ale cierpienie ducha było znacznie większe niż dolegliwości fizyczne.

- Trochę - odparł. Przy złamanej szczęce nawet to jedno słowo zabrzmiało niewyraźnie. Przynajmniej jednak nieco ustąpiła suchość w gardle.

Mathilde chciała się podnieść, ale przytrzymał ją zdrowym ramieniem.

- Nie. Teraz Ranulf. Niech opowie...
- Powinieneś się posilić. Zaraz coś przyniosę.
- Potem. - Wolał, żeby została. Przyjemnie mu było, kiedy na nią patrzył.
- Proszę...

Wróciła na stołek i znów się uśmiechnęła, choć w jej oczach zauważył łzy.

- Miałaś nie brać udziału w walce - powiedziała. - I kto strofował Cerdica, że rzuca się w sam środek bitwy, nie myśląc o strategii? Gdybyś zginął... - Głos jej się załamał.

Chciał pogłaskać ją po głowie. Widział, jaka jest zmęczona. Cienie pod oczami zdradzały, że dawno nie spała. Za taką panią warto było nawet oddać życie.

- Pokonaliśmy Roalda?

Jej spojrzenie wystarczyło mu za odpowiedź.

- Ile dni minęło? - spytał, żeby nie musiała mówić tego, co już wiedział.
- Trzy.
- Zawołaj Ranulfa, proszę.

Skinęła głową i wstała. Pomyślał, że powinien się przyzwyczajać do samotności. Okaleczony, nie będzie ściągał na siebie spojrzeń dam.

Przestaną szukać jego względów, a i mężczyźni nie zainteresują się jego opowieściami. W jego obecności ludzie będą odwracać oczy.

Drzwi się otworzyły i wszedł Ranulf. Twarz miał spoconą, włosy kleiły mu się do głowy. Za nim pojawił się Cerdic. Obaj wyglądali tak, jakby nie przebiali się od trzech dni, i wydzielali stosowną do tego woń.

Zastanowiło go, dlaczego Mathilde nie wróciła razem z nimi. Widocznie jednak miała coś do zrobienia. W zamku pracy nie brakowało.

- Chyba trochę przesadziłeś z szukaniem usprawiedliwienia, żeby uniknąć dalszej walki - powiedział żartobliwie Ranulf, stając w nogach łóżka.

Henry poczuł się przez chwilę tak jak wtedy, gdy ćwiczyli u sir Leonarda. Był przyjacielowi za to wdzięczny.

- Roald wciąż pod zamkiem? Ranulf skinął głową i spoważniał.

- Niestety tak.

- Ponowił atak?

- Jeszcze nie. Wygląda na to, że postanowił zrobić podkop.

Był to typowy sposób zdobycia zamku, który miał tylko jeden pierścień murów otoczonych suchą fosą. Kopano dół pod murem, a potem podpierano go stemplami. Gdy kopiący przechodzili poza połowę szerokości muru, dół wypełniano suchymi gałęziami i ściółką i podpalano. Po zajęciu się stempli mur się walił.

- Powstrzymacie ich?

Ranulf zerknął na Cerdica i dopiero potem odpowiedział.

- Obawiam się, że to będzie trudne. Cerdicowi i jego drużynie nie udało się włączyć na sygnał do bitwy pierwszego dnia.

- Ludzie Roalda zatrzymali nas, zanim dotarliśmy na pole bitwy - wyjaśnił Cerdic. - Straciłem kilku żołnierzy, reszta dostała się do niewoli. Tylko ja uszedłem. A teraz Roald każe im kopać dół.

Henry'ego ogarnęło współczucie dla pojmanych. Próby przeszkodzenia im w pracy oznaczałyby zabijanie przyjaciół i towarzyszy broni.

- Z drugiej strony, jeńcy nie pracują z wielkim zaangażowaniem - ciągnął Ranulf. - Prawdopodobnie wykonanie zadania potrwa znacznie dłużej, niż gdyby zlecić je najemnikom.

Henry przyznał mu w myślach rację.

- Następnym atakom nie było?

- Kilka drobnych starć na zewnątrz - odrzekł Ranulf. - Niewarte uwagi. Podejrzewam, że de Sayres obiecał najemnikom szybkie i łatwe zwycięstwo, więc są coraz bardziej niezadowoleni. Podkop ma być sposobem na uniknięcie ofiar, bo chwilowo dobrego pomysłu, jak wdrzeć się do zamku, nie ma.

- Co zarządziłeś?

- To samo, co ty zrobiłbyś na moim miejscu. Kazałem naszym kopać od drugiej strony. Jeśli uda im się wyprzedzić ludzi Roalda, wypełnią dół gruzem, zanim tamci podpalą stemple.

- Dobrze. Straty?

- Sześciu, w tym ci od Cerdica. Nie było więc najgorzej.

Henry popatrzył na Cerdica, który przecież ocalił mu życie, jakkolwiek miało ono teraz wyglądać.

- Dziękuję.

Wojownik tylko skinął głową.

Henry zaczął się zastanawiać, jak Cerdic czułby¹ się na jego miejscu, uznał jednak, że takie rozważania są pozbawione sensu. Trzeba było myśleć", o ratowaniu Ecclesford i Mathilde.

- Jak zapasy?

- Jedzenia jest mnóstwo. Łady Mathilde wszyst- i kiego dopilnowała - odrzekł Ranulf. - Wiesz, Henry, ta kobieta ma niespożyta energię. Przy niej nawet sir Leonard wydaje się ospały.

Henry spróbował się uśmiechnąć, ale okupił to falą bólu. Przypomniawsobiesobie zalecenie Giselle, żeby nie narażać nastawionych kości.

Ranulf zerknął na Cerdica.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyjacielu, chciałbym zamienić z nim parę słów bez świadków.

Cóż to ma znaczyć? Henry'emu przyszło do głowy, że sytuacja jest w rzeczywistości znacznie gorsza, tyle że Ranulf nie chce odbierać entuzjazmu Cerdicowi i jego ludziom. Czyżby obrona nie przebiegała tak dobrze, jak zdawało się Cerdicowi? A może to moje rany są poważniejsze, niż powiedziała mi Giselle? Czyżby poprosiła przyjaciela o wyjawienie mi bolesnej prawdy?

- Nie załamuj się, Normanie. Jeszcze będziemy górą - powiedział Cerdic do Henry'ego i ruszył do drzwi. - Dzielnie walczysz.

Kiedy wyszedł, Ranulf spojrzął na przyjaciela.

- Zaimponowałeś mu. - Zmarszczył czoło, udając zatroskanie. - Boję się, że muszę się jeszcze długo starać, żeby ci dorównać.

Henry nie był jednak w nastroju do żartów.

- Co masz?

- Nie spodoba ci się - zapowiedział Ranulf, siadając na stołku przy łóżku.

- Wysłałem list do twojego brata, donosząc mu, że odniosłeś rany. Przy okazji poprosiłem go o posiłki, gdyby akurat miał paru ludzi bez zajęcia. Nie złość się, za późno, żeby to odwołać. Posłaniec wyruszył następnego dnia' po bitwie.

Musiało być ze mną niedobrze, skoro Ranulf posłał po Nicholasa, pomyślał Henry. Jeśli brat zobaczy mnie bezradnego i bezużytecznego... Wiele razy oskarżał mnie o brak rozsądku i przepowiadał mi marny koniec, więc teraz przekona się, że miał całkowitą rację. Jednak Henry nie żywił pretensji do Ranulfa. Uświadomił sobie zresztą, że gdyby miał umrzeć, chciałby pojednać się z bratem. Przecież Nicholas na swój sposób sprawował nad nim opiekę. Poza tym, jeśli mógł im pomóc, należało zapomnieć o swojej dumie.

- Aż tak źle wyglądałem?

- Okropnie. Prawdę mówiąc, nie uwierzyłem w słowa lady Giselle, gdy orzekła, że się wylizesz. Dzięki Bogu, miała rację. Przedtem nie spotkałem kobiety tak znakomicie opatrującej rany. Muszę ją potem wypytać o zioła i metody. Ma, na przykład

maść... - Zamilkł i spojrzał z troską na Henry'ego. - Męczę cię? Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Jeszcze nie. Poprosiłeś Nicholasa o pomoc? Ranulf lekko się zaczerwienił, poza tym jednak nic nie zmąciło jego zwykłej pewności siebie.

- Wiedziałem, że będziesz niezadowolony, ale uznałem, że skoro już do niego piszę, a on mimo woli został w to wmieszany, to mogę poprosić. Nie jestem ani tak uparty, ani tak dumny jak ty, i jeśli ktoś może mi pomóc wtedy, gdy tego potrzebuję, to proszę bez wahania. Poza tym połowa straży nie gada już o niczym innym, jak tylko o tym, że nadjeżdżają ludzie Nicholasa.

- Mam nadzieję, że Nicholas przyśle posiłki. Potrzebujemy ich.

- W końcu zmądrzałeś.

Henry uświadomił sobie, że coś, co wcześniej powiedział Ranulf, bardzo go zastanowiło.

- Czemu ludzie gadają o Nicholasiu? Ranulf szybko wstał.

- Wiesz, jak to jest z żołnierzami. Zawsze coś sobie wymyślą. Pewnie mają nadzieję na rychłą odsiecz, bo nie chce im się za bardzo wysilać. Henry nie dał się zbyć. Pospieszne wyjaśnienie Ranulfa bez wątpienia było nieprawdziwe.

- Kto rozpuścił plotkę? Ty? - spytał, choć wydawało się niemożliwe, by jego przyjaciel posługiwał się takimi metodami.

- Nie! - odparł Ranulf, wyraźnie oburzony tym posądzeniem. - Nie powiedziałbym niczego, co nie jest prawdą. Nie budziłbym niepotrzebnych nadziei, które nie mają szans się ziścić.

- Więc kto?

Ranulf przestąpił z nogi na nogę i powoli zaczął się wycofywać ku drzwiom.

- To już nie ma znaczenia, bo ludzie Nicholasa są w drodze.

Nie zważając na ból, Henry podźwignął się na jednym ramieniu.

- Kto?!

Ranulf walczył ze sobą jeszcze przez chwilę, w końcu zawrócił do łoża.

- Mathilde.

Zaskoczony Henry opadł bezwładnie na poduszki i wzdrygnął się boleśnie.

- Jeśli obiecasz mi, że zachowasz spokój, opowiem ci, dlaczego to zrobiła.

Ona jest naprawdę niezwykła.

Henry nieznacznie skinął głową. Ranulf znów usiadł na stołku.

- Wieczorem po bitwie poszła do żołnierzy przy furtce od tyłu i powiedziała im, że ma spotkać Nicholasa z jego wojskiem. Domyślam się, że w ten sposób chciała ich przekonać, aby ją wypuścili. O ile się orientuję, przyjacielu, poszła prosto do Roalda i zażądała, żeby się poddał.

Henry nie wierzył własnym uszom.

- Wiem, jak to brzmi, a jednak to prawda. Poszła sama do wsi, powiedziała mu, że próżne jego wysiłki, że jesteś jak nowy, więc nie pozostaje mu nic innego, jak się poddać.

Słuchając tego, Henry widział oczami wyobraźni Mathilde z zaciętą miną i błyszczącymi oczami. A mimo wszystko...

- I co? Nie poddał się? - Po co pytam, zreflektowałem się, przecież kazałem jej podkopać mur.

- Niestety nie.

Coś w tej historii bardzo nie pasowało Henry'emu do Roalda, jakiego znał.

- I on pozwolił jej wrócić?

- Niezupełnie. Wywalczyła sobie wolność. To niezwykła kobieta.

- Co się stało?

- Wróciła cała, więc nie ma sensu tego roztrząsać...

Zdrowym ramieniem Henry chwycił rękę przyjaciela.

- Masz powiedzieć mi wszystko.

- Nie musisz mnie torturować. - Ranulf uwolnił dłoń. - Chciałem oszczędzić ci szczegółów, skoro i tak nic jej się nie stało. Roldal jej nie tknął.

Henry'emu ulżyło, zorientował się jednak, że to nie koniec opowieści.

- Podarował ją Charlesowi de Mallemaison. De Mallemaisonowi?!

- Pokonała go i uciekła. - Ranulf przestał się kpiąco uśmiechać. - Podobno zapłonął żywym ogniem.

- Ogniem?

- Tak. Odebrał jej sztylety, więc uderzyła go świecznikiem. - Ranulf skubnął bródkę. - To zadziwiająca kobieta, już ci mówiłem.

- Sztylety?

- Nie sądzisz chyba, że poszła do Roalda bezbronna? Swoją broń straciła, ale zastosowała się do najlepszej rady sir Leonarda. Chwyciła to, co miała pod ręką. - Zmarszczył czoło. - Cieszyć się względami takiej kobiety... To zaszczyt.

Ranulf miał rację, choć Henry odczuł również wstyd.

- Idź już, Ranulfie.

- Dobrze. Zresztą, damy i tak nie byłyby zadowolone, gdybym zabawił tu zbyt długo. Dostanie mi się, jeśli stwierdzą, że cię zmęczyłem. Wolę nie narażać się na ich gniew. - Od drzwi odwrócił się jeszcze do przyjaciela i przesłał mu szczery uśmiech.

- Diabelnie się cieszę, że żyjesz.

Henry nie odpowiedział. Myślał o tym, że lepiej byłoby zginąć w bitwie, broniąc Mathilde, niż być skazanym na życie bez niej.

Rozdział osiemnasty

Przez następne kilka dni Roald zadowalał się pracami przy murze, Mathilde spędzała więc jak najwięcej czasu z Henrym. Kiedy nie spał, pomagała mu jeść i z radością obserwowała, jak pomału dochodzi do siebie. Kiedy opuchlizna wokół oka zmaląła, a mówienie przychodziło mu z mniejszym trudem, wiele czasu spędzali na rozmowach. Poznali dzieje swoich rodzin, dowiedzieli się wiele o najmłodszych latach - dla Mathilde szczęśliwych, dla Henry'ego wręcz przeciwnie. Jego ojciec stracił przy zielonym stoliku majątek i wszystkie rodzinne posiadłości. Po nim obowiązki głowy rodziny przejął Nicholas i z tego, co mówił Henry, wynikało, że sprawował je dość bezdusznie. Chciał wydać za mąż ich siostrę Marianne, zupełnie nie licząc się z jej zdaniem, jednak znalazła w małżeństwie szczęście. Henry'ego wysłał do sir Leonarda.

Henry miło wspominał lata nauki u sir Leonarda, choć, jak twierdził, wychowawca był surowy. Zastanowiło ją, jakim człowiekiem jest Nicholas, skoro Henry wolał spartańskie warunki u sir Leonarda niż pobyt w domu. W każdym razie młodość Henry'ego sprawiała wrażenie wyzutej z uczuć. Nie należało się dziwić, że młody człowiek starał się znaleźć pocieszenie w ramionach kobiet. Czyż i ona nie szukała w swoim czasie podobnego pokrzepienia? A miała przecież po temu dużo mniej powodów.

Pomagała Giselle w pielęgnowaniu Henry'ego, a chociaż rany okazały się na szczęście mniej groźne, niż wydawało się na początku, to dla Mathilde nie ulegało wątpliwości, że ukochany nie odzyska dawnej sprawności. Jednak rzadko wspominał o swoich dolegliwościach, natomiast wiele razy pytał o innych rannych żołnierzy, codziennie spędzał też czas z Ranulfem i Cerdikiem, którzy współdowodzili: Cerdic odpowiadał za obronę, natomiast Ranulf stał na czele ludzi robiących wykop pod murem. Henry'ego bardzo interesowały postępy w pracach. Poleciał też Mathilde, aby natychmiast do niego przyszła, gdyby doszło do połączenia wykopów albo gdyby ludzie Roalda zaatakowali, chciał bowiem przynajmniej obserwować sytuację z okna.

Gdy Mathilde nie przebywała w komnacie Henry'ego, pilnowała rozdziału żywności i pomagała rozwiązywać konflikty, które niechybnie wybuchały wskutek ścieśnienia zbyt wielu ludzi na niedużym terenie. Wszyscy byli znacznie bardziej

drażliwi niż zwykle i nawet zwierzęta wydawały się wyprowadzone z równowagi. Niemal z ulgą przyjęła wiadomość od Ranulfa, że jego grupa kończy pracę. Tymczasem Cerdic zgromadził ludzi na murach, gotowych do ataku wtedy, gdy Roald zorientuje się w sytuacji. Wszyscy jednak kryli się za blankami i zachowywali bardzo cicho, żeby nie stracić efektu zaskoczenia. Mathilde pobiegła do komnaty Henry'ego i zastała go stojącego przy łożu w lnianej koszuli do kolan. Twarz i ramię wciąż miał w bandażach.

- Kończą, prawda? - spytał. - Na murach nagle zaroilo się od żołnierzy.
- Trzeba było poczekać, aż pomogę ci wstać - skarciła go.
- Nie zamierzam obserwować stąd bitwy.
- Pomogę ci się położyć.
- Pójdę na mury i przejmę dowodzenie - oznajmił stanowczo. - Chcę, żeby żołnierze mnie zobaczyli. Roald też powinien usłyszeć mój głos. Niech wie, że żyję.

Na to Mathilde nie mogła pozwolić. Jednak jak go przekonać?

- Nie jesteś jeszcze na tyle silny, żeby stać przez dłuższy czas.
- Jeśli ty możesz iść zupełnie sama do Roalda, żeby zażądać od niego kapitulacji, to ja mogę włożyć zbroję i dowodzić z murów.

Zacisnęła dłonie na wezłowskiu łoża. Skąd Henry wie?

- Kto ci powiedział?
- Zaprzeczasz?

Był zbyt pewny siebie, aby miało to jakikolwiek sens, choć poważnie się zastanawiała nad taką możliwością. Uznała jednak, że nie może go okłamywać.

- Nie. Poszłam do Roalda i poradziłam mu, żeby się poddał. Miałam nadzieję przekonać go, że jest bez szans.
- I poszłaś całkiem sama.
- Tak. - Nie wstydziła się tego ani nie żałowała, mimo że jej plan się nie powiódł. - Nie chciałam nikogo narażać.
- Mogłaś zginąć.
- Tak.
- Chociaż sama byłaś gotowa zaryzykować życie dla mnie i innych mieszkańców Ecclesford, to chcesz, abym leżał tu jak dziecko, cierpliwie czekając na koniec bitwy.
- Jesteś ranny - zwróciła mu uwagę, starając się nie zdradzić przy okazji, jak bardzo się tym przejmuje. Nie chciała, żeby poczuł się bezradny, choć zdawała sobie sprawę z tego, że już nigdy nie będzie tym samym rycerzem, który przyjechał do Ecclesford.
- Wiem, że jestem ranny - powiedział łagodniej. - Nie rozumiesz? Nie mogę tutaj zostać. Muszę tam iść, jeśli mam być czegoś wart. Chcę poprowadzić ludzi do zwycięstwa nad człowiekiem, który cię skrzywdził i usiłował ukraść to, co stanowi twoją prawowitą własność. - Ujął Mathilde za rękę. - Wolę zginąć jako komendant straży w Ecclesford,

broniąc ukochanej kobiety, niż żyć o dwadzieścia lat dłużej. - Spróbował wyczarować swój dawny uśmiech. - Zresztą, gdy mój brat dowie się, jaką poniosłem śmierć, może wreszcie mnie doceni.

Nawet teraz Henry starał się ją pokrzepić. Wzruszał ją tym do łez. Jest dumnym wojownikiem i urodzonym dowódcą. Porażka w pojedynku z Charlesem de Mallemaison musiała być dla niego upokarzająca. Bez wątplenia słabość i bezradność w tamtej chwili zaważyły na jego poczuciu własnej wartości. Chciał znów stanąć na murach jako wojownik, dowódca. Kochała go i szanowała, a to oznaczało, że nie wolno jej go powstrzymać.

- Dobrze, Henry. - Mimo wszystko te słowa nie przeszły jej przez gardło łatwo. - Pomogę ci.

Wyraźnie się odprężył. Zdrowym ramieniem przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Jestem pewna, że widok dowódcy wyzwoli w ludziach nowe siły - szepnęła Mathilde, zdecydowana nie okazać strachu, jaki ją ogarnął. Ze skrzyni z ubraniami wyjęła bieliznę, koszulę i przeszywnicę. Pomogła mu to wszystko włożyć, bardzo uważając na poranioną twarz. Potem przyszła kolej na kolczugę, wreszcie na szkarłatny surcot. Henry zrobił parę kroków, zaciskając wargi. Gdy stanął, był bardzo blady.

- Musisz unieruchomić mi lewe ramię. Skinęła głową i z płótna zrobiła temblak.

- Teraz hełm. Chyba że jest zbyt zniszczony. Wyjęła go ze skrzyni.

- Miejscowy płatnerz naprawił.

Henry przyjrzał się uważnie nakryciu głowy.

- Dobra robota - pochwalił. - Przyłbica powinna zasłonić większość bandaży - stwierdził zadowolony. - Nie będę straszył żołnierzy. To dobrze. Mam rację, moja kochana? Czepca kolczego pod spód nie zmieszczę, ale obejdę się bez niego. Przynajmniej mniej się spocę. Mathilde poleciła Henry'ego boskiej opiece, myśląc o tym, jak bardzo się o niego boi. Nie zamierzała go jednak odwozić od tego, co postanowił. Musiała być dzielna. Zerknął na nią współczująco i pogłaskał ją po policzku.

- Wiem, że wolałabyś, żebym został w komnacie, lecz muszę tam iść.

- Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo cię kocham - szepnęła ze łzami w oczach.

- Ja też cię kocham - zapewnił i przyciągnąwszy ją bliżej, wargami musnął jej usta.

- Sir Henry! To sir Henry!

Szmer podniecenia przetoczył się najpierw przez wielką salę, a potem wśród mężczyzn zgromadzonych na dziedzińcu, obserwujących, jak Henry, z Mathilde u boku, wspina się na mury. Ludzie Ranulfa, usłyszawszy nowinę, przerwali na chwilę pracę, dowódca jednak szybko przypomniał im o obowiązkach. Musieli skończyć przekop pierwi.

Mimo pomocy Mathilde droga na mury nie była łatwa dla Henry'ego.

Towarzyszył mu nieustanny silny ból, tak że trudno mu było oddychać, czego nie ułatwiały też hełm i bandaż. Determinacja

jednak zwyciężyła, a kiedy dostrzegł entuzjazm na twarzy żołnierzy, wiedział, że postąpił słusznie.

- Miło cię widzieć, sir Henry - powiedział Cerdic z szerokim uśmiechem, gdy wreszcie dotarli na górę. - Cieszę się, że nadszedł czas walki.

Chowanie się za murami jest mi bardzo nie w smak.

- Mnie również - przyznał Henry, ściskając dłoń Mathilde. Nogi po kilku dniach leżenia nie chciały go nosić tak jak zwykle, ale ponieważ nie włożył czepca kolczego, wolał się nie pokazywać między blankami, gdzie mogłaby go dosięgnąć strzała łucznika. Odwrócił się do Mathilde i ujrzał, że pobladła. Starła się być dzielna specjalnie dla niego i za to kochał ją jeszcze bardziej.

- Powinnaś już iść, Mathilde. Na murach jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

Pochylił się, aby ją pocałować, a przy okazji szepnął coś, czym chciał ją trochę uspokoić:

- Obiecuję, że dziś nie zejdem z murów. Odsunęła się, przesyłając mu drżący uśmiech.

- Bóg niech będzie z tobą, Henry, i z nami wszystkimi - powiedziała i odeszła.

Henry nie zwracał szczególnej uwagi na stojących obok niego mężczyzn, obserwował bowiem przygotowania do uruchomienia tarana. Szczerze wątpił, czy brama, nawet po wzmocnieniu, wytrzyma drugi atak. Cerdic zapewnił go jednak, że przygotowali się do obrony bramy najlepiej, jak umieli. Zrobili wszystko, aby machina nie zbliżyła się, póki ludzie Ranulfa nie skończą wykopu.

Przed bramą rozrzucono snopy siana, żeby przeszkodzić w ruchu tarana i przynajmniej trochę osłabić jego siłę uderzenia. Zrzucano na dół także sienniki, z wyjątkiem tych, których używali ranni. Poświęcono nawet pierzyny dam. Kilka kotłów z wodą ustawiono na trójnogach nad ogniskami, aby mieć czym oblać obsługę maszyny lub najemników wspinających się na mury. Jeden kocioł ze smołą przeznaczono na sam taran. Łucznicy z ognistymi strzałami czekali na rozkaz, aby rozpocząć strzelanie i podpalić maszynę.

Cerdic zaklął, patrząc na zbliżający się taran.

- Co się stało? - spytał Henry, zły, że ma zbyt małe pole widzenia.
- Przy taraniu też są nasi ludzie.
- A niech go diabli!
- Przecież nie oblejemy smołą naszych żołnierzy.
- Możemy nie mieć wyboru.

Cerdic przybrał taką minę, jakby chciał się sprzeciwić, ale tylko westchnął i skinął głową. Trudno byłoby rzucać ciężkie kamienie i wylewać kubły wrzątku na swoich kompanów, jeszcze gorzej zgotować im śmierć w płomieniach, ale bramę trzeba było utrzymać.

- Cerdic, bierz ludzi na dziedziniec. Dowodzisz tymi, którzy bronią wejścia, w razie gdyby brama runęła.

Wojownik skinął głową i natychmiast zakrzętnął się, żeby wykonać rozkaz. Tymczasem taran ruszył i w miarę zbliżania się do bramy nabierał impetu.

Henry przez cały czas przeklinał swoje rany, bo znów niewiele widział. Starał się obserwować wojsko szykujące się do ataku, chciał bowiem wypatrzeć Charlesa de Mallemaison. Był ciekaw, czy najemnicy Roalda poczekają na wyłamanie bramy, czy spróbują najpierw ataku na mury. A może taran służył tylko odwróceniu uwagi od podkopu?

- Hej, ty! - przyzwał niskiego człowieka w źle dopasowanej kolczudze i hełmie z osłoną nosa. - Biegnij do Ranulfa zapytać, - za ile będą gotowi.

Żołnierz się zawahał, więc Henry dał wyraz swemu niezadowoleniu.

- Wobec tego ty biegnij. - Wskazał następnego, który natychmiast znalazł się na schodach. - A ty - zwrócił się do poprzedniego - lepiej nie wchodź mi w drogę. Nie chcę mieć głupków w pierwszej linii.

Żołnierz skłonił głowę, jakby się zawstydział, i szybko się oddalił. Epizod został szybko zapomniany, bo taran uderzył w bramę. Nie zdołali przygotować się na tyle, aby zatrzymać go w drodze. Henry zacisnął zęby, bo od impetu uderzenia zatrzęsł się cały mur. Nie było rady.

- Rzucać kamienie - zakomenderował, gdy ludzie obsługujący maszynę zaczęli się cofać, by powtórzyć uderzenie.

Bez wątpienia łucznicy z tyłu mierzyli im w plecy, a Roald zapowiedział, że zginą, jeśli nie wyłamią bramy. W każdym razie ze smołą Henry zamierzał poczekać, póki sytuacja nie stanie się naprawdę dramatyczna. Zauważył, że jego ludzie się wahają. Rozumiał to, ale nie widział innego wyjścia.

- Jeśli wedrą się do zamku, możemy wszystko stracić!

Poleciał pierwszy kamień. Potem następny. W pobliżu łucznicy niecierpliwie wyczekiwali, kiedy nieprzyjaciel stojący w pewnym oddaleniu i czekający na możliwość szturm, znajdzie się w zasięgu strzału.

- Jeszcze nie - ostrzegł Henry. - Są za daleko. Cierpliwości, chłopcy.
Taran znowu grzmotnął w bramę i tym razem Henry musiał się przytrzymać blanku, żeby nie spaść. Strzała świsnęła mu tuż przy głowie. Zerknął i przekonał się, że Roald nakazał ludziom z pawężami zająć pozycję bliżej murów, a za nimi przemieścił łuczników.

- Jeśli będziecie mieli łuczника albo tarczowego na widoku, to strzelać - rozkazał i łucznicy nałożyli strzały na cięciwy. - Tylko z rozwagą!
Dobrze ich wyćwiczył, więc karnie słuchali tego, co im mówiono. Nie strzelali chaotycznie, czekali na szansę trafienia do celu.

Taran znowu zbliżał się do bramy. Henry zerknął z krawędzi murów na dziedziniec. Mimo wzmocnień żelazem, belki bramy były już przełamane, a okucia wygięte. Jeden potężny zawias wisiał luźno. Należało się spodziewać, że tego uderzenia brama nie przetrwa.

- Smoła! - krzyknął Henry, choć serce mu

krwawiło, gdy wydawał ten rozkaz. - Podpalić taran.

Z góry chlusnęła ciemna, gęsta, cuchnąca struga wrzącej cieczy. Henry zamknął oczy, mając w uszach krzyk oblatanych ludzi. Świsnęły ogniste strzały i w powietrzu uniósł się smród płonącej smoły.

Henry wychylił się zza blanka i z trwogą przekonał się, że smoła nie trafiła w środek tarana, lecz jedynie oblała jeden jego bok. Kilku ludzi leżało na ziemi, zwijając się z bólu. Byli i tacy, którzy już się nie ruszali.

Najemnicy Roalda, wyczuwszy bliskie i zwycięstwo, rzucili się, żeby wycofać taran i przygotować go do następnego uderzenia.

Henry zaklął i rozkazał swoim ludziom zrzucić więcej kamieni przed bramę. Z okrutnego pomysłu Roalda co do pierwszej obsady tarana była jedna korzyść. Ponieważ postawił on przy machinie jeńców, nie zapewnił im żadnej osłony. Teraz jego najemnicy byli tak samo jak ich poprzednicy bezbronni wobec pocisków spadających z zamkowych murów.

Łucznicy Roalda podeszli bliżej, prowadząc przez cały czas ostrzał, który zmuszał obrońców do krycia się za blankami. Za linią łuczników Henry dostrzegł oczekujące na swoją kolej główne siły. Nie widział pojedynczych osób, ale był tam z pewnością de Mallemaison albo Roald.

Mimo wysiłków żołnierzy Henry'ego taran uderzył jeszcze raz. Znowu zatrzęsł się mur, a zaraz potem dał się słyszeć ogłuszający trzask.

Zgromadzeni na dziedzińcu wydali okrzyk, a jednocześnie najemnicy Roalda puścili się biegiem w stronę zamku.

Brama padła. Widząc pędzących wrogów, Henry zapomniał o ranach i bólu. W głowie miał tylko jedno: za wszelką cenę trzeba obronić Ecclesford. Zdrowym ramieniem dobył miecza i obrócił się do schodów.

- Nie, panie, nie możesz!

Sporunował wzrokiem zastępującego mu drogę żołnierza. To był ten sam, który wcześniej się zawahał.

- Z drogi, tchórze!

- Obiecałeś!

To nie był mężczyzna.

- Mathilde?! Co ty...?!

Nagle krzyknął przeraźliwie z trwogi, Mathilde bowiem wydała cichy okrzyk i padła mu prosto w ramiona. Z pleców sterczało jej drzewce strzały.

- Jak długo jeszcze? - spytał z wysokości końskiego grzbietu Roald, spoglądając gniewnie na' Szkota, przyzwanego do raportu spod muru, gdzie doglądał pracy przy podkopie.

- Jeńcy zwykle pracują wolno i niewydajnie - odparł ten, wzruszając ramionami.

- Lepiej niech się pospieszą. Bramę już prawie zdobyliśmy. Wracaj do nich i powiedz im, że jeśli nie skończą, zanim tam przyjadę, to kiedy podłożymy ogień, ich ciała wrzucimy w płomienie.

Szkot skinął głową i zawrócił na odcinek, którym dowodził.

- Nie ufam temu typowi - rzekł Roald, obserwując, jak obrońcy ciskają z murów kamienie.

- Ja nie ufam nikomu - powiedział towarzyszący mu de Mallemaison, nie spuszczać wzroku z budowli. - Jeśli nie zdobędziemy zamku dzisiaj, odjeżdżam. To zajmuje zbyt wiele czasu.

- A co innego masz do roboty oprócz odzyskiwania długów dla kupców? Prawie osiągnęliśmy cel, a w środku jest mnóstwo złota - zwrócił mu uwagę Roald. Ostrzeżenie Mathilde przed chciwością de Mallemaisona przypominał sobie raz po raz. A jeśli kuzynka miała rację? Jeśli popełnił życiowy błąd, najmuje do wyegzekwowania tego, co mu się należy, bezwzględnego najemnika? Nie, po prostu chciała mi zamącić w głowie, a jej napaść na de Mallemaisona powinna obudzić w tym osiłku jeszcze silniejszą żądzę pokonania jej i reszty załogi Ecclesford.

- Nie chcesz się zemścić na lady Mathilde? De Mallemaison spojrzał na niego bykiem.

- Nie na tyle, by ryzykować z tego powodu życie.

- Ryzykować życie? Oszalałeś? Kiedy dostaniemy się do środka, będzie po bitwie. Ta straż nie ma szans z naszymi ludźmi.

- Przedtem okazało się, że jednak ma - burknął de Mallemaison.

- Wtedy dowodził nimi ten drań Henry, przecież sam mówiłeś, że on już nie żyje.

De Mallemaison mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, ale nie uciszył tym wątpliwości, które wciąż nie dawały spokoju Roaldowi. Może jednak D'Alton nie zginął? Może był tylko ranny? Może głupio było wierzyć de Mallemaisonowi, kiedy twierdził, że go zabił? Nie był pewien, czy nie popełnił głupstwa, odrzucając ofertę Mathilde. W Prowansji byłoby mu całkiem dobrze.

De Mallemaison zarechotał, wyrywając tym Roalda z zadumy.

- Chybili! Wylali smołę i chybili, głupcy. - Na jego poranej bliznami twarzy pojawił się uśmiech. - Zostaję. Teraz wystarczy, że te osły skończą podkop.

Roaldowi udało się stłumić westchnienie ulgi. Właśnie biegł ku nim jeden z najemników.

- Wydostali się z drugiej strony! - krzyknął. De Mallemaison zmełł przekleństwo i zawrócił konia w kierunku muru.

Poblady Roald nie ruszył się z miejsca.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Henry, gdy nie zwracając uwagi na rozdzierający ból w ramieniu, chwycił Mathilde i podtrzymując ją zdrową ręką, ostrożnie ułożył na ziemi. - Hej, pomóżcie! - zawołał do najbliższych stojących żołnierzy. - Musimy ją zanieść do wielkiej sali, do Giselle.

Gdy podnosili Mathilde, Henry przeklinał swój brak spostrzegawczości. Jak mógł nie zauważyć jej obecności? Powinien był zainteresować się, kim jest ten krnąbrny żołnierz, i odesłać ją z murów do

zamku. Jeśli Mathilde umrze, to i on nie ma po co; żyć. Najpierw jednak dopadnie Roalda, a ten' pożałuje, że kiedykolwiek się urodził. jGdy niosący Mathilde mężczyźni, znaleźli się na? schodach, nieprzyjaciele właśnie zaczęli szturmować wybitą bramę. Nie było szansy przenieść; rannej do wielkiej sali. Trzeba było zająć się nią na miejscu.

- Wracajcie! - zakomenderował. Zdarł z ramienia temblak, a potem próbował zdjąć również hełm, co okazało się jednak zbyt trudnym zadaniem.

- Pomóż mi - zwrócił się do jakiegoś łucznika, który szybko wykonał polecenie i zachnął się, widząc obandażowaną twarz Henry'ego.

- Zdejmij mi bandażę i opatrz nimi jej ranę. Pospiesz się, człowieku! Łucznik zrobił, jak mu kazano, ale gdy ujrzał twarz Henry'ego, ze zgrozą odwrócił głowę.

- Nie wyciągaj strzały - ostrzegł Henry. - Zostaw, póki Giselle się tym nie zajmie.

Dobycy miecza, Henry zaczął schodzić po schodach.

- Panie, dokąd idziesz? - zawołał za nim łucznik.

- Zabić Roalda de Sayres.

De Mallemaison zrozumiał, że sytuacja jest beznadziejna, gdy tylko podjechał do muru. Zbyt wielu żołnierzy z Ecclesford wydostało się na zewnątrz i nie można już było ich powstrzymać, chyba że jego ludzie zdążąliby obalić mur, ale na to brakowało czasu. Durny de Sayres. Do drażenia podkopu należało użyć najemników, a nie jeńców. Już dawno wszystko byłoby zrobione.

Klnąc pod nosem, powściągnął konia i zawrócił go w prawo. Do diabła z Roaldem!. De Mallemaison nie chciał zginąć. Obiecano mu szybki, łatwy zysk prawie bez walki, tymczasem trafili na dobrze umocniony zamek broniony przez wyszkolonych żołnierzy. Jeśli zaś chodzi o damy, żadna kobieta nie była warta takiego zachodu. Owszem, kusząca wydawała się wizja sprawienia solidnego lania lady Mathilde, tak by błagała go o życie, nadzieja na igraszki z jej siostrą też miała swoje uroki, ale nie na tyle, aby ryzykował życie. Co do D'Altona, ta suka mogła pleść, co jej ślina na język przyniesie, on jednak wiedział swoje. Zabił go De Mallemaison!

Zerknął przez ramię i aż się zachnął. W jego stronę biegł człowiek z uniesionym mieczem. Jego twarz... To niemożliwe! Ktoś inny musiał wdziać surcot D'Altona. Ale te długie, brązowe włosy, sylwetka, szerokie ramiona... D'Alton nie tylko żył, ale właśnie na niego szarżował. Pieszko i bez hełmu. Zdumienie nie przeszkodziło de Malle-maisonowi zareagować tak, jak podyktował mu niezawodny instynkt. Uniósł kiścień i zaczął rozkręcać koleczastą kulę na łańcuchu, czekając, aż przeciwnik się zbliży.

Wreszcie miotnął kulą w kierunku wroga. Ten

jednak uniósł miecz tak, że kula tylko okręciła się wokół główki. Zaparł się nogami i mocno szarpnął. Siła była tak wielka, że de Mallemaison nie tylko wypuścił z ręki drzewce kiścienia, lecz również spadł z konia.

Oszołomiony, potrzebował chwili, aby odzyskać orientację. Tymczasem D'Alton opuścił miecz, aby strząsnąć z niego, zaplątany kiścień. Nagle de Mallemaison zorientował się, że przeciwnik nie ma tarczy. Cała lewa strona jego ciała pozostawała niechroniona, podobnie jak głowa.

De Mallemaison dobył miecza i ruszył na Henry'ego. Zanim jednak zdążył wyprowadzić uderzenie, Henry odrzucił swoją broń i odskoczył.

Odzyskując równowagę, usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

To był Cerdic, atakowany przez trzech ludzi, w tym jednego Szkota.

- Weź mój topór! - krzyknął.

Henry chwycił rzuconą mu broń prawą ręką. Obracając się do de Mallemaisona, zobaczył, że Cerdic wyciąga z pasa sztylet i w milczeniu wznosił błaganie do Boga, aby pomógł jego przyjacielowi.

- Ładnie wyglądasz - szydził de Mallemaison, próbując zająć go z boku:

- Całą twarz masz w kawałkach.

- Nie jestem nawet w połowie tak paskudny jak ty - odparł Henry, opuszczając topór, żeby dobrze wyważyć go w dłoni.

De Mallemaison wznosił miecz, dzierzony oburącz, zanim jednak zdążył zadać cios, Henry poprowadził topór łukiem i uderzył przeciwnika.

Ostrze przecięło surcot, kolczugę i przesywnicę na wysokości klatki piersiowej. Najemnik wydał okrzyk i zatoczył się do tyłu. Z rany pociekła mu krew. Nie dość głęboko, pomyślał Henry. Co gorsza, czuł, że traci siły. Jeszcze trochę, błagał w myślach Boga. Daj mi go zabić.

De Mallemaison ponowił atak, choć nie poderwał miecza tak wysoko jak poprzednio. Henry odskoczył do tyłu i skrzył ciało. Przeszywający ból

lewego ramienia wyrwał z jego ust przeciągły okrzyk bólu.

- Biedny chłopiec z bolącą rączką - zakpił de Mallemaison, przysuwając się bliżej.

Nie spuszczając z niego oka, niemal nadludzkim wysiłkiem, Henry ujął topór oburącz przed sobą, aby mieć przynajmniej namiastkę tarczy. De Mallemaison chciał wyprowadzić kończące uderzenie, ale Henry sparował je drzewcem topora. Siła ciosu przecięła je na pół. Henry upuścił część pozostałą w bezużytecznej lewej ręce i mocniej zacisnął prawą dłoń na tym, co z broni pozostało.

Gdy de Mallemaison wykonał zwrot i znów chciał podjąć atak, Henry zamachnął się i z całej siły cisnął w przeciwnika skróconym toporem.

Trafił. Ostrze uderzyło najemnika w przedramię. Trysnęła krew. Miecz upadł na ziemię razem z częścią ramienia. De Mallemaison zawył.

Henry pochylił się i nie zważając na krwawy kikut, chwycił z ziemi miecz najemnika. Dzier-

ząc go, odwrócił się do wroga, któremu, choć zaciskał lewą rękę na ranie, krew lała się spomiędzy palców. Najemnik spojrział Henry'emu prosto w oczy gasnącym spojrzeniem. Henry, który sam już ledwo trzymał się na nogach, opuścił miecz.

De Mallemaison osunął się na kolana. Wykrzywił usta w bolesnym grymasie.

- Zabij! - wycharczał. Henry cofnął się o krok.

- Zrób to! - krzyknął zdesperowany de Mallemaison. - Zabij mnie!

Skoro nie mógł już walczyć, co mu pozostało? Henry'ego opuścił gniew.

Nic więcej nie podsycało w nim wigoru. Trzymał bezwładnie w ręce miecz de Mallemaisona za bardzo wyczerpany, by zauważyć, że dookoła wciąż toczy się zażarta walka. Tymczasem de Mallemaison przestał ścisnąć ranną rękę i pozwolił, by krew bez przeszkód ściekała na ziemię.

- Niech ci Bóg wybaczy - powiedział cicho Henry.

Odwrócił się i wtedy zobaczył Roalda odjeżdżającego z pola bitwy.

Mocniej ujął miecz. Mimo że krew boleśnie pulsowała mu w twarzy, lewe ramię chyba ostatecznie oddzieliło się od reszty ciała, a na jedno oko nic nie widział, nagle odżył. Myślał tylko o tym, żeby zabić człowieka, który ponosił odpowiedzialność za tyle nieszczęść. Ciężkim truchtem ruszył za nim, zdecydowany przeszkodzić mu w ucieczce.

Chwilę potem ujrzał Szkota, który wcześniej walczył z Cerdikiem.

Trzymał za uzdę konia, na którym siedział Roald. Zdyszany Henry podszedł bliżej.

- Przegrałeś - mówił Szkot. - Nadjeżdża Nicholas z Dunkeathe. Henry ucieszył się z tej nowiny. Zwycięstwo mają zapewnione. Bez względu na to, co się z nim stanie, Mathilde jest bezpieczna.

Roald kopnął Szkota w klatkę piersiową.

- Kłamiesz!

Szkot nawet się nie zachwiał.

- Widziałem jego sztandar, a znam go dobrze. Jadą też ludzie z Kornwalii pod sztandarem lorda Merricka z Tregellas.

Merrick też? Henry zaniósł dziękczynienie do Boga.

- Kłamca! - krzyknął Roald.

Kopnął Szkota ponownie. Ściągnął wodze, próbując zawrócić konia. Bez skutku, bo Szkot bardziej zdecydowanie przystąpił do działania. Jednym szybkim ruchem ściągnął Roalda z konia na ziemię.

- Zabiję cię za to - zapiał Roald, gramoląc się na nogi.

- Nie sądzę - odparł ten, cofając się. - Wynoszę się z tego bałaganu. Zdaje się, że reszta twoich ludzi wpadła na ten sam pomysł. - Spojrzał na Henry'ego, który znów podszedł nieco bliżej. - Kusi mnie, żeby cię zabić, ale kto inny ma do tego większe prawo.

Z tymi słowami Szkot szybko odszedł, a na ten widok inni najemnicy rzucili się do ucieczki ze znacznie mniejszym poczuciem godności.

- Tchórze! Wracajcie! - krzyczał Roald, trzęsąc się z wściekłości i ze strachu.

- Lojalności nie można kupić - zwrócił mu uwagę Henry, unosząc miecz, znów gotów do walki. - Skoro zaś nadjechali mój brat i przyjaciel, ci z twoich ludzi, którzy jednak zostaną, mają przed sobą najwyżej dziesięć minut życia. Poddaj się, Roaldzie. To twój koniec. Przegrałeś.

- Nie! - krzyknął tamten piskliwie i wreszcie udało mu się dobyć miecza. - Zabiję cię! - Rzucił się naprzód z uniesioną bronią.

Henry przykucnął, mocno opierając stopy na ziemi, tak jak uczył go sir Leonard. Mówił, że to pomaga się skupić, zapomnieć o bólu i zmęczeniu. Roald, nawet w panice, był dobrym szermierzem. Pierwszy atak skierował na bezwładne ramię Henry'ego. Ten jednak wykonał półobrót i zastawił się mieczem trzymanym prawą ręką. Roald był jednak zbyt silny, by taki blok mógł odpowiednio zadziałać. Henry'emu miecz wypadł z ręki, a siła uderzenia powaliła go na kolana. Próbował wstać, ale nie zdołał.

Usłyszał szyderczy śmiech Roalda.

- Szkoda, że wmieszałeś Się w nie swoje sprawy. Musisz teraz gorzko tego żałować.

- Ani trochę - syknął Henry.

Gdy zaciskał dłoń na kamieniu wielkości pięści, w uszach miał głos sir Leonarda: „Walcz tym, co masz pod ręką, chłopcze”. Ostatkiem sił uniósł ramię i cisnął kamieniem w Roalda. Trafił w twarz, dokładnie między oczy. Roald krzyknął, zachwiał się i upadł na plecy. Dysząc ciężko, Henry podpełztał do przeciwnika. Roald leżał nieruchomo. Gdy Henry pochylił się nad nim, zobaczył siną plamę między brwiami. Niewidzące spojrzenie zdumionych, lecz szklistych oczy było skierowane ku niebu. Roald nie żył. Henry bezwładnie osunął się na ziemię.

Rozdział dziewiętnasty

- Zbudziłeś się? - spytał kojący, ciepły głos. Henry'emu zdawało się, że należy do Mathilde, ale przecież była ranna. Trafiła ją strzała z łuku, kiedy stała przy nim na murach. Ktoś trzymał go za rękę.

- Jeszcze śpi.

To znowu Mathilde? Próbował wypowiedzieć jej imię, ale tylko jęknął.

- On naprawdę musi odpoczywać, panowie. Najgorsze już minęło, ale rany są ciężkie i będą się długo goić. Powinien jak najwięcej spać.

To była Giselle.

- Ja przy nim zostanę.

Wspaniała, piękna, dzielna Mathilde. Skoro żyje, to rana musiała być powierzchowna. Uradowany tą świadomością, próbował unieść powieki. Okazały się jednak za ciężkie.

- Odejdziemy więc i poczekamy, aż...

Nicholas?

- Mathilde? - zdołał w końcu szepnąć Henry. Rozchylił powieki i ujrzał jej zatroskaną twarz.

Siedziała przy łożu. To ona trzymała go za rękę, więc uściśnął jej dłoń tak mocno, jak tylko zdołał, a ona odwzajemniła się uśmiechem. Nie wydawała się cierpiąca, a wręcz przeciwnie, jak zawsze była pełna życia.

- Myślałem...

Złapał go atak kaszlu, więc szybko uniosła mu głowę i przytknęła do warg puchar. Ciecz miała ohydny smak, ale mimo wszystko pomagała na suchość w ustach i gardle. Opadł na plecy, ciężko dysząc. Wciąż trzymał za rękę swoją ukochaną. Za jej plecami pojawiły się niewyraźne sylwetki dwóch ludzi. Jego brat i Merrick. Tak zafrasowaną minę u brata widział tylko raz, kiedy martwił się o żonę. Za to twarz Merricka wydawała się nieprzenikniona. Gdyby Henry nie znał go dobrze, mógłby pomyśleć, że wszystko to nic a nic Merricka nie obchodzi.

- Jak się czujecie, panie? - spytała cicho Giselle stojąca po drugiej stronie łóżka.

- Lepiej - zdołał szepnąć i znów uściśnął rękę Mathilde. Nawet spróbował się uśmiechnąć, mimo wściekłego bólu w policzku. - Myślałem, że... strzała...?

- Pewnie już bym nie żyła, gdybym nie włożyła przesywnicy i kolczugi - odparła. - Muszę, zresztą, powiedzieć, że to wszystko jest ciężkie i wcale się nie dziwię, dlaczego żołnierze tak narzekają.

W każdym razie strzała nie wbiła się głęboko. - Uroczo się zarumieniła. - Obawiam się, mój kochany, że po prostu zemdlałam, jakbym była najbardziej wątłą z kobiet w całym królestwie.

- Najdzielniejszą z kobiet. Nie powinnaś być...

- Bałam się, bo wiem, do czego jesteś zdolny. Obiecałeś nie włączać się do walki wręcz, tymczasem...

- Pozostał nazbyt odważnym głupcem - stwierdził Nicholas.

Henry przeniósł wzrok na brata i przeżył jedno z największych zaskoczeń w życiu. Nicholas się uśmiechał.

- Tak sobie myślałem, że albo w końcu zginie, albo pokaże światu, kim jest. Wygląda na to, że w ostatecznym rezultacie jako brat mogę być z niego bardzo dumny.

Henry przymknął powieki, żeby nikt z obecnych nie zauważył, że do oczu cisną mu się łzy. Może był słabszy, niż mu się zdawało, a może to skutek lekarstwa... Do diabła, przynajmniej ze sobą mógł być uczciwy. Słowa brata sprawiły mu nieklamana radość. Całe życie czekał na to, żeby Nicholas go docenił.

- On zawsze postępuje tak, jak nakazuje mu sprawiedliwość, chociaż bywa, że drogo za to płaci - dodał Merrick. - Inni dobrze by się zastanowili przed wsadzeniem nosa w cudze sprawy, zwłaszcza gdyby tak jak Henry wcześniej oberwali za taką postawę niezłe cięgi.

- Dziękuję opatrności, że nie zastanawiał się zbyt długo, kiedy poprosiliśmy go o pomoc - powiedziała Mathilde, jak zawsze wyrażająca swoje myśli bez ogródek. - A wy, panie, powinniście się wstydzić tego, co mu zrobiliście.

- Mathilde! - jęknął Henry.

- Przecież to prawda. Gdybyś, jak mówi twój brat, nie wsadził nosa w cudze sprawy, to ja, Giselle i pozostali bylibyśmy zdani na łaskę i niełaskę Roalda.

- Wydaje mi się, że ta dama żywi wiele ciepłych uczuć do mojego brata - odezwał się Nicholas do Merricka. - Musimy o tym pamiętać, kiedy nas strofuje.

Henry spojrział na swoją lubą, myśląc o tym, że jego brat źle znosi słowa krytyki. Mathilde jednak ani trochę nie przejęła się tym ostrzegawczym sygnałem.

- Powiedziałam twojemu bratu - zwróciła się do niego - że powinien był dopilnować, abyś znalazł się w służbie pana, który potrafi docenić twoje usługi, a nie tułał się jak wędrowny minstrel.

Wielkie nieba, jeszcze to! Zadziwiająca kobieta. A jednak ją straci. Kiedy wreszcie spotkał istotę, którą szczerze pokochał, został okaleczony i stał się kompletnie bezużyteczny.

- Zdaniem lady Mathilde zaniedbałem się w obowiązkach braterskich i powinienem się z tego powodu spalić ze wstydu - ciągnął Nicholas, a ku zaskoczeniu Henry'ego, wyglądało na to, że nie jest zły, tylko rozbawiony. - Kiedy już wydobrzejesz, będę musiał zaradzić tej sytuacji, obawiam

się bowiem, że inaczej spadnie na mnie wielki gniew tej damy.

- Ranulf? Cerdic?

- Nic im się nie stało - zapewniła Mathilde. -Dogłądają naprawy murów i bramy, a poza tym organizują patrole w poszukiwaniu najemników Roalda, którzy jeszcze mogą kręcić się po okolicy.

Ucieszyła go wiadomość, że przyjaciele mają się dobrze, jednak był to kolejny sygnał, że jest całkiem zbędny.

- Opowieść o obronie Ecclesford stanie się bez wątpienia pożywką dla minstreli stąd aż po Londyn - stwierdził z wyraźną dumą w głosie Nicholas. - Dzielny sir Henry wstaje z łoża boleści, aby unicestwić demonicznego Charlesa de Mallemaison i złego Roalda.

- Panowie, powinniście już wyjść - powiedziała Giselle uprzejmie, lecz stanowczo. - Sir Henry musi odpocząć. Możecie z nim porozmawiać jutro.

Nicholas i Merrick byli przyzwyczajeni do wydawania rozkazów, lecz nie do ich przyjmowania. Mimo to obaj skinęli głowami, całkiem potulnie jak na dumnych mężczyzn, i wykonali rozkaz Giselle niczym szeregowi żołnierze.

Henry wciąż trzymał Mathilde za rękę. Miał nadzieję, że jeszcze przy nim posiedzi. Zdawał sobie sprawę z tego, że niedługo przyjdzie dzień, kiedy będzie musiał opuścić Ecclesford, chciał więc nasycić się jej widokiem, choć był przekonany, że obraz jej twarzy wyrył mu się w pamięci na zawsze.

Giselle popatrzyła na Mathilde tak, jakby chciała i ją oddalić, ale najwidoczniej doszła do wniosku, że nie ma to najmniejszego sensu, bo sama ruszyła do drzwi.

- Będę na dole, gdybyś czegoś potrzebowała -powiedziała i opuściła komnatę.

Po wyjściu siostry Mathilde odgarnęła Henry'emu kosmyk z czoła.

- Śpij, kochany, tak jak każe Giselle. Kiedy się obudzisz, będę przy tobie. Prawdę mówiąc, był śmiertelnie zmęczony, wydawało mu się jednak, że nie zaśnie, póki nie dostanie odpowiedzi na dręczące pytania.

- Jak długo?

Mathilde zmarszczyła brwi.

- O co pytasz?

- Od chwili gdy Roald...

- Pięć dni. Odkąd żołnierze znieśli cię z pola bitwy, Giselle podaje ci lek, aby mieć pewność, że śpisz i nie próbujesz się ruszać. Podobno miałeś szczęście, że przeżyłeś udział w bitwie. Po coś to zrobił, Henry? Przecież obiecałeś mi, że będziesz stał na murach.

- Myślałem, że cię zabili.

- Jak widzisz, nie zabili, a gdybyś ty zginął... -Głos jej się załamał, odwróciła głowę.

Nie chciał jej krzywdzić i nie mógł znieść myśli, że mogłaby przez niego cierpieć. Właśnie dlatego Mathilde musiała pozostać wolna, by móc sobie wybrać mężczyznę z lepszymi perspektywami, który byłby dla niej takim mężem, na jakiego zasłużyła.

- Gdybyś zginął i ja wolałabym umrzeć - szepnęła.

Pogłaskał ją po policzku.

- Cieszę się, że żyję.

Uśmiechnęła się, a potem ostrożnie położyła mu głowę na ramieniu.

- Dziękuję ci, że tutaj przyjechałeś, Henry. -Pocałowała go w czubek ucha. - Dziękuję ci, że nam pomogłeś.

Wzruszyła go ponad wszelką miarę.

- Wody - zażądał chrapliwie. Nie .chciało mu się pić, ale nie mógł znieść, że Mathilde mówi takie rzeczy.

- Naturalnie. - Poszła napełnić kubek z dzbanka stojącego na pobliskim stole.

Henry zaczął ostrożnie obmacywać swój policzek. Pokrywała go zbyt gruba warstwa bandaży, aby cokolwiek wyrokować, zdawało mu się jednak, że opuchlizna nieco zesza. Przesunął dłoń na czoło i pod palcami wyczuł szwy.

- Proszę, kochanie. -Mathilde wróciła i przyłożyła mu kubek do warg. - Odpocznij teraz - powiedziała, gdy z trudem upił nieduży łyk i opadł na poduszki.

Zamknął więc oczy i udał, że zasypia, ponieważ jednak był bardzo zmęczony, zasnął naprawdę.

Kiedy się zbudził, na miejscu Mathilde ujrzał Ranulfa. Przyjaciel uśmiechnął się ciepło bez cienia typowego dla siebie cynizmu.

- Odesłałem twoją piastunkę, żeby coś zjadła powiedział, zanim Henry zdążył się odezwać. -Trzeba jej pilnować, żeby się nie zagłodziła, sprawując nad tobą opiekę. Poza tym ona też musi odpoczywać. Grot strzały wszedł całkiem głęboko.

Rana jej doskwierała, a ona udawała, że nic jej nie jest, wyłącznie na mój użytek, pomyślał Henry.

- Naturalnie jej życiu nic nie grozi - skwapliwie dodał Ranulf. - Sir Leonard nazwałby to draśnięciem, ale jeśli nie będzie o siebie dbała, gojenie potrwa dłużej i zostanie blizna.

Henry nabrał głęboko powietrza i powoli wypuścił je przez usta, a tymczasem Ranulf założył ręce na kolano.

- Mnie osobiście dziwi, co ją tak fascynuje w śpiącym mężczyźnie - dodał.

Henry spróbował nieco się podźwignąć.

- Zwłaszcza mężczyźnie z taką twarzą? - spytał, gdy Ranulf, poprawiwszy mu poduszki, z powrotem zajął swoje miejsce.

- Nie przesadzaj - odparł Ranulf. - Owszem, rana jest paskudna, ale zważywszy na to, że jednak przeżyłeś, powinienesz dziękować Bogu.

- Chcę zobaczyć swoją twarz.

Ranulf zaczerwienił się i uniósł ze stołka. Wyglądał tak, jakby chciał uciec, gdzie pieprz rośnie. Nie zważając na przyjaciela, Henry zaczął prawą ręką manipulować przy węźle na bandażach, otaczających jego twarz. Ranulf westchnął z rezygnacją i nie małym rozdrażnieniem, ale wrócił na swoje miejsce.

- Już lepiej ci pomogę. Bóg raczy wiedzieć, co

możesz sobie zrobić, gdy zaczniesz sam przy tym majstrować.

Henry'emu było wszystko jedno, czym kieruje się Ranulf. Dla niego liczył się efekt. Pot ściąkał mu po plecach, podczas gdy przyjaciel odwijał bandażę, raz po raz bacznie mu się przyglądając. Widocznie Ranulf widział już jego twarz wcześniej, uznał Henry, bo gdy wreszcie poradził sobie z bandażami, nie zdradził się za swymi uczuciami najdrobniejszym grymasem. Wziął ze stołu srebrny dzban z wodą i podszedł do łoża.

- Pamiętaj, że odbicie będzie zniekształcone -ostrzegł.

Henry z zapartym tchem czekał, aż dzban, niczym zwierciadło, znajdzie się przed jego oczami. Odniósł wrażenie, że prawa część jego twarzy jest ulepiona z gliny, w której kiścień wygniótł doły i dzioby. Opuchlizna wciąż była znaczna i mieniła się wszystkimi możliwymi kolorami, od fioletu po żółć. Czoło pokrywały strupy, a pomiędzy nich wystawały ciemne nici szwu. Odsunął dzban na bok. Koniec z przystojnym sir Henrym. Wiedział, że będzie cudem, jeśli jakaś kobieta zechce na niego spojrzeć bez obrzydzenia.

- Mathilde nie przywiązuje do tego wagi - powiedział Ranulf, odstawiwszy dzban na miejsce.

- Moje ramię... Nie utrzymam tarczy.

- Nie - przyznał Ranulf, siadając na stołku. - Obawiam się, przyjacielu, że dni wojaczki dla ciebie się skończyły.

Henry popatrzył z rezygnacją na Ranulfa.

- Czy to trudne?

- Co? - spytał zmieszany przyjaciel. - Przestać walczyć? Muszę ci wyznać, że gdyby ktoś mi powiedział, że nigdy więcej nie wezmę udziału w bitwie, byłbym zachwycony. Zapomniałbym, jakie to straszne. Śmierć, krew, zgiełk. Tracisz ludzi, widzisz, jak cierpią. W pewnym sensie ci zazdroścę.

„W pewnym sensie". Wcale nie ułatwiało mu to pogodzenia się z losem. Walki uczył się przez całe życie, niczego innego nie umiał.

- Nie to miałem na myśli. Czy trudno jest zapomnieć o kobiecie, którą się kocha?

Ranulf spojrział na niego osłupiały, jakby usłyszał coś niewyobrażalnie głupiego.

- Myślisz, że Mathilde cię nie chce? Sądziłem raczej, że przez ten czas nauczyłeś się ją rozumieć.

- Co jej mogę dać? - odparł nieszczęśliwy Henry. - Która dama może być zainteresowana mężczyzną o takim wyglądzie? Który pan zamku przyjmie pod swój dach kalekę?

- Odniosłeś rany, kiedy byłeś w jej służbie. To tylko jeszcze jeden powód do tego, aby bardziej cię kochała.

- Nie chcę, żeby poślubiła mnie z litości albo z wdzięczności.

- Uważasz więc, że powinieneś zwrócić jej wolność, aby mogła związać się z innym, lepszym mężczyzną?

To było powiedziane wprost, ale Henry był za tę szczerą Ranulfowi wdzięczny.

- Tak.

Na twarzy przyjaciela pojawiła się typowa dla niego ironiczna mina.

- Rozumiem, że jako próżny, uparty, arogancki typ nie chcesz posłuchać nikogo, kto mógłby mieć inny pogląd niż ty? - Ranulf wstał. - Nie jestem ekspertem w sprawach kobiet, żeby służyć ci radą. Nie będę więc mówił, co masz robić. Wspomnę tylko, że moim zdaniem, grubo się mylisz.

- Mam rację - odparł Henry. - Cieszę się, że nie zamierzasz się ze mną spierać.

Musiał zadać przyjacielowi jeszcze jedno pytanie, nawet gdyby oznaczało to wkroczenie na zakazane terytorium.

- Ile czasu potrzebowałeś, żeby zapomnieć o kobiecie, którą kochałeś?

Ranulf spochmurniał. Ponuro spojrział na Henry'ego.

- Kto powiedział, że zapomniałem?

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Mathilde.

- Jesteś, pani - powiedział Ranulf, wracając do swojego beznamiętnego wcielenia. - Przyszłaś mnie zmienić? Jak widzisz, pacjent nie śpi. Ufam, że zdążyłaś co nieco przekazać.

- Tak, dziękuję. - Mathilde z uwagą przyjrzała się Henry'emu. - Cierpisz, kochanie? Chcesz coś na zmniejszenie bólu? Tynkturę Giselle?

Pokręcił głową. Ku jej uldze, uśmiechnął się kącikiem ust.

- Zostawię was samych - oznajmił Ranulf i podszedł do drzwi.

Od progu jeszcze się odwrócił, by popatrzeć na przyjaciela, niegdyś należącego do najprzystojniejszych mężczyzn na dworze, i na kobietę, która wpatrywała się w niego jak w obraz.

Mathilde zabrała zużyte bandaże leżące przy posłaniu żołnierza, który został poważnie cięty mieczem. Odkąd zaczęła opiekować się Henrym, przyzwyczała się do widoku krwi i ran oraz do zapachów mikstur Giselle, zaproponowała więc siostrze, że będzie jej pomagać również przy innych rannych.

Brat Henry'ego zgodził się zostać jeszcze kilka dni, chociaż spieszyło mu się do domu, do żony, którą bez wątpienia darzył wielkim uczuciem. Ilekroć wspominał Rionę, oczy mu jaśniały,¹ a głos nabierał cieplejszej barwy.

Lord Merrick zamierzał wyjechać nazajutrz rano z uwagi na stan żony, a przynajmniej taki podał powód. Jego towarzyszka życia spodziewała się pierwszego dziecka, więc nie chciał długo przebywać z dala od domu. I jego oczy nabierały niezwykłego blasku, gdy o niej mówił. Odbijała się w nich miłość.

Ranulf wstrzymywał się jeszcze z powrotem do Tregellas, wybierał się tam dopiero za dwa tygodnie. Chciał najpierw zakończyć odbudowę muru, której doglądał. Podziękował jednak Mathilde za zaproszenie do przedłużenia pobytu, ponieważ, jak twierdził, jego straż rozleniwi się bez dowódcy i straci wartość bojową. Co praw-

da, Merrick wspomniał, że to niemożliwe, skoro strażnicy boją się dowódcy jak ognia, ale Ranulf wyraźnie chciał wrócić do Tregellas, więc Mathilde nie nalegała.

Giselle chodziła szczęśliwa, ciesząc się ze zbliżającego się ślubu z Cerdikiem i spodziewanych narodzin dziecka. Natomiast Mathilde nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że nie zauważyła ich romansu wcześniej. Cerdicowi, który miał wkrótce zostać panem Ecclesford, uśmiech nie zniknął z twarzy, a do Giselle odnosił się tak czule, że Mathilde na widok tej pary miała łzy w oczach, chociaż uważała, że to ona jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Nie wszystko jednak układało się doskonale. Wciąż dręczyły ją złe sny, w których prześladowali ją Roald i Charles de Mallemaison. Na szczęście, gdy tylko się budziła, myślała o Henrym, i to pomagało jej odzyskać spokój. Lubiła wyobrażać sobie ich szczęśliwą przyszłość, cieszyła się na dzielenie z mężem radości, miłości i pożądania. Wierzyła też, że Bóg pobłogosławi ich związek dziećmi.

- Pani, czy możemy porozmawiać? Podniosła wzrok i ujrzała Ranulfa.

- Słucham. - Odłożyła bandaż. Razem przeszli w bardziej zaciszny kąt sali, oddalony nieco od rannych.

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego -powiedziała zaniepokojona. - Czy obawiacie się, panie, że mur jednak nie wytrzyma i runie?

- Och nie. Wypełniliśmy ten podkop tak dokładnie, że prawdopodobnie nie będzie mocniejszej części muru niż właśnie ta. Chodzi o Henry'ego.

- O Henry'ego? - powtórzyła. Chciała natychmiast iść na piętro, ale Ranulf ją zatrzymał.

- To nie jego rany są w tej chwili ważne -powiedział. - Przynajmniej nie te widoczne na twarzy i ramieniu. Henry wbił sobie do głowy, że jeśli go, pani, poślubisz, zrobisz to z litości albo z wdzięczności lub dla uciszenia wyrzutów sumienia. Osobiście sędzę, że masz inne, dużo ważniejsze powody...

- Oczywiście, że mam! - zawołała wstrząśnięta, że ktokolwiek, a zwłaszcza Henry, mógł pomyśleć inaczej. - Naturalnie jestem mu wdzięczną za pomoc, wszyscy w Ecclesford są, ale ja go kocham, i to jest najważniejsze.

- Tak myślałem, ale nie wydaje mi się, żebym mógł mu wytłumaczyć, jak bardzo się myli.

- Wobec tego ja znajdę odpowiednie słowa -oświadczyła Mathilde i ruszyła ku schodom z miną generała układającego plan bitwy.

- Wierzę w ciebie, pani. - Ranulf zaśmiał się pod nosem, bardzo z siebie zadowolony.

Nagle jednak przypomniał sobie o Beatrice i ciężko westchnął.

Głośnie pukanie do drzwi przerwało melancholijne rozmyślenia

Henry'ego. Kiedy ukazała się Mathilde, zdołał się krzywo uśmiechnąć.

Podej-

rzewał zresztą, że jego uśmiech pozostanie taki na zawsze. W najlepszym razie będzie sprawiał wrażenie nieco szelmowskiego.

Mathilde energicznie podeszła do łoża i stanęła w jego nogach z wyzywającą miną.

- Czy już mnie nie kochasz, Henry? Zaskoczony tym bezceremonialnym pytaniem

zadany szorstkim tonem, poruszył się niespokojnie. Ranulf na pewno dotrzymałby sekretu, pomyślał i uświadomił sobie, jakim jest głupcem.

Nie zastrzegł, że ich rozmowa nie może wyjść poza ściany tej komnaty!

- Sądziłam, że nie ma dla ciebie znaczenia to, co zrobił mi Roald przed twoim przyjazdem.

- Przecież nie ma! - rzekł zapalczywie i aż się trochę wyprostował, wspomagając się prawym ramieniem. - To nie była twoja wina.

- Ranulf mówi, że nie chcesz mnie poślubić. Z jakiego więc powodu, jeśli nie z tego?

- Nie powiedział ci dlaczego?

- Wspomniał jakąś brednię o twojej twarzy i ramieniu, mam jednak nadzieję, że znasz mnie dostatecznie dobrze, aby tak nie myśleć. Dla mnie nie ma znaczenia, że już nie możesz walczyć. Przeciwnie, ulżyło mi, bo przecież wcześniej złamałeś dane mi słowo.

Patrzył na nią oszołomiony.

- Jestem rycerzem. Nie mogę walczyć, staję się nikim.

W jej spojrzeniu nie było ani krzty współczucia.

- A ten sir Leonard, o którym ciągle opowia-

dasz? Czy on jeździ po całym kraju, żeby uczestniczyć w bitwach?

- Nieczęsto... ale nie rozmawiamy przecież o sir Leonardzie.

- Czy jego nazwałbyś bezużytecznym z tego powodu, że nieczęsto bierze udział w bitwach?

- Nie...

- A kto stworzył plan obrony tego zamku? Ty, prawda? Czy sporządzając plan, nosiłeś tarczę?

- Mathilde, nie...

- Czyja obecność na murach sprawiła, że żołnierze walczyli jak diabły wcielone? Czyje dowództwo zapewniło nam zwycięstwo?

- Ranulfa i Cerdica, i...

- Tyle że oni przyjmowali rozkazy od ciebie. Nasi ludzie słuchali cię bez wahania i bez słowa sprzeciwu, ponieważ wiedzieli, że znasz się na rzeczy. Przecież nie straciłeś swojej wiedzy, Henry. Myślisz, że twoją jedyną zaletą jest miła twarz czy mocne ramię do trzymania tarczy? Nie! To twój rozum się liczy! Pozostałości po ranach nie przeszkodzą ci w prowadzeniu majątku albo planowaniu systemu obrony, gdyby okazał się potrzebny. Blizny i niesprawne ramię niczego jako mężczyźnie nie ujmują ci w moich oczach. A skoro mi nie wierzysz, to nie pozostaje mi nic innego, jak sądzić, że jednak chodzi o Roalda. Po prostu wbrew temu, co twierdzisz, wydaję ci się z jego powodu mniej warta.

- Mathilde, nie o to chodzi... Wsparła się pod boki.

- Uważasz mnie za głupią kobietę, sir Henry? Myślisz, że mam za mało rozumu, żeby samodzielnie zdecydować, czy mężczyzna zasługuje na moją miłość i szacunek? A może sądzisz, że jestem tak dumna i wyniosła, iż odtrącę rycerza, który uratował mnie, moją siostrę i wszystko, co dla mnie drogie, tylko dlatego, że został ranny? Chyba jednak mnie nie kochasz, jeśli tak myślisz!

- Mathilde... - jęknął błagalnie. Nie zwróciła na to uwagi.

- Twoim zdaniem, nie możesz mnie poślubić, ponieważ nie masz pieniędzy ani ziemi? Czy chcesz przez to powiedzieć, że Cerdic nie zasługuje na rękę Giselle?

- Cerdic żeni się z Giselle?

- Tak, i to wkrótce, bo ona nosi jego dziecko. Widząc jego zdumienie, Mathilde dodała:

- Może jednak nie jesteś taki bystry, jak mi się zdaje, skoro nie zauważyłeś żadnych oznak.

- W tej chwili - wyznał - uwierzyłbym ci, nawet gdybyś powiedziała, że jestem królem Arturem.

- Przyznaję zresztą, że sama też niczego nie dostrzegłam. Giselle dobrze się maskowała. Zdaje się, że Cerdic ma w sobie tę samą głupią dumę, co ty. On też stwierdził, że nie jest jej wart. Na szczęście Giselle nie na darmo jest moją siostrą, więc wzięła sprawy w swoje ręce i Cerdic dał się przekonać. Przecież najważniejsze jest to, że się kochają. Dlatego chociaż Cerdic nie ma pieniędzy ani ziemi, a dziecko mojej siostry począł poza małżeństwem, z radością powitam go jako szwagra. Czy czujesz się od niego lepszy, że odrzucasz miłość, którą ci daję? - Zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, złagodniała na twarzy i uklękła przy jego łożu. - Kocham cię, Henry. Jeśli mnie opuścisz, złamiesz mi serce. - Oczy

zaśniły jej łzami. - Pewnie mogłabym skorzystać z propozycji ekscelencji i wstąpić do klasztoru, ale z pewnością byłabym najgorszą zakonnicą na świecie. Czy o taki los dla mnie walczyłeś, kiedy ścierałeś się z Roaldem?

- Och, Mathilde, Mathilde. - Zdrowym ramieniem przyciągnął ją do siebie. - Myślę o tobie. Nie wolno ci się związać ślubami małżeńskimi z takim człowiekiem jak ja.

Odsunęła się, jej oczy zapłonęły gniewem.

- Nie, ty wcale o mnie nie myślisz, Henry! Inaczej nawet nie przyszłoby ci do głowy, żeby mnie odtrącić. Ja chcę cię poślubić wcale nie ze współczucia. I również nie dlatego, że jestem ci głęboko wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobiłeś, i za to, jak mogłam się dzięki tobie poczuć. Podziwiam cię jak żadnego innego człowieka na świecie. Jesteś mądry, rozsądny, dzielny... czasem aż za bardzo. Dzięki tobie znów zaczęłam się śmiać i cieszyć życiem. - Przesunęła mu opuszką palca po wargach. - Odnalazłam dzięki tobie namiętność. Henry, kocham cię takiego, jaki jesteś. Zawsze będę cię kochać bez względu na to, co przyniesie przyszłość.

Uśmiechnęła się nieco wstydliwie. Takiej jej jeszcze nie widział.

- Wiesz przecież, że nie jestem pięknocią,

a wielu mężczyzn razi moja śmiałość. Wierzę jednak, że mimo to mnie chcesz. Czy myślę się, żywiąc taką nadzieję?

Jak mógł jej się oprzeć? Jak mógł nie ulec szczeremu przemówieniu wygłoszonemu z oczami pełnymi miłości?

Zagarnął ją ku sobie i znów przytulił.

- Zdaje się, że bez względu na to, co sądzę, znajdziesz sposób, aby mnie poślubić. Może więc rozsądniej będzie oszczędzić ci trudu i nie narażać się na bardziej ekscentryczne pomysły. Lady Mathilde z Ecclesford, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Tak, sir Henry.

- Chociaż... - cmoknął ją lekko w policzek - bardzo jestem ciekaw, jaki zuchwały plan obmyśliłabyś, aby mnie przekonać, gdybym jednak się nie oświadczył.

Mathilde delikatnie ujęła jego twarz w dłonie.

- Nie spoczęłabym dopóty, dopóki nie uczyniłabym cię moim.

- Już jestem twój.

- I masz moje serce na zawsze - zapewniła i pochyliła się, aby go pocałować.

Epilog

Śluby pań zamku Ecclesford, które poprowadził biskup Christophus zobligowany do tego wyraźnym życzeniem surowego lorda Dunkeathe i posepnego lorda Tregellas, odbyły się jeszcze tego roku podczas świąt Bożego Narodzenia. Król i królowa dali swoją zgodę, mimo że pomysł, aby panem zamku został zwykły żołnierz bez piędzi ziemi, był bardzo śmiały. Naturalnie nie zaszkodziło sprawie młodych kochanków to, że brat sir Henry'ego i lord Tregellas pospieszyli im z pomocą jako entuzjastyczni zwolennicy obu tych związków. Królowa szepnęła mężowi, że lepiej, aby tak wpływowi ludzie byli zadowolonymi przyjaciółmi niż wrogami.

Wiele kobiet, które poznawały męża lady Mathilde, głęboko jej współczuło. Naturalnie i ona nie była piękną, wydawało się jednak wielką niesprawiedliwością losu, że musiała poślubić

kogoś tak okaleczonego. Inne, które pamiętały sir Henry'ego z lat młodości, utyskiwały na los, który przeobraził go w tak odpychającego wizualnie człowieka, i zastanawiały się, czy wciąż potrafi żartować i śmiać się, jakby nic nie zmieniło jego wyglądu.

Szlachetnie urodzeni mężczyźni, którzy sami nieraz narażali się na podobne obrażenia, byli mniej skłonni do okazywania odrazy na widok zniekształconej twarzy i nieruchomego ramienia. Pamiętali też o obronie Ecclesford przed wojskiem złożonym z zahartowanych w bojach najemników, prowadzonym przez Charlesa de Mallemaison. Niejeden z nich, pełen podziwu dla tego wyczynu, zwrócił się do sir Henry'ego z pytaniem, czy nie przyjąłby na naukę jego syna. Ponieważ zaś wyniki, jakie osiągał Henry, bardzo wszystkich satysfakcjonowały, jego sława rosła i zanosilo się na to, że może nawet przewyższyć renomą słynnego sir Leonarda de Brissy.

Tylko ci, którzy lepiej znali sir Henry'ego i lady Mathilde, wiedzieli, że tych dwoje łączy coś rzadko spotykanego u innych - miłość sięgająca daleko poza czysto zewnętrzne objawy i więź, którą tylko śmierć może rozerwać. I rzeczywiście w miarę jak mijały lata, a rodzina się powiększała, nawet najbardziej nieufni zrozumieli, że zamiast współczuć tej damie i jej panu, należy im zazdrościć.